

NR 6-7 (41-42)
czerwiec-lipiec
2004

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

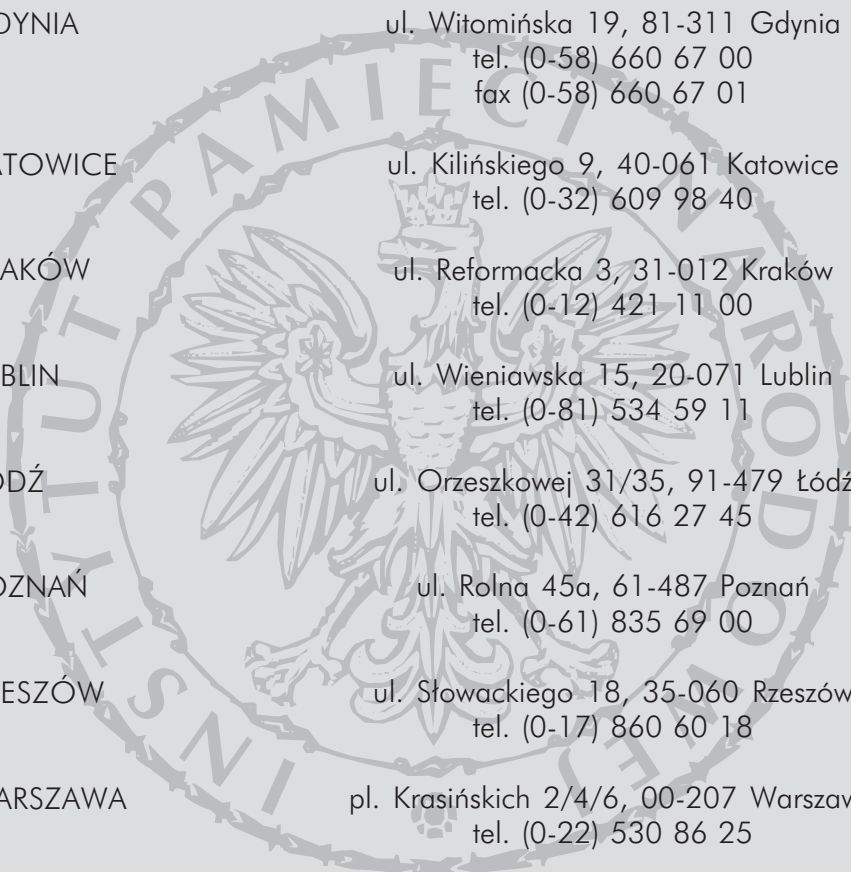
Być Ślązakiem Wcieleni do Wehrmachtu Żona silniejsza od UB

T.A. Findziński, Górniki, drzeworyt 1935 r.



numer indeksu 374431
nakład 3000 egz.
cena 7,50 zł (w tym 0% VAT)

ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Buthak (redaktor naczelny),
Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,
Bartłomiej Noszczak, Barbara Polak, Jan M. Ruman

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Korekta: Anna Kaniewska

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Tel. (0-22) 581 89 24, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: Barbara.Polak@ipn.gov.pl

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji

ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 6-7 (41-42)
CZERWIEC-LIPIEC
2004

SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

Być Ślązakiem

– z Adamem Dziurokiem, Ryszardem Kaczmarem
i ks. Jerzym Myszorem rozmawia Barbara Polak 4

■ ARCHIWALNE FOTOGRAFIE

Leonard Stankiewicz – „Wujek” – pamiętam 34

■ PRAWO I HISTORIA

Ewa Koj – **Wieża spadochronowa** 37

Adam Dziurok – **23 lata, 6 miesięcy i 22 dni
Salomona Morela** 42

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Ryszard Kaczmarek – **Górnoślązacy
i górnośląscy gauleiterzy** 46

Grzegorz Bębniak – **Ordnungspolizei
zamiast straży pożarnej** 52

Tomasz Miler – **Trzeci inspektor** 59

Alojzy Lysko – **Losy Górnoślązaków przymusowo
wcielonych do Wehrmachtu** 64

Tomasz Kurpierz – **Zabójstwo żołnierzy „Bartka”** 80

Aleksandra Namysto – **Bezpieka przeciw
śląskiej chadecji** 86

Zygmunt Woźniczka – **Katowice – Stalinogród 1953** ... 92

Wacław Dubiański – **Żona silniejsza od UB** 99

Jarosław Neja – **Zanim nadszedł Sierpień** 104

Krzysztof Karwat – **Zrozumieć Ślązaka** 114

■ DOKUMENTY

Andrzej Sznajder – **Do kogo tam jedziecie?** 117

Wacław Dubiański – **Z pepeszą na sojusznika** 124

Kornelia Banaś – **Małe bunty w wielkim przemyśle** .. 127

Kornelia Banaś, Marcin Niedurny – **Unikatowe
świadcstwa** 131



Maj 2004

- 4 maja **Konferencja „Cienie państwa policyjnego – wokół teczek bezpieki”**, zorganizowana przez OBEP IPN Gdańsk – Delegaturę w Bydgoszczy oraz Instytut Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, odbyła się w Toruniu. Konferencja poświęcona była dokumentom aparatu bezpieczeństwa PRL.
- 7 maja **Dyskusja panelowa „Powstanie Warszawskie w eterze”**, zorganizowana przez IPN, Instytut Historii PAN i Polskie Radio SA, odbyła się gmachu Polskiego Radia w Warszawie. Dyskusję poprowadził prof. dr hab. Jerzy Eisler. Uczestnicy panelu omówili obraz Powstania Warszawskiego na falach: Radiostacji „Błyskawica”, Radia Polskiego w Londynie, Polskiego Radia i Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.
- 10 maja **Ogłoszenie wyników III edycji konkursu dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych w OBEP IPN Rzeszów „Ocalić od zapomnienia”**. Po wręczeniu nagród laureatom Józef Dalecki opowiedział o swoim udziale w akcji „Burza” na Wileńszczyźnie.
- 12 maja **„Wypędzeni. Przesiedleni. Deportowani. Ludzkie losy w czasie II wojny światowej”** – to temat sesji Klubu Historycznego im. Stefana Roweckiego-„Grota”, która odbyła się w IPN w Warszawie. Spotkanie poprowadził prof. Jerzy Eisler, referaty o niemieckich i sowieckich przesiedleniach i zsyłkach zaprezentowali dr Maria Wardzyńska i dr hab. Sławomir Kalbarczyk, eksperci GKŚZpNP.
- 12–13 maja **Sesja naukowa „Kościół rzymskokatolicki w Łódzkiem w okresie duszpasterzowania biskupa Michała Klepacza (1947–1967)”** odbyła się w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi. Sesja została zorganizowana przez OBEP IPN Łódź i Kurię Archidiecezji Łódzkiej. Spotkanie otworzyli metropolita łódzki abp dr Władysław Ziśłek i prezes IPN prof. Leon Kieres.
- 13–14 maja **Wizyta przedstawicieli Fundacji Bundestagu – Stiftung Aufarbeitung der SED-Diktatur w IPN**. W delegacji niemieckiej przybyli m.in. Marcus Meckel, prof. Friedheim Boll, prof. Konrad Jarausch oraz dr Anne Kaminsky. Prof. Leon Kieres, przedstawił gościom strukturę i działalność IPN.
- 19 maja **Zakończył się proces przekazywania do zasobu archiwalnego IPN materiałów archiwalnych pozostających dotychczas w dyspozycji Wojskowych Służb Informacyjnych** – oświadczył szef WSI gen. Marek Dukaczewski podczas posiedzenia Kolegium IPN.
- **Duszpasterstwo akademickie lat siedemdziesiątych w Trójmieście** – to temat wykładu Justyny Skowronek, który odbył się w sali konferencyjnej im. Gen. A.E. Fieldorfa „Niła” w Gdańsku, w ramach cyklu „Z materiałów IPN. Wykłady – świadkowie – dokumenty – filmy”.
- 19–20 maja **Spotkanie przedstawicieli instytucji współorganizujących międzynarodową konferencję naukową poświęconą komunistycznemu aparatowi bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944/1945–1989**, planowaną na czerwiec 2005 r., odbyło się w siedzibie IPN w Warszawie. Wzięli w nim udział reprezentanci BEP IPN, niemieckiego Urzędu Pełnomocnika Rządu Federalnego ds. Dokumentów Służby Bezpieczeństwa b. NRD (BStU), Instytutu Historii Najnowszej Akademii Nauk RC (USD), czeskiego Urzędu Dokumentacji i Badań Zbrodni Komunistycznego Aparatu Bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej (UDV), słowackiego Instytutu Pamięci Narodowej (UPN) i Instytutu Studiów Politycznych PAN. Zaproszenie do współpracy przyjęły także Fundacja Badania Dyktatury SED i Centrum Badań nad Historią Najnowszą z Niemiec, których przedstawiciele nie mogli jednak wziąć udziału w spotkaniu. Podczas obrad omówione zostały wszystkie sprawy merytoryczne, finansowe i organizacyjne związane z planowanym przedsięwzięciem.
- 20 maja **Porozumienie o współpracy pomiędzy Instytutem Pamięci Narodowej i Ministerstwem Obrony Narodowej** podpisali prezes prof. Leon Kieres i minister Jerzy Szmajdzński.
- **Rozstrzygnięcie I edycji konkursu historycznego „Z rodzinnych albumów. Budowanie Niepodległej 1914–1939”**. Uroczyste wręczenie nagród i wyróżnień odbędzie się 5 czerwca w siedzibie krakowskiego IPN w Wieliczce w Pałacu Konopków, podczas Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.
- 21–22 maja **Konferencja naukowa „Zbrodnie medycyny w XX wieku. Zaprzeczanie – Wyjaśnianie – Nauczanie”** odbyła się w siedzibie Sądu Najwyższego w Warszawie. Honorowy patronat nad konferencją objęli prezes IPN prof. Leon Kieres oraz prezydent Miasta Stołecznego Warszawy prof. Lech Kaczyński. Konferencję zorganizowały: IPN, Ogólnoniemiecka Grupa Robocza Badania Historii „Eutanazji” i Przymusowej Sterylizacji, Polsko-Niemieckie Towarzystwo Zdrowia Psychicznego, Instytut Psychiatrii i Neurologii oraz Polskie Towarzystwo Psychiatryczne.

- 22 maja **BEP IPN uczestniczył w „Pikniku naukowym Polskiego Radia BIS”** na warszawskiej Starówce. Zaprezentowano wystawę „»Zwyczajny« resort. Ludzie i metody »bezpieki«”, przygotowaną przez OBEP IPN w Warszawie.
- 25 maja **Uroczystość wręczenia nagród w konkursie „Wysiedleni, wywiezieni... wspomnienia”** odbyła się w hotelu Art we Wrocławiu. Konkurs został zorganizowany przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego oraz Towarzystwo Przyjaciół Krzyżowej, przy współpracy z wrocławskim OBEP IPN.
- 26–28 maja **Rajd edukacyjny dla młodzieży na Roztoczu Wschodnim** zorganizowały OBEP IPN Rzeszów i Urząd Miasta i Gminy w Narolu. Trasa rajdu wiodła szlakiem bojowym 6. Dywizji Piechoty gen. Bernarda Monda, która w dniach 17–19 września 1939 r. toczyła ciężkie walki z oddziałami niemieckimi w okolicach Narola. Uczestnicy rajdu mogli też zetknąć się ze śladami sowieckiej okupacji na terenie Roztocza (pozostałości umocnień tzw. linii Mołotowa).
- 27 maja **Konferencja „Obóz w Potulicach – aspekt trudnego sąsiedztwa polsko-niemieckiego w okresie dwóch totalitaryzmów”** odbyła się w Instytucie Filologii Polskiej Akademii Bydgoskiej. Spotkanie przygotowane zostało przez OBEP IPN Gdańsk i Delegaturę IPN w Bydgoszczy.
- 28 maja **Wystawa „Zielona Góra. 30 maja 1960”**, przygotowana przez OBEP IPN Poznań, odbyła się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze. Ekspozycja ukazuje jeden z najbardziej dramatycznych momentów w powojennej historii miasta – obronę Domu Katolickiego.
- **„Represje wobec wsi i ruchu ludowego w latach 1944–1956”** – to tytuł wystawy i książki, zaprezentowanej w Sandomierzu w siedzibie Oddziału Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Wystawę otworzył dr Zbigniew Nawrocki, dyrektor IPN Rzeszów.
 - **Rozstrzygnięcie konkursu regionalnego „Od Rzeczypospolitej Podległej do Niepodległej 1944– 1989”** odbyło się w siedzibie Oddziału IPN Katowice.
- 28–30 maja **OBEP IPN Gdańsk uczestniczył w II Bałtyckim Festiwalu Nauki.** Na tegorocznym festiwalu zaprezentowano wystawę multimedialną dotyczącą służb specjalnych PRL w latach 1956–1989. Po prezentacji Leszek Postołowicz, zastępca dyrektora Archiwum IPN, wygłosił prelekcję „ABC teczek”. W dyskusji prowadzonej przez zastępcę prezesa IPN Janusza Krupskiego uczestniczyli działacze opozycji demokratycznej: Mirosław Rybicki, Bronisław Wildstein i Krzysztof Wyszkowski.
- 31 maja **Wystawa „Stan wojenny – spojrzenie po dwudziestu latach”**, przygotowana przez OBEP IPN Rzeszów, została otwarta w Gimnazjum nr 1 w Przeworsku. Wystawa przedstawia przebieg stanu wojennego w województwie podkarpackim oraz podziemne struktury „Solidarności”.

Opracowali: Elżbieta Duda, Michał Durakiewicz i Artur Gut

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	maj 2004 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	11	1101
GDAŃSK	25 (16* + 0**)	2288 (714* + 287**)
KATOWICE	42	1573
KRAKÓW	16	1656
LUBLIN	10	750
ŁÓDŹ	7	813
POZNAŃ	8	1558
RZESZÓW	10	995
WARSZAWA	8	1653
WROCŁAW	25	1080
BUiAD	33 (8***)	1531 (108***)
KONSULATY	0	239
RAZEM	195	15237
WNIOSKI ZREALIZOWANE		11625

wnioski przyjmowane w delegaturach: *Bydgoszcz, **Koszalin, ***Radom

BYĆ ŚLĄZAKIEM

Z ADAMEM DZIUROKIEM, RYSZARDEM KACZMARKIEM I KS. JERZYM MYSZOREM ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Jak zdefiniujemy Śląsk? Czy będziemy mówić o nim w jego granicach geograficznych, czy zmiennych granicach administracyjnych, czy o Śląsku jako miejscu i społeczeństwie?

J.M. – Przyjęło się mówienie o Śląsku w granicach województwa śląskiego, jeśli mówimy o okresie przedwojennym. Dolny Śląsk znajdujący się w polskich granicach po 1945 r. jest zupełnie inną jakością, jest czymś odrębnym, więc geograficznie obejmujemy Górny Śląsk, razem z Cieszyńskim.

A.D. – Górny Śląsk to jest pewien przypadek kulturowy, jako miejsce zamieszkania społeczności, która jest mocno związana wewnątrz i przez to odrębna od innych.

B.P. – A jak sobie radzimy z Opolszczyzną w takim podziale?

J.M. – Opolszczyzna stanowi część Górnego Śląska.

R.K. – Nie ma takiego pojęcia.

A.D. – Od XV wieku funkcjonuje nazwa Górny Śląsk (zastępująca termin Księstwo Opolskie), a jego stolicą było Opole.

R.K. – Faktem jest, że historycznie nie istnieje coś takiego jak Opolszczyzna, która kształtuje się dopiero w momencie stworzenia województwa opolskiego. Można mówić o rejencji opolskiej, ale nawet po stronie niemieckiej nikt nie miał wątpliwości, że to jest Górny Śląsk.

B.P. – Ale od strony Opolszczyzny nie ma wątpliwości, że to jest byt odrębny.

J.M. – Po 1945 r. zaczyna się tworzyć pewna odrębność Śląska Opolskiego. Jego mieszkańcy skutecznie budują swoją odrębną tożsamość faktami politycznymi i kulturowymi. Poszukują swoich korzeni także na gruncie kościelnym, sprowadzają definicję Śląska Opolskiego do granic kościelnych. Od kilkudziesięciu lat jesteśmy świadkami bardzo dynamicznego procesu kształtowania się poczucia nowej świadomości ludzi mieszkających na Śląsku Opolskim. Historyk będzie szukał jej źródeł w wydarzeniach z najnowszej historii Polski i mówił o pewnej całości lub odrębności w stosunku do Dolnego Śląska i Górnego Śląska rozu-



mianego jako obszar dawnego województwa śląskiego. Tak zwane Zaolzie, mimo że historycznie związane ze Śląskiem, to osobny problem.

WSPÓLNOTA WARTOŚCI

B.P. – Został określony teren. Warto opisać specyfikę społeczno-narodowościową Śląska. Z jednej strony są granice administracyjne, ale z drugiej Śląsk jest miejscem, gdzie ścierała się polityka przynajmniej polska i niemiecka, a wcześniej także czeska. Powiedzmy też, kogo traktuje się jako Ślązaka, czyli rodowitego mieszkańca Śląska. Jak opisać Ślązaków? Jak od strony społeczno-narodowościowej wygląda struktura tego regionu?

J.M. – Krąży takie obiegowe powiedzenie, że aby być uznanym za Ślązaka, trzeba się urodzić na Śląsku i mieć przynajmniej trzy pokolenia Ślązaków za sobą. A przecież jest grupa ludzi, którzy przybyli na Śląsk i ich dzieci już uważają się za Ślązaków, mówią piękną gwara śląską (o ile gwara jest piękna). Żartobliwie mówiąc, wstydzą się rodziców, że oni pochodzą z Wilna czy z Lwowa. Wcale niemała jest ta grupa ludzi, którzy oczywiście nie wypierają się swoich korzeni historycznych, pochodzenia, swoich rodziców, ale czują się Ślązakami i utożsamiają się ze Śląskiem. No i jest jeszcze taka luźna grupa składająca się z tych, którzy tu przybywają, a potem wyjeżdżają – napływowi pracownicy hut, kopalń.

A.D. – Zdefiniować Ślązaka jest szalenie trudno i na tym między innymi polegał problem i nazistów, i komunistów. Ślązakiem na pewno jest osoba, która uznaje wartości wspólne dla mieszkańców tego regionu.

B.P. – No właśnie, które są wspólne, przy takiej różnorodności losów?

A.D. – To jest wspólne przeżywanie historii i wyciąganie wniosków na przyszłość, w tym między innymi podejście do władzy, zwykle z dużym dystansem. To jest też poczucie przynależności do grupy zamieszkującej ten region, przywiązanie do tradycji, do religii, kultury, gwary. Każdy z tych wyróżników jest bardzo istotny. Jeżeli nie zaakceptuje się przynajmniej większości wartości śląskich, to trudno mówić o przynależności do tej grupy.

B.P. – Można na te kwestie spojrzeć bardziej szczegółowo, chociażby pod względem konfesji religijnej. Na Śląsku obecny jest przede wszystkim katolicyzm, ale związany ze Śląskiem jest również protestantyzm, łączony z polskością, bo to jest protestantyzm w „odmianie polskiej”. Wyznawcy protestantyzmu byli przecież obiektem germanizacji właśnie dlatego, że walczyli o zachowanie tej swoistej odmiany protestantyzmu związanego z językiem polskim. Bardzo zmienna jest też sprawa stosunku do władzy – reprezentowała ona tutaj, w ostatnich latach, dziesięcioleciach, stuleciach, przynajmniej dwa państwa. Jeśli



chodzi o tradycję i kulturę, w dużej mierze tworzy ją słowo, więc rodzi się pytanie, ku któremu językowi bardziej skłaniają się członkowie tej społeczności. Gwara nie jest jedynym wyznacznikiem językowym śląskości, przecież jest tu obecny i język polski, i niemiecki.

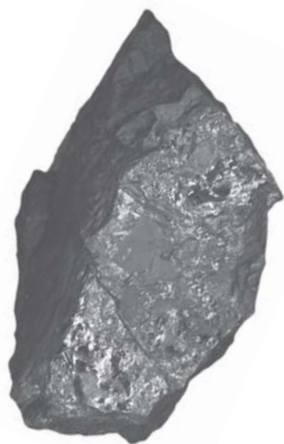
J.M. – Jest pewna odrębność, wyłoniona z procesu historycznego, jakiemu został poddany cały Śląsk lub jego części, związany dawniej z Czechami, monarchią austro-węgierską, potem Prusami i Polską: Śląsk najczęściej był przedmiotem przetargów, manipulacji. To sprzyjało tworzeniu się odrębności, zawsze w opozycji, swego czasu w stosunku do Prus, innym razem w stosunku do Polski. Nazywamy to może niezbyt ostrymi pojęciami, ale na tym terenie wskutek narożnikowego usytuowania wytworzył się właściwy dla Śląska system wartości i ten, kto go przyjmuje, jest akceptowany i przyjmowany do grona Ślązaków i będzie się dobrze czuł na Śląsku.

ODRĘBNOŚĆ CZY OBCOŚĆ

B.P. – Na Śląsku istnieje syndrom mniejszości narodowej, mimo że nie ma narodowości śląskiej. Ci, którzy naprawdę czują się Ślązakami, są związani z tym regionem, funkcjonują jak mniejszość narodowa i właściwie dopiero to, w moim przekonaniu, w pełni określa tę społeczność. Ona się poddaje takiej analizie, jak mniejszość narodowa, ze wszystkimi odrębnościami, poczuciem osobności, również autonomii.

R.K. – Trzeba to traktować bardzo dynamicznie. Pewne cechy Górnos Ślązaka sprzed stu lat nie muszą się przekładać na sytuację obecną. Drugą sprawą jest traktowanie Górnos Ślązaków jak swego rodzaju quasi mniejszość narodową, czyli grupę charakteryzującą się pewną odrębnością. Badania socjologiczne wyraźnie wskazują, że grupa, która ma poczucie tożsamości górnośląskiej, jest tutaj liczbowo mniejszością. Ksiądz profesor przed chwilą mówił o osobach, które już w drugim pokoleniu utożsamiają się z górnośląskością. Powiem o własnym doświadczeniu – moje dziecko absolutnie z tym się nie utożsamia. Moja córka uważa się wyłącznie za Polkę i koniec, nie ma tego utożsamienia Polak-Górnos Ślązak, nawet w dialekcie. Mieszkamy w diasporze, w Ty-chach, choć jest to diaspora specyficzna. Bardzo różne czynniki wpływają na stanowisko mojego dziecka, w tym szkoła. Nie zawsze jest więc tak, że ludzie ukorzeniają się w górnośląskości. Bardzo często pozostają przy swoim poczuciu narodowości, na przykład polskości.

B.P. – W losach Górnego Śląska i jego mieszkańców, szczególnie po 1939 r., wiele było momentów, w których myślano kategoriami nie tylko odrębności, ale i obcości. Nie tylko Ślązacy reprezentowali takie myślenie, ale również ci, którzy Śląsk posiadali i traktowali jego mieszkańców instrumentalnie. Udziałem mieszkańców Górnego Śląska były bardzo trudne doświadczenia, również natury mo-



ralnej, gdy stawiano ich wobec konieczności dokonywania wyboru między losem swoim a losem społeczności do której należeli. Te wybory były dramatyczne, tak samo jak losy poszczególnych osób. Wymagano od ludzi tego, by opowiedzieli się za Polską czy Niemcami i na dodatek rozliczano ich z dokonanego wyboru.

A.D. – Wydaje mi się, że problemem jest patrzeć na Śląsk przez pryzmat wyraźnych postaw narodowych i świadomości narodowej, funkcjonujących w Polsce poza Śląskiem. Czyli przenoszenie pewnych wzorców zachowań i postaw w patrzaniu na Śląsk. Trzeba jasno powiedzieć o roku 1939, że zupełnie inna była sytuacja tej ludności pogranicza, inaczej reagującej, mającej inne doświadczenia. Jeśli nie będziemy o tym pamiętać, to będą się rodziły złe skojarzenia. Istnieje stereotyp Ślązaka – zaprzańca i zdrajcy narodu polskiego. Przed 1939 r. Wojciech Korfanty szacował, że 30 proc. mieszkańców Śląska to ludzie labilni pod względem narodowym, Niemcy w czasie wojny mówili nawet, że stanowią oni połowę mieszkańców Górnego Śląska. Do tego trzeba dodać osoby zdeklarowane jako Niemcy – w 1931 r. było ich około 170 tys. Istniał tu cały katalog postaw, jeśli chodzi o stosunek do narodowości czy państwa. Nie można powiedzieć, że byli Polacy, Niemcy i Ślązacy. Byli Ślązacy, którzy czuli się przede wszystkim Ślązakami, byli Ślązacy polscy, niemieccy i byli Niemcy. Byli też Polacy, którzy czuli się Ślązakami, i byli Polacy, niemający żadnych związków ze Śląskiem, i wreszcie byli również Niemcy, którzy nie czuli się związani ze Śląskiem.

„PALCÓWKA”

J.M. – Śląsk po 1945 r. jest specyficznie traktowany przez władze polityczne i odpowiednio postrzegany przez resztę Polski. Zwróciłbym uwagę na to, że w okresie międzywojennym umocnił się na Śląsku syndrom odrzucenia, pogłębiony w czasie okupacji. Jest on związany z konkretnymi wydarzeniami politycznymi – w okresie międzywojennym między innymi polityką personalną ówczesnych władz wojewódzkich. Natomiast w okresie okupacji mamy do czynienia z nieszczęsną „palcówką”, a potem folkslistą. Po 1945 r. (warto zrobić na ten temat badania socjologiczne) nadal funkcjonuje, często wypierany do podświadomości, problem skutków folkslisty i „palcówki”. W mniejszym stopniu u nas, na Górnym Śląsku, w rozumieniu tzw. Śląska Polskiego, który wszedł w granice II Rzeczypospolitej, gdzie problem ten został skutecznie stłumiony albo wyjaśniony i usprawiedliwiony, między innymi na gruncie akcji zwanej rehabilitacją. Funkcjonuje on przede wszystkim w Polsce centralnej w postaci stereotypu Ślązaka – niepewnego narodowościowo, a nawet zaprzańca. Ślązak był stale zmuszany do potwierdzania swojej przynależności narodowej.

Należy przede wszystkim postawić pytanie: czy „palcówka”, a w mniejszym stopniu folkslista, stanowiła plebiscyt o charakterze narodowościowym?





R.K. – W końcu 1939 r. na terenie przedwojennego województwa śląskiego niemiecka policja przeprowadziła rejestrację mieszkańców. Nazwa „palcówka” wynika stąd, że na formularzu zamiast fotografii zostawiało się odcisk palca. Był to pierwszy od dłuższego czasu rodzaj spisu czy sondażu, dzisiaj byśmy powiedzieli – sondażu socjologicznego, w którym każdy Ślązak (nie chcę tu użyć słowa „mógł”), wypełniając ankietę, sam się klasyfikował pod względem narodowościowym. Trzeba podkreślić, że to nie było tak, że robił to bez nacisku, bo decydowało istniejące już przeczcucie, co może się stać. Doświadczenie wielkopolskie pouczało, że deklaracja polskości może się skończyć wysiedleniem. Był to sondaż przeprowadzony na podstawie odczuć subiektywnych dotyczących tego, kim ja jestem. Możliwość było kilka: jestem Polakiem, jestem Niemcem, albo jestem Ślązakiem, bo taka opcja też była. Podobnie z językiem: mówię po polsku, po niemiecku bądź po śląsku. Prawie 90 proc. odpowiedziało – jestem Niemcem albo – jestem Ślązakiem – jeśli te kategorie zsumować. Mówię o dawnym pruskim Śląsku, nie o Śląsku Cieszyńskim.

We wrześniu 1939 r. mamy do czynienia – jak wspomniano – z całym wachlarzem postaw, w odczuciu współczesnym panuje zaś przekonanie, że społeczeństwo działało jak monolit. Wtedy było to niemożliwe. Specyfika tamtej sytuacji została wytworzona nie przez wojnę, tylko przez cały okres przed wybuchem wojny. Trudno więc sobie wyobrazić, że wszyscy jak jeden mąż będą się zachowywali tak lub tak.

B.P. – **Jeśli żyjący w administracyjnych granicach Polski zdeklarowani Niemcy nie obchodzili chociażby polskich świąt państwowych, to trudno było oczekiwać od nich propaństwowej postawy.**

R.K. – Część z nich naprawdę była przesiąknięta wiarą w to, że państwo niemieckie przyjdzie z powrotem. I to nie chodzi o to, że to był jakiś rodzaj „piętej kolumny”, chociaż i takie przypadki się zdarzały. Po plebiscycie z 1922 r. takie były oczekiwania, a minęło zaledwie siedemnaście lat, prawie tyle, ile trwają nasze przekształcenia od 1989 r. To był tak niewielki dystans, że te siedemnaście lat wydawało się jakimś historycznym epizodem, a nie wielkim okresem polskości na Górnym Śląsku.

J.M. – Biskup katowicki Stanisław Adamski sugerował, żeby w czasie „palcówki” podawać się za Niemców, ze względów taktycznych. Rodzi się pytanie, czy właściwie odczytał nastroje panujące wśród ludności górnośląskiej, która była labilna narodowo, czy też jednak stosował bardzo przemyślaną taktykę. Jestem skłonny sądzić, że przeważyły racje taktyczne, które przeniósł z Wielkopolski, wyznając zasadę: przetrzymaliśmy kiedyś Prusaków w Wielkopolsce i „pracą organiczną” skłoniliśmy do odwrotu pruski żywioł, to przetrzymamy i teraz tę nawet hitlerowską. To jest tylko kwestia czasu, więc należy tutaj pozostać i przyjąć postawę,

jak sam powiedział – maskującą. Nadal bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy palcówka nie stała się w jakimś sensie, jeśli nie dla wszystkich, to jednak dla wielu plebiscytem o charakterze narodowym.

A.D. – Nie zapominajmy – to był policyjny spis ludności. Nie można tego rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji wojennej. Nie zgadzam się z tym, że „palcówka” była plebiscytem. To nie była wolna, swobodna możliwość wypowiedzenia swojego głosu za taką a nie inną państwowością, narodowością i językiem. Nawet jeśli nie czuło się fizycznego terroru, choć z pewnością wielu ludzi pod takim wpływem działało, to przecież Niemcy w ciągu kilku dni zajęli Śląsk bez większego problemu. Przez ten teren przetoczyła się cała machina wojenna. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, żeby zrozumieć, że to nie była deklaracja czy wyraz dezaprobaty dla tego, co się przeżywało przez te siedemnaście lat, ale to była odpowiedź na taki a nie inny przebieg działań wojennych. Ślązacy nauczeni doświadczeniem życia w różnych organizmach państwowych starali się unikać sytuacji konfliktowych i podeszli do „palcówki” bardzo pragmatycznie, wypełniając po prostu obowiązek nałożony przez nowe władze.

J.M. – Na gruncie kościelnym już w czasie wojny próbowano sformułować pewne kryteria zachowań możliwych do zaakceptowania dla Polaków czy Ślązaków, którzy czuli się związani z Polską, oraz zachowań zakazanych, które znamionowały zdradę nie tylko zewnętrzną, ale także i wewnętrzną. Zwracano uwagę na przykład na to, jakie imiona nadawano przy chrzcie – władze preferowały oczywiście nadawanie imion niemieckich – ale była przecież jeszcze możliwość nadawania imion obojętnych, neutralnych, może nie czysto polskich, ale takich, które funkcjonują w obszarze kultury łacińskiej. Obserwowano też zachowania duchownych – czy ktoś nie jest zbyt aktywny w stosunku do administracji okupacyjnej, czy nie pokazuje się manifestacyjnie z urzędnikami gestapo na ulicy wtedy, kiedy nie musi, czy używa języka niemieckiego wtedy, kiedy nie musi. Jeśli na przykład ksiądz w kancelarii parafialnej, wiedząc, że ma do czynienia z kimś, kto bezbłędnie mówi po polsku, używał języka niemieckiego, to taki ksiądz był podejrzany albo jako oportunistą, albo jako skłaniający się w tę drugą stronę. Można wymienić szereg takich kryteriów, które pozwalały w kurii diecezjalnej w Katowicach określić stopień odstępstwa; czy już doszło do tej wewnętrznej zdrady, a więc nie tylko tego zalecanego maskowania się.

B.P. – Wtrącę kilka słów na prawach dyskutanta. Pod koniec XIX wieku na Śląsku powstało wielkie środowisko przemysłowe. Mieszkańcy Śląska mogli zobaczyć, jaka jest różnica w administrowaniu zakładami przemysłowymi, czy w ogóle administrowaniu regionem przez Niemców, którzy byli z jednej strony właścicielami, często bezwzględni wyzyskaczami, ale z drugiej strony budowali specjalne osiedla dla robotników. Różnie może było z wypłatami, ale coś z tej niemieckiej praworządności czy porządku budziło podziw. Moi koledzy ze studiów mówili,



że nie mogą patrzeć na tę socjalistyczną bylejakość, bo oni z doświadczeń swoich rodzin wiedzą, jak można administrować państwem, regionem, ulicą, dbać o czystość. To są może trudno definiowalne sytuacje, ale tłumaczą, dlaczego wielu Ślązaków spogląda na Niemcy nie jako na ojczyznę, ale jako na pewien wzór funkcjonowania społeczeństwa. Ich oczekiwania wobec Polski, jako kraju sprawiedliwego i dobrze rządzonego, zostały zawiedzione.

SPOŁECZNY OPÓR

B.P. – Powróćmy do roku 1939, jak to było z obroną Katowic i Śląska?

R.K. – Obrona Śląska była częścią obrony całej Rzeczypospolitej. Plan wojskowy zakładał obronę Górnego Śląska przez wydzieloną jednostkę podporządkowaną Armii Kraków. Była to Samodzielna Grupa Operacyjna Śląsk pod dowództwem gen. Jana Jagmina Sadowskiego. W praktyce Górny Śląsk, jako obszar wysoko zindustrializowany, nie był atakowany przez Niemców. Także strona polska wiedziała wcześniej, że atak raczej nie nastąpi. Obydwa uderzenia armii niemieckich poszły po skrzydłach – jedno na Częstochowę, drugie na Pszczynę. Do 2 września 1939 r. można mówić o dość skutecznej obronie części centralnej Śląska. Mimo pewnych zagrożeń, które się pojawiły pod Mikołowem, obrona była skuteczna. Zatańczenie na obydwu skrzydłach zdecydowało o tym, że po rozmowie między gen. Sadowskim a gen. Szyllingiem (dowódcą Armii Kraków) i konsultacjach między Szyllingiem a marsz. Rydzem-Śmigłym zdecydowano się na opuszczenie Górnego Śląska przez regularne wojska. „Odskok” zaczął się już w nocy z 2 na 3 września i trwał przez całą dzień 3 września. Żeby przeciąć jakiegokolwiek wątpliwości, muszę dodać, że był to bardzo sprawnie przeprowadzony manewr wojskowy. Nie było sensu utrzymywania wydzielonego obszaru. Sadowski rozważał taki pomysł, żeby zostawić część grupy „Śląsk” i bronić się w wydzielonych punktach oporu. Prawdopodobnie dość długo by to trwało, bo trzeba by prowadzić walki uliczne. Grupa operacyjna po sprawnym opuszczeniu Śląska działała jako zwarta jednostka aż do bitwy pod Tomaszowem Lubelskim, czyli w praktyce okazała się jednostką zdolną do działania bardzo długo, przez trzy dekady. To, co działo się po 3 września na Górnym Śląsku, trudno nazywać obroną wojskową.

B.P. – Pozostał już tylko opór społeczny.

R.K. – Tak, dlatego miało to charakter epizodyczny w wydzielonych miastach czy dzielnicach, gdzie pozostały grupy młodzieży powstańczej, albo gdzie działali powstańcy, wcześniej jeszcze zorganizowani w oddziałach samoobrony.

B.P. – A jeśli chodzi o działalność dywersyjną Niemców przed 3 września?



R.K. – Freikorpsy (niemieckie oddziały ochotnicze) organizowano od sierpnia, a na Opolszczyźnie nawet od czerwca 1939 r. Dywersja nie była taka prosta, bo zakłada ona działanie na tyłach wrogów. Trzeba pamiętać, że Freikorpsy nie były przerzucane za linię frontu – oddziały te szły niejako na czele wkraczających wojsk niemieckich. W momencie wkraczania wojsk niemieckich na Górny Śląsk uaktywniły się grupy folksdojczów. To byli miejscowi Niemcy, prawdopodobnie mający kontakty z władzami wojskowymi. Zakładali opaski, niekiedy wyciągali posiadaną broń i wychodzili na ulice miast. Istniały specjalne instrukcje wojsk niemieckich pozwalające rozpoznawać grupy folksdojczów. Znakiem rozpoznawczym były żółte opaski na lewym przedramieniu i hasła. Te dane przekazano dowódcom wkraczających czołowych jednostek niemieckich.

OBRONA WIEŻY SPADOCHRONOWEJ

B.P. – Długie lata stojąca w katowickim Parku Kościuszki wieża spadochronowa uchodziła za symbol oporu we wrześniu 1939 roku. Mówiono o broniących się na niej harcerzach, ciężkich stratach, jakie poniósł w tej walce wkraczający Wehrmacht, w końcu o bestialskim potraktowaniu obrońców przez rozwścieczonych oporem Niemców. A jak naprawdę wyglądała obrona wieży?

R.K. – Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że nie odbyła się ona 3 września. Do tej pory przyjmowano, że walki toczyły się od popołudnia 3 i trwały jeszcze dnia następnego, 4 września. Wojska niemieckie wkraczały do Katowic między innymi od strony Chorzowa. Jeżeli 3 września w rejonie wieży była jakaś strzelanina, to raczej z grupami folksdojczów. Tego dnia w tym rejonie nie mogło jeszcze być regularnych wojsk niemieckich. 239. Dywizja Neulinga weszła do Katowic od strony Mikołowa wczesnym rankiem 4 września. Wieża spadochronowa też znajduje się po południowej stronie miasta. Gdyby nawet założyć, że wcześniej jeszcze, 3 września, wyszły jakieś oddziały zwiadu, o których nie wiemy, to trudno sobie wyobrazić, żeby po ostrzeleniu takiego zwiadu (a mamy takie informacje, że zwiady były ostrzeliwane), ta dywizja szła otwartym marszem następnego dnia, jakby czekając, aż do niej zaczną strzelać. To nierealne. A ona rzeczywiście szła w otwartym marszu, to znaczy tylko z oddziałem zwiadu z przodu, w rozwiniętym szyku. Wynika z tego, że te walki 3 września nie mogły mieć miejsca.

Wiemy, że dywizja podeszła do Parku Kościuszki, gdzie stoi wieża, i została ostrzelana z karabinów maszynowych. Wiemy, że Niemcy podciągnęli działo, potem drugie, ale to drugie służyło tylko do osłony. Z jednego działka przeciwpancernego oddano prawdopodobnie dwa strzały artyleryjskie i chyba na tym ostrzał się skończył. To mogło trwać 15–20 minut. Później mamy lukę. Wiemy, że oddziały niemieckie weszły do Parku Kościuszki, wiemy też, że tam byli Niemcy, prawdopodobnie grupy folksdojczów. Wiemy z raportu, że oni jakby oczekując na nadejście wojsk nie-



mieckich w okolicach parku, rozproszyli się. Oddziały niemieckie podeszły pod wieżę. Nasza niewiedza polega na tym, że nie wiemy, ile osób było na wieży, kim były te osoby. Do tej pory przyjmowano, że byli to harcerze.

J.M. – Są zeznania, że pod wieżę widziano ciała harcerzy.

R.K. – Pewności jednak nadal nie mamy, bo nie wiemy, czy to były ciała tych, którzy zostali na wieży, choć z dużym prawdopodobieństwem można to przyjąć. Wiemy na pewno, że toczyły się walki w Parku Kościuszki. Prawdopodobnie w samym parku były oddziały polskie – Młodzież Powstańczej, także harcerzy.

Cała ta dywizja wkracza do centrum Katowic około godz. 11.30. Pod wieżę była mniej więcej w godzinach 8.00–10.00 (jeszcze musimy mieć czas na walki w centrum Katowic). Walki pod wieżę trwały więc około dwóch godzin. Przypuszczam, że nawet krócej, bo podciągnięcie tej dywizji i znacznie ostrożniejszy marsz do centrum miasta musiał pochłonąć więcej czasu. To zresztą nie ma większego znaczenia. Nie wiemy dokładnie, co się działo w samym Parku Kościuszki, co się działo na wieży, jak dalece ta wersja zrzucania ciał jest prawdziwa.

J.M. – Może je zrucano.

R.K. – No więc właśnie. Ja nie mówię, że ich zrucano żywcem, bo to jest częścią legendy. Jestem przekonany, że nikt ich nie znośli. Bo ci, którzy widzieli wieżę, wiedzą, że to nie jest miejsce, na które łatwo wejść i łatwo zejść, nawet dzisiaj, kiedy jest niższa. Nie sądzę też, że ktoś, kto zdobywał tę wieżę, wspinał się na nią, bo to ze względów taktycznych jest zupełnie bezsensowne. O wiele prościej było „uciszyć” wieżę przez ostrzał. Myślę, że problem wieży to nie jest problem wydarzeń, które się tam rozegrały, według mnie problem tkwi w tym, jak wieża funkcjonuje w świadomości historycznej.

B.P. – Jako symbol.

R.K. – Zgoda. Mówienie o obronie Górnego Śląska przez pryzmat wieży to jest teza ahistoryczna. To był tak niewielki epizod, że proszę mi wierzyć, dla większości historyków zajmujących się II wojną światową poza Górnym Śląskiem ten fakt w ogóle nie istnieje. On nie istnieje w syntezach historii Śląska, tych które ostatnio się ukazały, dlatego że z punktu widzenia wojskowego to jest epizod bez większego znaczenia.

B.P. – Dla mnie to jest historia przejmująca. Czytałam o tym książkę w dzieciństwie i zalewałam się łzami. Myślę, że nie ja jedna.

R.K. – Na Górnym Śląsku są dziesiątki, jeżeli nie setki takich przykładów, jak wieża spadochronowa, w których Górnoszlązacy pokazali, że chcą wal-



czyć o Polskę, nawet w tej sytuacji, kiedy odeszły wojska polskie. Czy to było sensowne, czy bezsensowne, to jest inna sprawa. W poszczególnych małych miejscowościach mamy do czynienia ze strzelaninami, z ostrzeliwaniem *Einsatzgruppen*. To jest problem innego typu, mianowicie czy te kilkudniowe walki – od 3 do połowy września (jeszcze wtedy, jak wynika z raportów *Einsatzgruppen*, „czyszczono” lasy pszczyńskie z oddziałów samoobrony narodowej) – miały sens, czy były skuteczne. Te oddziały działały na własną odpowiedzialność, bo chciały walczyć i nie chciały opuszczać tej ziemi. Sadowski wydał wyraźną dyspozycję, żeby opuścić obszar Górnego Śląska. Wieża spadochronowa dlatego ma taką rangę, że symbolizuje ileś przypadków samoobrony.

J.M. – W sferze symbolicznej streszcza pewne pragnienia czy wyobrażenia o Śląsku w 1939 r., przynajmniej tej grupy, która widziała klęskę Polski w tych pierwszych dniach wojny. Wieża spadochronowa pięknie oddaje pewien stan świadomości.

R.K. – W świadomości Górnoszlązaków po 1945 r. tkwiło jeszcze jedno wspomnienie, o którym się rzadko pisze – wyjścia z Górnego Śląska ludności napływowej i urzędników. Polacy, którzy przybyli tutaj budować Polskę w 1922, 1923 r. – odjeżdżają. Opuszczają Śląsk jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych – furmankami, własnymi samochodami, koleją. To głęboko zapadło w świadomość tutaj żyjących mieszkańców. Symbol wieży miał równoważyć tamto wspomnienie. Ten wyjazd Polaków to też jest jakiś mit, chociaż nie wszyscy wyjeżdżali, poza tym niektórzy dostali rozkaz wyjazdu.

A.D. – To nie są zjawiska równoważące się. Fakt obrony Śląska można przeciwstawić jedynie natychmiastowemu ujawnieniu postaw proniemieckich, a właściwie nazistowskich. Z jednej strony – wywieszanie flag ze swastykami, z drugiej – obrona wieży. Zresztą historycy podkreślają, że działania prowadzone tu przez grupy samoobrony, harcerzy, byłych powstańców – to jest fakt w skali kraju wyjątkowy. Czegóż takiego gdzie indziej nie było – wszędzie obronę prowadziły oddziały wojskowe, a na Śląsku działania wojskowe prowadziła ludność cywilna. To bardzo ważne.

J.M. – To wynik istnienia syndromu powstań śląskich.

A.D. – Nawet jeśli w sensie wojskowym była to demonstracja całkowiście nieistotna i skazana z góry na niepowodzenie, to opisywała ona postawę taką – pamiętajcie, Niemcy, nie przychodźcie na swój teren, polskość jest tutaj silna.

J.M. – Po 1945 r. starano się ujednoczyć wizerunek Śląska i Ślązaków z 1939 r., nie ukazując tego, co nazwane tu zostało pełnym wachlarzem postaw. Przypominano wejście Niemców, swastyki, ludzi siedzą-



cych ze strachu w domu. Dlatego historia wieży spadochronowej nabrała tak wielkiego znaczenia i wartości symbolicznej. Tak zachowywali się Górnolązacy – byli na wieży, byli rozstrzeliwani, byli zastraszeni.

ZMIANY FLAG

A.D. – Między wywieszaniem flagi ze swastyką a strzelaniem do wojsk niemieckich jest przecież wiele zachowań pośrednich: ludzie wychodzili na ulice, stali, obserwowali wojska. I w relacjach wielu osób istnieje wspomnienie, że wychodziło się oglądać te wojska niemieckie bez poczucia nienawiści, chęci zemsty czy obawy, choć oczywiście te uczucia też były, ale że obserwowano te wojska z dużym podziwem – ze względu na sprawność organizacyjną, szybki przemarsz. To nie jest dominująca, ale znacząca grupa.

J.M. – Jeszcze o tym wywieszaniu flag. Należy osłabić siłę tego obrazu, bo to brzmi strasznie – wojska niemieckie wkraczają do Katowic i są z radością witane. Zrobiłem ankietę wśród starszej generacji księży i spotkałem się z ciekawą refleksją, którą powtarzam, bo jest przekonująca: w moim pokoleniu, mówił jeden z uczestników ankiety, to myśmy cztery razy zmieniali flagi – do 1917 r. posiadaliśmy pruskie flagi, następnie w 1922 r. należało wywiesić polskie, w 1939 – niemieckie i w 1945 r. – polskie; a mój dziadek służył w wojsku pruskim, ja byłem w wojsku polskim, potem w Wehrmachcie, a po 1945 r. mogłem być jeszcze w armii polskiej. Być może jakaś grupa zdeklarowanych Niemców z radością w 1939 r. witała ich wojska, ale stan nastrojów zmieniał się w czasie II wojny. Po Stalingradzie oni by już takiej flagi nie wywiesili z taką radością albo w ogóle by tego nie zrobili, już się zaczęli bać albo wstydzić. Poza tym świadomość zmieniała się także, gdy docierała do ludzi prawda o tym, co niesie ze sobą wojsko hitlerowskie, Wehrmacht, gestapo. Niektórzy księża, którzy z pewną ulgą stwierdzali, że „wróciliśmy do naszej ojczyzny”, gdy dowiedzieli się o pierwszych aresztowaniach wśród duchownych w październiku 1939 r., już nie byli tacy rozradowani. Datami granicznymi są dla duchownych pierwsze wieści o represjach i obozach koncentracyjnych, a dla przeciętnego mieszkańca Śląska – Stalingrad.

R.K. – Przecież ludzie nie witali wojsk nazistowskich, w większości nie mieli zielonego pojęcia, czym jest nazizm. Jasne, że była grupa górnośląskich Niemców, która została „znazizowana”, ale to nie była w żadnym razie grupa większościowa. Większość Ślązaków jeżeli witała z entuzjazmem czy z radością wkraczających Niemców, to witała ich jako Niemców, a nie jako nazistów. To jest rzecz niebywale istotna, bo ci ludzie dopiero z czasem zebrali doświadczenie, że to są zupełnie inne Niemcy niż te Niemcy Kaisera. To nie była naiwność Górnolązaków. Można przypomnieć 1939 r. w Krakowie – otwarcie Uniwersytetu Ja-



giellońskiego. Przyszła na nie większość profesorów, ponieważ oczekiwano, że to będą te Niemcy legalistyczne, w każdym razie podstawy porządku niemieckiego na pewno zostaną zachowane. Takim złudzeniem tym bardziej ulegali ci, którzy często byli wychowani w tradycji niemieckiego legalizmu. Zostało to później zweryfikowane w świadomości Górnolązaków przez sześć lat wojny.

A.D. – Istnieje takie określenie – *Septemberdeutsche*, Niemcy wrzesniowi – to byli tacy przedstawiciele Górnolązaków, którzy uwierzyli, że wrzesień 1939 r. przesądza o ich przyszłości na długie lata. Byli oczarowani wszystkim tym, co niesie ze sobą armia niemiecka. Wracając do stanu świadomości i doświadczeń okresu międzywojennego – istotnie była taka ocena wyższości państwa niemieckiego, jego zorganizowania. Większość Górnolązaków doświadczyła życia w dwóch organizmach państwowych i to porównanie w 1939 r. wychodziło na korzyść państwa niemieckiego. W tym sensie te niemieckie sentymenty były mocne i to, co tutaj zostało powiedziane, niekoniecznie wiązało się z przyjęciem opcji nazistowskiej.

OJCZYŻNA – MAŁA I DUŻA

B.P. – Tu pojawia się specyficzny problem pogranicza – patriotyzmu, jako umiłowania małej ojczyzny i pragmatycznej potrzeby funkcjonowania w dobrze zorganizowanym mechanizmie administracyjnym. Cały ten dramat odbywał się na takiej właśnie płaszczyźnie. Granice małej ojczyzny były rozszerzane przez jedność językową w stronę państwa polskiego, a jednocześnie żywe pozostawały z tej strony nie najlepsze doświadczenia bytowe. Stąd postawa akceptacji dla przyjścia Niemców i ich administracji. Tym bardziej, że to nie była historycznie nowa sytuacja, takie zmiany były wpisane w historię Śląska.

R.K. – Pokolenie, które uczestniczyło w obronie Śląska, nie miało doświadczenia życia w dwóch systemach państwowych. Wychowane przez nauczycieli galicyjskich reprezentowało zupełnie inne pojmowanie patriotyzmu. To byli tacy górnośląscy Kolumbowie – pierwsze pokolenie, które wchodzi w ostry konflikt narodowościowy wywołany wojną – oni mieli za sobą jedynie doświadczenie polskiej szkoły, polskiej tradycji kulturowej, byli do niej głęboko przywiązani, byli rzeczywiście głęboko patriotyczni. To było inne pokolenie niż pokolenie ich ojców.

A.D. – Ale była też bardzo liczna grupa, dla której wartości narodowe nie były najbardziej istotne, wyżej od nich stawała przynależność grupową, więzi rodzinne, powiązania językowe, kulturowe. To zaciążyło na efekcie „palcówki” – dla nich określenie przynależności narodowej, czy jestem Niemcem czy Polakiem, było sprawą wtórną, drugorzędną.



B.P. – Najważniejsze było, że jestem na przykład z Siemianowic.

J.M. – Najmłodsze pokolenie duchowieństwa wychowane już w diecezji katowickiej jest najbardziej zradykalizowane – bierze udział w ruchu oporu, angażuje się w Armii Krajowej i w nielegalne w działania o charakterze charytatywnym. Starsze pokolenie reprezentowało mniej wyrazistą postawę i to nie był oportunizm, ale raczej doświadczenie historii – byli tu Niemcy, przyszli Polacy, teraz znowu przyszli Niemcy i tak toczy się koło historii, nie wiadomo, co będzie, a więc trzeba przede wszystkim zajmować się duszpasterstwem. Pamiętajmy, że tutaj jeszcze funkcjonował nakaz bp. Adamskiego, żeby ksiądz trzymał się przede wszystkim duszpasterstwa, a nie polityki. Młode pokolenie za swoje zaangażowanie konspiracyjne zapłaciło wysoką cenę w obozach koncentracyjnych i więzieniach.

R.K. – Gdy się mówi o tym młodym pokoleniu patriotycznym, to trzeba pamiętać, że to było pokolenie sanacji. Nie twierdzę, że wszyscy byli zwolennikami sanacji, ale generalnie Związek Powstańców Śląskich i wszystkie organizacje, które dawały świadectwo swojej polskości, to były grupy sanacyjne, w tym Oddziały Młodzieży Powstańczej i Związek Harcerstwa Polskiego. Byli za młodzi, żeby stać się elitą polityczną czy administracyjną. Pokolenie starsze, to z tym podwójnym doświadczeniem, reprezentowała głównie chadecja górnośląska, tzw. korfanciarze.

FOLKSLISTA

B.P. – Powiedzmy o niemieckiej liście narodowościowej i jej konsekwencjach, już powojennych. Bo te wojenne są jasne.

J.M. – Pomysł weryfikacji postaw i rehabilitacji Górnoślązaków nie narodził się w PRL, powstał w rządzie londyńskim, na przełomie grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. W rządzie londyńskim utrwaliła się opinia, że ci wszyscy, którzy zdradzili, albo z jakichś powodów przeszli na stronę niemiecką, będą musieli po wojnie poddać się weryfikacji, która wyjaśni ich zachowania i wybory dokonane po 1939 r.

A.D. – Niemiecka koncepcja była taka – przychodzimy na tereny spolszczone w okresie międzywojennym, ale odwiecznie niemieckie, więc należy wszystkich, którzy przynależą do narodu niemieckiego, albo są w jakiś sposób do odzyskania dla Niemiec, objąć listą narodowościową. Akcja folklisty odbywała się w warunkach wojennych, w obliczu zapotrzebowania na rekruta do wojska, a zarazem konieczności pozostawienia odpowiednich fachowców w ważnym ośrodku przemysłowym, więc nie mogła być obiektywną czy w miarę prawdziwą klasyfikacją Ślązaków pod względem narodowym. To był pewien paradoks – Niemcy dokonali czegoś z nadużyciami, przy nacisku, zastraszaniu itd., a władze komunistyczne powiedziały – dobrze, mamy taki stan na Śląsku, mamy



podział ludności na cztery grupy folkslisty, i to jest nasz stan wyjściowy. Nazwałem to polityką odwróconej folkslisty, bo myślano dokładnie takimi samymi kategoriami – im wyższa grupa folkslisty, tym „większy” Niemiec. Tak zwana likwidacja skutków folkslisty odbyła się przy olbrzymich nadużyciach administracyjnych, aparatu bezpieczeństwa, MO, nadużyciach popełnianych podczas rehabilitacji. Wszystko pod hasłem: nie oddamy ani jednego Polaka, ale nie chcemy ani jednego Niemca.

B.P. – Folkslista była jedyną wskazówką, bo według jakiego klucza miałyby następować rehabilitacja zaraz po wojnie?

A.D. – Naturalnie, chociaż już wojewoda Aleksander Zawadzki uznał, że wpis na folkslistę w województwie śląskim odbywał się na zasadzie przymusu. Coraz częściej dostrzegano, że to nie jest narzędzie, którym należy się posługiwać. Co więcej, zrazu przykładano niewłaściwą miarę do tych spraw, ponieważ aresztowania na początku 1945 r. przebiegały na podstawie dekretu PKWN z 4 listopada 1944 r. „o środkach zabezpieczających w stosunku do zdrajców Narodu”, dotyczącego osób, które się deklarowały jako folksdojczy na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Taką podstawę aresztowania wpisywano na Górnym Śląsku, choć dekret ten tutaj nie obowiązywał. Trudno też było się powoływać się na dekret z 28 lutego 1945 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów, gdyż ostatecznie nie wszedł w życie. Mamy wreszcie ustawę o tej samej nazwie z 6 maja 1945 r., która przymusowemu, sądowemu postępowaniu rehabilitacyjnemu poddawała osoby wpisane do II grupy folkslisty, a posiadacze grupy III i IV w celu otrzymania tymczasowego zaświadczenia obywatelskiego (od sierpnia już stałego) byli zobowiązani do złożenia deklaracji wierności wobec państwa i narodu polskiego. Majątek osób z II grupą folkslisty podlegał zajęciu do momentu uwzględnienia wniosku o rehabilitację, a kiedy sąd odrzucał wniosek, wówczas wnioskodawca trafiał na czas nieokreślony do obozu pracy, zostawał pozbawiony praw honorowych i publicznych, a cały majątek ulegał konfiskacie. Ustawa nie przewidywała żadnych regulacji pośrednich pomiędzy pełnym zrehabilitowaniem a odrzuceniem wniosku i umieszczeniem w miejscu odosobnienia. Osoby zaszeregowane do I grupy folkslisty uznane zostały za Niemców i nie miały możliwości uzyskania obywatelstwa polskiego na drodze rehabilitacji. W połowie 1946 r. uznano, że sprawa folkslisty jest wtronna, a kryterium stanowi zachowanie się danego człowieka w czasie wojny, to, czy w jakiś sposób wykazywał przywiązanie do narodowości polskiej albo czy nadmiernie nie wykazywał przywiązania do narodowości niemieckiej. W ciągu kilkunastu miesięcy postrzeganie spraw śląskich przez władze centralne i wojewódzkie znacznie się zmieniło – od początkowego uznawania za Niemców wszystkich posiadaczy I i II grupy folkslisty, poprzez możliwość zrehabilitowania tych drugich, do przyznania, że kryteria niemieckiej listy narodowościowej nie były wystarczającą podstawą do przeprowadzenia selekcji narodowościowej. Ostateczne zerwanie z zasadą, że stopień winy



zależy od kategorii niemieckiej listy narodowościowej, zostało potwierdzone w ustawie z 28 czerwca 1946 r. o odpowiedzialności karnej za odstąpienie od narodowości w latach 1939–1945. Ostatecznie sprawę folkslisty formalnie zamknięto w 1950 r. ustawą o zniesieniu sankcji oraz ograniczeń w stosunku do obywateli, którzy zgłosili swą przynależność do narodowości niemieckiej.

WERYFIKACJA

B.P. – Można sobie wyobrazić, że rozstrzygnięcie o wierności lub jej braku było polem do wszelkiego rodzaju manipulacji i nadużyć, chociażby wynikających z osobistych animozji.

A.D. – Ważne były również sprawy majątkowe. W wysoce skomplikowanej sytuacji narodowościowej na Górnym Śląsku wystarczył donos sąsiada, by wskazany, jako zdrajca narodu, znalazł się w więzieniu lub obozie, a jego mieszkaniem zaopiekował się „życzliwy sąsiad” lub jeszcze częściej osoba, która dopiero co przybyła na te tereny. Jeśli chodzi o osoby z II grupą folkslisty, można mówić o masowej skali nadużyć. Bez oglądania się na decyzje władz prokuratorskich, władze bezpieczeństwa zatrzymywały na ulicach, w domach, w zakładach pracy tzw. dwójkarzy i kierowały do obozów pracy. Nadużycia takie odbywały się na dużą skalę, łącznie z fałszowaniem folkslist. Znalaziono nawet w katowickim magistracie swoistą „fabrykę nielegalnych folkslist”, gdzie wystawiano, na oryginalnych drukach, z oryginalnymi pieczęciami, odpowiednie dokumenty – niższe grupy folkslisty dla tych, którzy chcieli uniknąć represji i wyższe dla chcących wyjechać do Niemiec.



R.K. – Należy pamiętać, że w końcu lat czterdziestych raczej wracało się tutaj, bo życie w Niemczech było bardzo trudne. Składano podania o zgodę na powrót, na przykład z obozów jenieckich. Lata, w których trwały rozliczenia z folkslisty, pozostawiły wielki ślad w świadomości Górnoślązaków. W większości czuli się zupełnie niewinni tej sytuacji, bo przecież urzędnik niemiecki dał im jakąś tam grupę folkslisty i na przykład ci, którzy mieli III grupę, przez pół roku nie mieli obywatelstwa polskiego, żyli na tymczasowych zaświadczeniach, groziła im utrata majątku albo już zostali go pozbawieni. Osadnicy wchodzili do ich domów. Ten horror trwał przez trzy lata po wojnie. Ludzie żyli w stanie zawieszania i nie wiedzieli, czy zostaną tutaj, czy nie. Koczowali na walizkach. Byli zagrożeni nie tylko denuncjacją, ale powolnością działań administracyjnych. W większości rodzin górnośląskich usłyszy się jakąś historię o tym, jak rozliczano ich z folkslisty, i każda z tych historii jest inna, trudno to skategoryzować.

J.M. – Biskup Adamski proponował, żeby wysiedleniom podlegali tylko i wyłącznie funkcjonariusze państwowi, czyli ludzie zaangażowani w ad-



ministrację państwową, przede wszystkim partyjni, w jakiś sposób włączeni w struktury NSDAP i czynnie zaangażowani w życie polityczne. Do NSDAP nie ściągnano siłą, tam trzeba było przyjść samemu i mieć rekomendację. Wychodził z założenia, że ślepo stosowane prawo może skaleczyć. Dlatego świadomie bronił na przykład księży pochodzenia niemieckiego, twierdząc, że jeśli któryś z nich w sumieniu nie ma nic sobie do zarzucenia, i jeśli parafianie bronią takiego księdza, wykazując jego właściwą postawę w czasie okupacji, to znaczy, że trzeba po prostu przyjąć inne kryteria, o charakterze nie prawnym, lecz moralnym. Biskup Adamski, mając na uwadze także swoją politykę z okresu międzywojennego, uważał, że wielu Ślązaków, którym groziło wysiedlenie, to ludzie do „odzyskania” dla polskości. Trzeba im tylko pozwolić tutaj pozostać; z pewnością się spolonizują. Mam na myśli ludzi określanych jako Pantowcy (zwolennicy Eduarda Panta, Niemca, stanowczego przeciwnika narodowego socjalizmu w okresie międzywojennym). Będą lojalni wobec państwa polskiego, a z biegiem czasu – taka była taktyka Adamskiego – ten żywioł śląski, polski, wchłonie ich i spolonizuje. Taką taktykę stosował przed wojną i w pierwszych dniach okupacji (chodzi o „palcówkę”) i z takimi samymi założeniami występował po 1945 r.

A.D. – To jest cały czas patrzeć na ten problem od strony formalnej. Zwracał na to uwagę gauleiter Fritz Bracht w czasie wojny, który stwierdził, coś z tego, że my mamy Ślązaków wpisanych na folkslistę, jeżeli oni się zachowują tak, jakby w ogóle folkslisty nie mieli, dalej rozmawiają po polsku. Ale jeśli chodzi o kryterium przynależności do NSDAP, to też było bardziej skomplikowane. Zawadzki mówił, że ostry kurs wobec „dwójkarzy” wynikał z tego, iż władze nie miały rozeznania w sytuacji na tym terenie, a nawet, że podchodzenie formalne do członków NSDAP, na zasadzie odrzucenia, bo to są Niemcy, nie jest do końca racjonalne. W 1950 r. władze polskie przyznały, że w województwie katowickim nawet formalna przynależność do NSDAP nie zawsze może decydować o pozbawieniu obywatelstwa.

J.M. – Ale to jest rok 1950, to już trochę inna sytuacja. Przynależność do NSDAP była czytelniejszym kryterium, bardziej sprawiedliwym niż sama folkslista.

R.K. – Problem rozliczenia folkslisty dotyczył wszystkich regionów graniczących z Niemcami w Europie. Władze komunistyczne nie były tu osamotnione, podobnie było między innymi we Francji, w Jugosławii. Na rozliczenie folkslisty prawdę powiedziawszy nie ma metody doskonałej. A pamiętajmy, że po 1945 r. panowała taka atmosfera, że każdy Niemiec był nazistą. Sytuacja Górnego Śląska była nietypowa. Czym innym była folkslista na terenach wcielonych – w Wielkopolsce, jeszcze inaczej było na Pomorzu. Ja myślę, że władze w 1945 r. nie miały pojęcia o masowości tego problemu na Śląsku, okazało się, że dotyczy on prawie

wszystkich jego mieszkańców pośrednio lub bezpośrednio. Na dawnym tzw. pruskim Górnym Śląsku folkslistą objęte było prawie 90 proc. ludności. W 1945 r. potrzebne było i samo rozstrzygnięcie tego problemu, i narzędzie, które pozwoliłoby to zrobić. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nie dokonano tej operacji. Mielibyśmy do czynienia z dużą grupą mniejszości niemieckiej, która pozostałaby na tym terenie, może zaczęłaby wyjeżdżać w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jak wyglądałaby sytuacja ludności polskiej, szczególnie w małych, zamkniętych społecznościach wiejskich? Jak żyłyby te zbiorowości, ze świadomością, że sąsiad to ten, kto robił to i to?

A.D. – Władze londyńskie przygotowując rozwiązanie kwestii folkslisty, widziały to bardzo podobnie i nie można zakładać, że odbyłoby się to łagodniej dla mieszkańców tego terenu tylko dlatego, że rządziłaby inna władza. Trzeba powiedzieć, że kwestie rozliczeń z przeszłością okupacyjną to kolejna zadra u Ślązaków, która pozostała na długie lata, bo brały w niej udział osoby z zewnątrz. W komisjach weryfikacyjnych, w sądach nie mogli zasiadać folksdojczje. Ocenę polskości podejmowały osoby, które nie orientowały się w specyfice sytuacji przed wojną i w czasie wojny na tym terenie. Widziały Górną Śląsk przez pryzmat doświadczeń wojennych w GG, a sprawa folkslisty wyglądała zupełnie inaczej na tych terenach. Tam folksdojczje to byli zdrajcy...

J.M. – ... a tutaj często to byli Wallenrodzi, jak zauważył Zbyszko Bednorz.

A.D. – I zdarzały się głosy w różnych komisjach weryfikacyjnych, że najpierw wszystkich Ślązaków wysiedlimy do obozów, a później zobaczymy, co z nimi zrobić. Trzeba pamiętać też i o tym, że folkslista to nie jest jedyny problem Górnego Śląska, bo z tym jest związana rehabilitacja (sama nazwa daje wiele do myślenia). Jest również weryfikacja osób, które już przed wojną posiadały obywatelstwo niemieckie i były mieszkańcami III Rzeszy – to problem tzw. Śląska Opolskiego, w tym dużych miast przemysłowych – Bytomia, Zabrze, Gliwic.

NOWI MIESZKAŃCY

B.P. – A jak wyglądało zasiedlanie tego terenu?

J.M. – Dam pewien przykład z opolskiego, ciekawy i wiele mówiący. Tam zostało trochę szkół polskich z okresu międzywojennego, z polskimi dyrektorami. I co po 1945 r. zrobiła władza ludowa? Wyrzuciła z urzędu dyrektorskiego właśnie tych dyrektorów szkół polskich i obsadziła swoich. To był przejaw nowej rzeczywistości politycznej i ideologicznej, której Ślązacy kompletnie nie rozumieją. To jest nie do pojęcia z różnych powodów: ideologicznych – bo rozpoczyna się nacisk ateizmu, gospodarczych – bo przychodzą zupełnie nowe elity z zewnątrz. Przed



wojnę przyszli tu ludzie zwłaszcza z Galicji, z Wielkopolski i (z uzasadnionych może powodów) zasiedli na tych wyższych stołkach, na stanowiskach kierowniczych. Ślązak pozostał robolem. Po 1945 r. znów przychodzą różnymi drogami elity urzędnicze i Ślązak znów pozostaje tylko robolem. To miało nieco mniejsze negatywne znaczenie na Śląsku polskim, poplebiscytowym, ale bardzo mocno zapadło w świadomość na Opolszczyźnie i odbiło się dalekim echem po 1989 r. Od 1945 r. drogi Opolszczyzny, czy chcemy, czy nie chcemy, rozchodzą się z polskim Śląskiem, czego przykładem jest, przynajmniej dla mnie, rozwój związku Mniejszości Niemieckiej na Opolszczyźnie.

A.D. – Przeobrażenia społeczne i mentalne, jakie dokonały się po 1945 r. na Śląsku, były daleko głębsze niż te z okresu wojennego. Weźmy skalę ruchów migracyjnych, wysiedleń, deportacji kilkudziesięciu tysięcy Górnos Ślązaków do Związku Radzieckiego, przesiedleń czy tzw. repatriacji. W ciągu kilku lat powojennych spowodowały one całkowitą dekompozycję tego społeczeństwa. Z województwa wysiedlono 295 tys. osób narodowości niemieckiej, nie licząc tych, którzy sami wyjechali. Na to miejsce przybyła nieco mniejsza grupa repatriantów ze wschodu i przesiedleńców z innych regionów Polski – głównie z rzeszowskiego, kieleckiego i krakowskiego. Zastąpiono jeden żywy organizm drugim. To rodziło określone zachowania, określone stereotypy. Przyjechali tu ludzie zróżnicowani pod względem społecznym, a dużą grupę, szczególnie wśród przybyszów z ościennych województw, stanowiła biedota, ale z aspiracjami.

J.M. – To byli chętni na mieszkania, urzędy. Jednym z dramatów po 1945 r. związanych z wysiedleniami było to, że bardzo często zajmowano mieszkania ludzi, którzy później wracali z obozów, z frontu. Trzeba było dać im papier, że zostali wysiedleni, wyrzuceni ze Śląska.

B.P. – **A jak przyjmowano repatriantów, przesiedleńców zza Buga?**

A.D. – Repatrianci doświadczyli wiele krzywdy. Oni sami czuli się bardzo mocno poszkodowani przez wojnę i jej konsekwencje. Sądziли, że przeniesienie na Śląsk zakończy tułaczkę i będzie formą rekompensaty za utracone mienie. Byli przekonani, że zostaną przyjęci z otwartymi ramionami, że staną wręcz puste tereny, do których nikt nie będzie sobie rościł prawa, że to jest rekompensata za ich utracony Lwów... Napotkali tutaj zwartą grupę, która trzymała się razem i dosyć nieufnie reagowała. Przybysze również wykazywali nieufność, a istniejąca bariera kulturowa i językowa powodowała, że wielu mieszkańców Górnego Śląska postrzegali właściwie jako Niemców.

B.P. – **Niemniej padło już w tej rozmowie i takie stwierdzenie, że już następne pokolenie zabużan potraktowało Śląsk jako swoją ojczyznę.**

R.K. – Trzeba pamiętać, że przyszła tutaj jeszcze druga fala osadnictwa, późniejsza, niezorganizowana. Już w okresie planu sześcioletniego powstało tutaj sporo inwestycji. W latach sześćdziesiątych budowano nowe kopalnie, sporo zakładów przetwórczych, nowych miast, w tym socjalistyczne Tychy. W latach siedemdziesiątych, w okresie gierkowskim przybyła trzecia fala zwabiona tym, że można tu szybko zrobić karierę. Przeorywanie struktury społecznej Górnego Śląska następowało regularnie. Dlatego grupa Górnoszlązaków, która ma wyraźne poczucie tradycji, jest obecnie grupą mniejszościową.

A.D. – Imigracja spowodowała utrwalenie wizerunku osoby spoza Śląska, traktującej Ślązaków z góry, jako ludzi nadających się jedynie do pracy fizycznej. Nie traktuje ich poważnie, nie ufa się im. W pierwszych miesiącach 1945 r., szczególnie z przyległych województw, przyjeżdżano na Śląsk w celach rabunkowych – tu było mienie poniemieckie, bogate puste mieszkania. Pojawia się też element konfliktu śląsko-zagłębiowskiego.

B.P. – Ten konflikt jest znacznie starszy.

A.D. – Jest starszy, ale zaostrzył się w czasie wojny, kiedy Górnoszlązacy byli kierowani na różnego rodzaju stanowiska w przemyśle i tam wyrobili sobie markę osób wiernych Niemcom, z wyższością traktujących tych innych. Po wojnie istniała ogromna chęć zemsty na folksdojczach, szczególnie silna u tych, którzy w jakiś sposób doświadczyli jakiegoś poniżenia w czasie okupacji ze strony Górnoszlązaków.

TOŻSAMOŚĆ

B.P. – Myślę, że proletariackie, socjalistyczne tradycje Zagłębia też mają tutaj znaczenie. A Śląsk był chadecki. Ale jeszcze jedną sprawę dobrze byłoby wyjaśnić. Padło w naszej rozmowie takie sformułowanie o plebejskości Śląska. Chcę zrozumieć, dlaczego tak było. W XIX i XX wieku były przecież w pobliżu te uniwersytety austriackie, niemieckie, na które można było iść, przecież bardzo niedaleko był Kraków. Mam wrażenie, że ludzie mieli tu możliwości zdobywania wyższego wykształcenia, a jednak ta plebejskość była modelem społecznie zadowalającym. Człowiek był związany z zakładem pracy czy własnym gospodarstwem i nie miał aspiracji do wyższego wykształcenia. A może było to jakieś upośledzenie społeczne wynikłe z czynników zewnętrznych?

A.D. – W okresie międzywojennym śląskie elity polityczne i społeczne w znacznym stopniu pochodziły z „importu”. Jeżeli Śląsk jako region wyjątkowy pod względem kulturowym i etnicznym przez długie lata czy nawet wieki takim pozostał, to dzięki określonej specyfice polegającej na plebejskości kultury śląskiej, bardziej odpornej na procesy asymilacyjne. Tu było bardzo spłaszczone zróżnicowanie na grupy społeczne.



Elity były blisko szarego człowieka, mocno z nim związane, ale też bardzo nieliczne. W czasie wojny zabrakło takich jasnych drogowskazów, które mogłyby wskazać Ślązakom określony kierunek. Był bp Adamski, ale jednak z myśleniem wielkopolskim, Korfantego już zabrakło.

R.K. – W tej chwili badania struktury społecznej Górnego Śląska, tej tradycyjnej grupy, pokazują, że awans poprzez wykształcenie jest główną wartością. Ale co najmniej do połowy XX wieku awans kulturowy związany z przejściem do warstwy inteligenckiej zazwyczaj wiązał się z wynarodowieniem, w jedną albo w drugą stronę. Kultura wysoka do I wojny światowej to była kultura niemiecka. Kultura polska to była kultura górnośląska, związana z dialektem, bez własnej literatury, bez tego, co nazywamy wysoką kulturą. Jeśli ktoś szedł na uniwersytet niemiecki, to był to awans, ale związany z niemieckością. Jeżeli zostawał po stronie polskiej, to bardzo rzadko zdarzało się, żeby szedł na uniwersytet do Krakowa. Jedynym wyjątkiem jest tutaj duchowieństwo.

J.M. – Jeśli chodzi o tę wyższą kulturę i proces wynarodowienia, to zaczynał się w gimnazjach, z pewnością nie w domu rodzinnym, nie w szkole elementarnej, bo w niej były jeszcze resztki języka polskiego, zwłaszcza jeśli chodzi o katechizację. Gimnazja i uniwersytet oferowały kulturę wysoką. Mamy bardzo interesujące wypowiedzi niektórych duchownych, którzy czuli się Polakami, ale z tym większym podziwem patrzyli na dorobek kultury niemieckiej (ks. Emil Szramek). Specyfika sytuacji, jeśli chodzi o duchowieństwo, polega na tym, że to byli synowie robotników, wieśniaków. Mówię o pokoleniu dojrzewającym na przełomie XIX i XX wieku, kiedy decydowała się przyszłość Polski. Bliżej im było do chłopa i robotnika, dalej do jakiegoś urzędnika niemieckiego i przemysłowca, który był albo protestantem, albo niemieckim katolikiem. Związek duchownych z grupą, z której wyszli, był bardzo silny. Kazania były mówione najczęściej gwarą, bo duchowni służyli ludziom w takim języku, jaki oni rozumieli. Była też grupa, która wychodząc z rdzennie śląskich rodzin, mających tradycję języka polskiego, przeszła na stronę niemiecką.

A.D. – W jakimś sensie pozostanie w środowisku plebejskim było gwarancją zachowania tożsamości. I to była swego rodzaju pułapka. Na Górnym Śląsku były określone pola pracy – pracy fizycznej, dobrze wynagradzanej. Mało ludzi zarabiała na życie w inny sposób. To niosło ze sobą określone konsekwencje. Na Śląsku funkcjonował taki model rodziny – pracujący mąż i ojciec utrzymywał całą rodzinę. Przed wojną w szkolnictwie górnośląskim wprowadzono zakaz pracy kobiet zamężnych, przez długi czas był tu w ogóle najniższy procent kobiet pracujących. Kult pracy, głównie fizycznej, wiązał się z tym, że Ślązacy czuli się fachowcami, takimi robotnikami zachodnioeuropejskimi, i mieli ku temu podstawy: kwalifikacje, przygotowanie, przekazywanie doświadczeń zawodowych z pokolenia na pokolenie.



J.M. – Należy rozróżnić kulturę wysoką i tzw. plebejską. Jeśli sięgamy pamięcią historyczną nie głębiej niż w wiek XIX, to należy zauważyć, że podziały zarówno wśród twórców kultury, jak i jej odbiorców szły po linii podziałów narodowościowych; Niemcy tworzyli kulturę wysoką i w jej kręgu znajdziemy nawet noblistów, natomiast polskojęzyczna ludność najwyższej mogła się pochwalić Karolem Miarką i śląskim Mickiewiczem, czyli ks. Norbertem Bonczykiem, teatrem amatorskim, a także stosunkowo wyrobionymi odbiorcami muzyki. W okresie międzywojennym sytuacja ulega zmianie; szerszy dostęp młodzieży śląskiej do szkół zaczął przynosić owoce, ale dopiero w następnym pokoleniu. Na Śląsku zaczęli też tworzyć uznani pisarze i poeci, żeby wspomnieć tylko Zofię Kossak-Szczucką. Po wojnie w wyniku wysiedleń ze Wschodu na Śląsk napłynęła szeroka fala ludzi nauki i kultury, głównie z Kresów Wschodnich. To oni tworzyli podwaliny Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego, Opery Śląskiej w Bytomiu, Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Dzisiaj ludziom z centralnej Polski nauka i kultura na Śląsku kojarzy się z Uniwersytetem Wrocławskim, Uniwersytetem Śląskim w Katowicach i Akademią Muzyczną, z takimi nazwiskami, jak Górecki, Kilar i Kutz. Ten ostatni utrwalił na taśmie filmowej nostalgiczny obraz Ślązaka, kojarzonego z kulturą zbliżoną do hodowli gołębi i grą w orkiestrze górniczej. Do całości tak konstruowanego obrazu brakuje jeszcze dyskusji w karczmie lub na werandzie przy kufłu piwa.



GÓRNICY

R.K. – Taki system organizacji pracy pozostał i w PRL. W kopalni nie można było inaczej pracować. W tej pracy ważne jest to wielowiekowe doświadczenie podporządkowane systemowi organizacyjnemu, który wytworzono w kopalniach głębinowych na początku XIX wieku. Ludzie przenosili to w genach i musieli mieć zwierzchników, którym ufali, bo z sytuacją bezpośredniego zagrożenia życia w kopalni stykali się właściwie codziennie.

B.P. – **Ale to chyba nie jest tak, jak mówi stereotyp, że mieszkańcy Górnego Śląska, ta część męska, są związani tylko z wydobywaniem węgla. Tutaj były przecież dość znaczne obszary rolnicze.**

R.K. – Dla każdego, kto się tutaj wychował, górnik to faktycznie był ktoś. Nie chodzi nawet o to, że więcej zarabiał czy miał jakieś specjalne przywileje. Ten stan zawodowy można porównać do stanu kolejarzy w II Rzeczpospolitej. Przedstawiciel tego stanu to osoba, która ma pewny zawód, umie to robić, ma swój specyficzny honor i sposób zachowania, który promieniował dookoła.

B.P. – **To nie była grupa folklorystyczna.**

R.K. – Jak górnik przychodził do przedszkola czy do szkoły w mundurze, to nie dlatego, że taki był nacisk komunistyczny, tylko on faktycznie był

tam osobą chętnie widzianą. Ludzie chcieli się z nim spotkać, dzieci też chciały się z nim spotkać. Do końca ubiegłego wieku górnictwo było górnośląską tradycją, ono budowało tutejszą tożsamość. Górnictwo jednak umiera, prawie już nie istnieje. Jesteśmy świadkami zapaści społecznej wszystkich środowisk, które wokół górnictwa funkcjonowały. Ten proces był nieuchronny, ale nastąpił za późno, dlatego jest tak dramatyczny. To jest zapaść gospodarcza, społeczna i społeczna. Koszty społeczne tego całego przedsięwzięcia są dla regionu olbrzymie.

A.D. – Wróciłbym jeszcze do 1945 r. Wtedy obserwujemy dramatyczne poszukiwania osób do pracy w kopalniach, mogących wypełnić lukę po górnikach wywiezionych do ZSRR. Na przykład w kopalni „Miechowice” pracowało wtedy 800 osób, z tego 600 stanowiły kobiety, a pozostałe 200 kalczy i osoby starsze. Brakowało mężczyzn do pracy, w 1946 r. próbowano nawet sprowadzić tutaj do pracy fizycznej włoskich kamieniarzy. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych rozpoczęło się niszczenie tradycyjnego etosu pracy górników. Przez dziesięciolecia była to praca, którą się szanowało, wykonywało się ją rzetelnie, sumiennie. I nagle w środowisko górnicze wchodzi zupełnie inni ludzie – więźniowie, jeńcy, a w latach 1949–1959 nawet bataliony robocze, złożone z poborowych, którzy odbywali zastępczą służbę wojskową, pracując w kopalniach. A jednocześnie wciąż starano się zwiększyć wydobycie węgla, który był czarnym złotem.



R.K. – Żaden z tych eksperymentów się nie udał. Za każdym razem wracano do starego. Do karczmy piwnej, do zebrania, do pasowania, do munduru. Każda – i polska, i niemiecka – próba wprowadzenia nowych zasad organizacyjnych w kopalni kończyła się fiaskiem i trzeba było wracać do starych.

J.M. – Jeśli sztygar, nawet największy ateista, nie pozdrowił górnika na dole „Szczęść Boże”, to nie miał na dole czego szukać, mógł jeszcze oberwać.

PEERELIA

B.P. – Śląsk jako obszar najbardziej zindustrializowany w PRL był oczkiem w głowie władz komunistycznych. Z jednej strony miał zapewnić krajowi węgiel, w tym, co istotne, na eksport, z drugiej zaś strony pilnie strzeżono, by świadome swej wartości środowiska górnicze i wielkoprzemysłowe (nie należy zapominać o zlokalizowanych tu hutach żelaza, stalowniach, przemyśle chemicznym) nie wymknęły się spod kontroli. Jakie były metody obtaskawiania społeczności tego regionu?

A.D. – Do 1948 r. dopuszczano Górnoślązaków do pełnienia stanowisk w administracji państwowej. Przykładem może być trzech wicewojewodów – autochtonów: Jerzy Ziętek, Arka Bożek i Paweł Nantka-Na-

mirski. Od 1948 r. rozpoczęto ideologicznie motywowaną czystkę, usuwając Ślązaków ze stanowisk administracyjnych, na przykład prezydentów miast. Pojawia się inne spojrzenie na Śląsk, także na powstania śląskie – nie jako na ruch narodowyzwoleńczy, a niemal jak na dywersję w ruchu robotniczym. Z jednej strony dokonywano czystek, a z drugiej promowano przodowników pracy.

R.K. – Śląskość była postrzegana jako separatyzm. Uważano, że Arka Bożek i Ziętek budują grupę zajmującą stanowisko separatystyczne.

A.D. – Nie ma już administracyjnej autonomii Śląska. I to, co się zaczęło w czasie wojny, czyli zacieranie granic Śląska, po wojnie trwa nadal. Najpierw stworzono województwo śląsko-dąbrowskie, później katowickie i opolskie. Górny Śląsk został sztucznie poszatowany i potraktowany jako organizm przemysłowy. To rozpoczęli już Niemcy, którzy do rejencji katowickiej włączyli Zagłębie Dąbrowskie.

R.K. – W powszechnym przekonaniu w latach siedemdziesiątych w Polsce rządzą Ślązacy, tak zwana grupa śląska. Nic bardziej mylnego – cała albo prawie cała ekipa Gierka pochodzi z Zagłębia i ze Śląskiem nie ma żadnych związków. To jest pokłosie tych sztucznych struktur administracyjnych.



STARY SPOKÓJ, MŁODY OPÓR

B.P. – Dlaczego Śląsk nie stanął w 1970 r.?

A.D. – Sprawdziły się słowa ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Katowicach Edwarda Gierka, który przekonywał Gomułkę, że nie należy spodziewać się protestów w województwie katowickim. Można sądzić, że miały na to wpływ wyższe od krajowych zarobki w regionie, ale także polityka umożliwiająca łączenie rodzin. Wtedy pojawiła się realna perspektywa wyjazdu do Niemiec i lepszego życia, nie warto było się narażać. Śląsk był (nieślusnie) postrzegany przez długie lata jako bastion i zaplecze komunizmu. Tutaj doświadczenie zdobywały późniejsze elity partyjne: Zawadzki, Gierek, Ochab, Szydłak. Gierek bardzo zyskał w oczach towarzyszy, zwłaszcza tych, którzy nie odróżniali Śląska od Zagłębia, bo on ugasił jeden ze strajków w 1951 r. Pojechał na dół do górników kopalni „Kazimierz Juliusz” w Sosnowcu, gdzie zginął jego ojciec i dziadek, i tam przekonał górników, żeby przestali strajkować. To była trampolina, która go wyniosła. Później dbał o to, by ten jego region był postrzegany jako taka cicha oaza, gdzie się przede wszystkim pracuje i wyrabia kolejne normy. Uspokajał towarzyszy, że gdzie jak gdzie, ale na Śląsku rozruchów nie będzie. Wiedział, co mówi. Kupował górników – lepszymi płacami, specjalnymi sklepami, przydziałami. Ta społeczność była trzymana bardzo mocno w ryzach.

J.M. – Pokolenie, które pamiętało jeszcze aktywną walkę o śląskość i tożsamość, dojrzewało przed wojną i w czasie wojny. Ono w sposób naturalny odeszło mniej więcej w latach sześćdziesiątych, a wraz z nim resztki oporu społecznego. Jako następne pojawia się to, które bierze udział w protestach i strajkach w Jastrzębiu, jest w „Wujku” i „Piaście”. Uczestniczy w odrodzeniu solidarnościowym. Ono jest trudne do opisanania. Nie ma już na Śląsku jednorodnych środowisk o wspólnym rodowodzie. Najwcześniej uaktywniły się środowiska akademickie i związane z katowickim KIK. Spotykają się w podziemiu i dyskutują o pewnych problemach społecznych. Pewnie są też i inne grupy, które nie wywodzą się ze środowisk katolickich czy prawicowych. Pewnym ewenementem jest tu postać Kazimierza Świtonia, którego milicja tropi już od lat siedemdziesiątych. Ten czas i rodzenie się oporu powinien opisać socjolog. To ciekawy problem. Okazuje się, że w tych komisjach zakładowych i wśród ofiar „Wujka” w większości znaleźli się nie Ślązacy, lecz robotnicy napływowi.

A.D. – W tym kontekście warto powiedzieć o genezie Uniwersytetu Śląskiego, który był tworzony pośpiesznie z kadr spoza Śląska, właściwie jako odpowiedź na zamęt w środowisku studenckim w 1968 r. Miał być sztandarową czerwoną uczelnią, wychowującą młodzież w odpowiednim duchu, w umiłowaniu socjalizmu.

R.K. – Sam pomysł nie był nowatorski, jak bumerang powracał jeszcze od czasu II Rzeczypospolitej, najbardziej zaawansowany był na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ale Gierek zrealizował to błyskawicznie.

J.M. – A ferment w środowisku młodzieży akademickiej był naturalny.

B.P. – **Sądzę, że jedną z przyczyn znacznie mniejszej aktywności Ślązaków w oporze antykomunistycznym było to, że bardzo wielu ludzi rzutkich wyjechało ze Śląska, nie tylko w latach tuż powojennych.**

R.K. – W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpił ogromny odpływ ludzi, który bardzo zubożył to, co nazywamy zjawiskiem tożsamości górnośląskiej, rzeczywiście wyjeżdżali ludzie najbardziej dynamiczni. Miało to swoją drugą stronę – kontakty Górnego Śląska z Europą Zachodnią przez Niemcy były niewspółmiernie bardziej ożywione niż jakiegokolwiek innego regionu, a tak zwany Zachód był częścią prawie codziennego doświadczenia przez kontakty rodzinne, wyjazdy, przyjazdy, regularną korespondencję.

B.P. – **Ta łatwość wyjazdu do Niemiec przez kontakty rodzinne to jedno, ale należy pamiętać, że w przypadku Ślązaków praktycznie nie istniała bariera językowa.**



R.K. – To wszystko powodowało, że Ślązacy dobrze wiedzieli, jak można żyć inaczej, ich wiedza o Zachodzie była porównywalna z wiedzą podróżujących po Europie elit z innych regionów Polski. Znajomość Zachodu odgrywała tutaj sporą rolę, wiadano, że realność wygląda inaczej niż realny socjalizm.

A.D. – Warto powiedzieć, że postrzeganie województwa katowickiego jako bardzo uległego skończyło się w latach 1980–1981. To właśnie tutaj stosowano najliczniejsze represje, również skala internowań była tutaj największa w kraju. Nie gdzie indziej, lecz tutaj dokonano manifestacji zbrojnej, bo tak należy odczytywać atak na kopalnię „Wujek”.

R.K. – Dramatyczny był strajk w kopalni „Piaś”. Ten strajk pod ziemią odbił się tutaj olbrzymim echem. Po spacyfikowaniu „Wujka” obserwowano go z zapartym tchem. To był najdłuższy czynny strajk na Śląsku. W obydwu tych kopalniach pracowali w większości napływowi górnicy.

J.M. – Propagandzie Gierka udało się skutecznie skłócić Śląsk z resztą kraju (przywileje górnicze, specjalne sklepy, wysokie zarobki itp.). Strajki 1980 r. zrobiły dobrą atmosferę dla Śląska. Porozumienia jastrzębskie i opór w kopalni „Wujek” zrehabilitowały Śląsk w oczach całej Polski, pokazując determinację robotników śląskich. Wydarzenia w kopalni „Wujek” uzmysławiają nam, że mamy do czynienia z robotnikami oszukanymi, znajdującymi się w sytuacji krańcowej. Z jednej strony władza daje jasno do zrozumienia, do czego jest zdolna, zdeterminowana użyć każdego środka, aby spacyfikować nastroje wolnościowe. A ci po drugiej stronie to górnicy, ludzie postawieni pod ścianą, urażeni w swojej górniczej dumie. Ci byli zdecydowani na wszystko, nie liczyli się z konsekwencjami. I taka postawa nobilitowała Śląsk w oczach całej Polski. Śląsk nie milczał.

PÓŁ MILIONA

A.D. – Ale też w tym okresie bardzo wiele osób uciekło do Niemiec. W stanie wojennym zwolniono część internowanych, gdy wyrazili chęć wyjazdu na Zachód. W celu osłabienia opozycji i rozładowania napięcia wydano zgodę na wyjazd ponad trzystu internowanym. Wyjazdy te stanowiły część szerszego problemu – w latach 1950–1989 z Górnego Śląska wyjechało ponad pół miliona ludzi.

B.P. – Pod koniec lat osiemdziesiątych „wybuchła” niejako sprawa mniejszości niemieckiej na Śląsku.

J.M. – Tak, to jest pewien fenomen. Można zadać pytanie, skąd oni się wzięli, jeśli do 1950 r. wysiedlono z Polski prawie wszystkich Niemców. Relatywnie więcej pojawiło się ich oczywiście na Śląsku Opolskim.

B.P. – Pewnie da się to wpisać w dynamikę procesu poszukiwania tożsamości.

J.M. – Z pewnością, ale z drugiej strony wiele osób potraktowało taką deklarację narodowościową bardzo koniunkturalnie, w aspekcie ekonomicznym. Mieli możliwość wyjazdu ze względu na to, że na przykład ojciec był w Wehrmachcie, a on sam urodził się na Śląsku i mógł zdobyć tak zwane papiery. Uważam, że większość wyjechała z powodów ekonomicznych.

A.D. – To jednak nie tylko były powody rodzinne i ekonomiczne, którymi kierowali się tzw. volkswagendeutsche. Jest jeszcze typ motywacji wynikający z wotum nieufności do państwa – to jest państwo, które jest źle rządzone, tu się nie da żyć; panuje tu taka organizacja, do której my nie jesteśmy przyzwyczajeni; nie można być porządnym Ślązakiem i mieszkać w takim bałaganie.

R.K. – To było zjawisko ogólnopolskie, jeśli nie miało się szans na obywatelstwo niemieckie, to jechało się na azyl polityczny. Przede wszystkim chodziło o prawo do pracy, a tu zawsze było takie przekonanie, że jak ktoś ma pracę, to powinien coś z tego mieć. Jeśli chodzi o mniejszość niemiecką, to ona ujawniła się w sytuacji, gdy nie było możliwości napisania o sobie, że jestem Górnos Ślązakiem czy Ślązakiem. Wtedy pisano – jestem Niemcem, bo to jakoś tę własną tożsamość określało. Jak okazało się, że można w spisie określić się jako Ślązak, to wpisywano Ślązak. Proszę zauważyć, że w momencie pojawienia się możliwości określenia jako Ślązaka nastąpił spadek liczebności mniejszości niemieckiej. A pojawienie się i problem tej mniejszości śląskiej to jest poszukiwanie tożsamości. Gdyby była opcja: Polak–Ślązak, czy Polak–Górnos Ślązak, czy Niemiec–Ślązak, byłoby to o wiele bardziej precyzyjne.

NA STYKU KULTUR

B.P. – Śląsk to są kresy dwóch narodów, nasze kresy zachodnie, niemieckie kresy wschodnie. Nawet w przyrodzie jest tak, że każda sytuacja pogranicza dwóch środowisk przyrodniczych stwarza wielkie bogactwo gatunkowe i jest jakościowo czymś innym niż te otaczające je środowiska. W biologii się to nazywa efekt ekotonu, wielkie bogactwo, różnorodność i niepowtarzalność. W przypadku Śląska ta niepowtarzalność bierze się też z tego, że są to kresy dwóch bardzo różnych kultur – słowiańskiej i niesłowiańskiej...

A.D. – Tak, Ślązacy wchłonęli dużą dawkę zachodniej cywilizacji, ale na tym terenie przenikają się trzy wymiary kulturowe: polski, niemiecki i czeski (morawski).



B.P. – Poznałam kilku Ślązaków już w Niemczech i słuchałam ich dramatycznych opowieści o wielkim cierpieniu, jakiego tam doświadczają, żyjąc poza Śląskiem. Mówię o pokoleniu rodziców dorosłych dzieci, które podjęły decyzje wyjazdów z powodów właśnie ekonomicznych. Wyjeżdżają dorosłe już dzieci i ich rodzice. Rodzice wcale nie wyjeżdżają z potrzeby serca, tylko z takiego tradycyjnego myślenia, że rodzina nie może się rozpaść, nie dzieli się, członkowie rodziny nie porzucają się nawzajem. Opowiadali o tęsknocie, wielkim trudzie odnajdywania się w niemieckim społeczeństwie. To jest kolejny przykład na to, że górnośląskość jest faktem nie tylko społecznym, ale i cechą osobowości, w którąkolwiek stronę zostanie taki człowiek przeciągnięty, to jednak pozostaje odrębny.

A.D. – Śląsk próbowano regermanizować, repolonizować, a jak pokazują te wynikające z ostatniego spisu deklaracje, po kilkudziesięciu latach różnych zabiegów wiele osób identyfikuje się tylko ze śląskością. Może to jest ucieczka, ale jeśli mówimy o pewnych błędach w polityce wobec Ślązaków, to zawsze jest to brak akceptacji dla nich, takich, jakimi oni są. Zabrakło takiego stanowiska – bierzemy was, mimo całej waszej odrębności, budujcie razem z nami to państwo. Zawsze było traktowanie podejrzliwe, pogardliwe.

B.P. – Pogardliwe również w sferze materii, bo jednak zniszczenia, jakich pozwolono sobie dokonać na Śląsku, pokazują właśnie pogardę dla jego mieszkańców.



R.K. – Górny Śląsk w tych organizmach państwowych, w których egzystował, czy niemieckim do początku XX wieku, już nie mówiąc o II Rzeczypospolitej i PRL, zawsze był regionem, w którym koncentrowała się siła gospodarcza państw macierzystych. Utracił dzisiaj tę pozycję i to jest oczywiste, i tu jest główny problem. To rzeczywiście powoduje, że z Górnego Śląska następuje ciągły odpływ zdolnych, dynamicznych, głównie młodych ludzi, dokonuje się zapaść wielkich miast, z których uciekają ich mieszkańcy, zniszczenie przyrody i środowiska naturalnego.

A.D. – Nie bez powodu nazywano Śląsk Polską Katangą, nawiązując do kolonialnych metod eksploatacji tego regionu. Najtragiczniejszy był jednak stereotyp Ślązaka – beneficjenta PRL.



R.K. – Nastąpił jednak proces ponownego odczuwania „śląskości” jako wartości pozytywnej, bo to rzeczywiście jest zauważalne, chociaż pewnie nie wśród większości mieszkańców tego regionu. To zjawisko wpisuje się w pewien proces cywilizacyjny, związany nie tylko ze Śląskiem. Państwa narodowe są znacznie słabsze w swoim przyciąganiu wartościami kulturowymi. Amerykanizacja czy globalizacja kultury po-

woduje, że pewna część ludzi ma wielkie trudności w odnalezieniu dla siebie wartości w tej „wielkiej” kulturze, natomiast łatwiej identyfikuje się z kulturą lokalną, traktowaną jako „własna”, „swojska”, bo stwarza ona możliwość autentycznego w niej uczestnictwa. Samoidentyfikacja z kulturą śląską jest czymś nowym i optymistycznym dla przyszłości Górnego Śląska.



Adam Dziurok – ur. 1972 w Rybniku, dr historii, naczelnik OBEP IPN w Katowicach, adiunkt UKSW w Warszawie, autor m.in.: *Śląskie rozrachunki. Władze komunistyczne a byli członkowie organizacji nazistowskich na Górnym Śląsku w latach 1945–1956* (Warszawa 2000); *Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 r. Dokumenty, zeznania, relacje, listy* – red. (Warszawa 2002); *Represje wobec duchowieństwa górnośląskiego w latach 1939–1956 w dokumentach*, red. wspólnie z K. Banaś (Katowice 2003); *Represje wobec duchowieństwa Kościołów chrześcijańskich w okresie stalinowskim w krajach byłego bloku wschodniego*, red. wspólnie z J. Myszorem (Katowice 2004).



Ryszard Kaczmarek – ur. 1959, historyk, dr hab., prof. UŚ. Opublikował m.in.: *Pod rządami gauleiterów. Elity i instancje władzy w rejencji katowickiej w latach 1939–1945*. Stypendysta Fundacji Friedricha Eberta, Johann Gottfried Herder Institut w Marburgu, Institut für Osteuropäische Geschichte Uniwersytetu w Tybindze. W latach 1999–2001 kierował programem badawczym KBN: *Alzacja/Lotaryngia a Górny Śląsk – dwa regiony pogranicza w latach 1648–2001* (druk: Katowice 2001). Obecnie w ramach projektu badawczego KBN przygotowuje syntetyczne opracowanie: *II wojna światowa na Górnym Śląsku*. Specjalizuje się w historii II wojny światowej i historii Śląska w XX wieku.



Ks. Jerzy Myszor – ur. 1950, dr teologii, profesor nauk humanistycznych, kierownik katedry Historii Kościoła na Śląsku na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach; redaktor naczelny „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych”. Autor m.in. monografii: *Stosunki Kościół–państwo okupacyjne w diecezji katowickiej 1939–1945* (Katowice 1992); *Historia diecezji katowickiej* (Katowice 1999), redaktor *Leksykonu duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945–1989. Pomordowani – więzieni – wygnani*, t. 1–2 (Warszawa 2002–2003).



„WUJEK” – PAMIĘTAM



16 grudnia rano wziąłem aparat i poszedłem w kierunku kopalni „Wujek”.

Od kilku dni sytuacja była napięta, zanosiło się na jakąś zadymę. W uliczkach osiedlowych wokół kopalni, i wzdłuż ogrodzenia zakładu pełno było milicji, wojska i ZOMO. Kolumna autobusów i samochodów ciężarowych przystosowanych do przewozu ludzi ciągnęła się aż do okolic Ronda Mikołowskiego. Musiałem więc przejść jakieś kilkaset metrów wzdłuż tych pojazdów. Wojskowi, milicjanci i zomowcy stali grupkami, rozmawiali, inni rozpraszali zbierających się przed kopalnią ludzi. Szedłem do przodu nie zatrzymywany przez nikogo. W ten sposób dostałem się pod główną bramę kopalni. Było tam już sporo osób. Tymczasem milicja i wojsko zaczęły porządkować swoje szyki i odganiać tych, którzy kręcili się blisko ich pojazdów. Ludzie zareagowali na to oburzeniem. Kobiety z tłumu krzychały coś pod adresem wojskowych [...]. Z każdą minutą reakcje milicji i wojska były coraz bardziej zdecydowane. Próbowali rozproszyć grupy ludzi gromadzące się pod kopalnią, chyba chcieli mieć czyste przedpole. Aby nas przepędzić, użyli granatów łzawiących. Ludzie zaczęli uciekać przed gryzącym dymem. Podałem się zupełnie tłumowi. Uciekaliśmy przed gazem w kierunku najbliższych budynków mieszkalnych. Zostałem z kilkudziesięcioosobową grupą wtłoczony na klatkę schodową. Jeden z granatów łzawiących wpadł w otwarte drzwi wejściowe i tam wybuchł. Efekt był taki, że wszyscy w panice zaczęliśmy wbiegać schodami w górę. Na pierwszym albo drugim piętrze ktoś zapukał do drzwi jednego z mieszkań. Właścicielka uchyliła je, a my wręcz wdar-



liśmy się do środka. Nawet gdybym nie chciał wejść do tego mieszkania, nie miałem na to wpływu. Osoby biegnące za mną po prostu mnie tam wepchnęły. To były ułamki sekund. Byliśmy wszyscy pogubieni w sytuacji. Nasza »gospodyni« też. W mieszkaniu oprócz niej i naszej »nieproszonej« ósemki znajdowała się jeszcze jedna oso-

ba. Była to najprawdopodobniej córka właścicielki mieszkania, młoda kobieta. Z rozmów wynioskowałem, że jest pielęgniarką. Mówiła, że coś się musi dzisiaj zdarzyć, bo szpitale zostały specjalnie przygotowane, ich personelowi nakazano opróżnić oddziały i zachować gotowość na przyjęcie większej liczby osób. Nie wiem, czy miała na myśli



szpital w Ochojcu czy na Ligocie. Wtedy nie zastanawiałem się nad sensem zastyszanych wiadomości. Przypomniałem sobie o nich dopiero kilka dni po tragedii i skojarzyłem je z tym, co się wydarzyło.

Ponieważ miałem przy sobie aparat, postanowiłem zrobić trochę zdjęć z okna »gościnnego« mieszkania. Było to o tyle kuszące, że okno wychodziło dokładnie na kopalnię. Początkowo fotografowałem przez firankę, ponieważ gospodynie były przerażone i prosiły, abym jej nie odśaniał. O ile dobrze pamiętam, mąż którejś z nich znajdował się na terenie »Wujka« i uczestniczył w strajku. Zacząłem fotografować. Z czasem odśloniłem firankę i zacząłem fotografować przez samą szybę. W pewnej chwili naprzeciwko naszego domu podjechał czołg. Wymanewrował pro-

dem do muru kopalni, obracając jednocześnie wieżę w ten sposób, że jego lufa celowała dokładnie w dom, w którym przebywaliśmy. Przygotowywał się do taranowania muru. Jego działania zabezpieczali żołnierze. Czołg ruszył. Widziałem, jak rozwala mur i dewastuje przyklejony do niego barak. Wjechał do środka budynku, wzniesając tumany kurzu. Konstrukcja zawaliła się, a na wieżę pojazdu opadł jej dach. Czołg cofnął się, unosząc go ze sobą, a potem kilkakrotnie wjeżdżał w ruiny baraku i wycofywał się. Po którymś razie czołgistom udało się zrzucić z pojazdu krępujący go balast. W ten sposób wykonany został wyłom w murze, przez który na teren kopalni zaczęli wchodzić zomowcy.

Oprac. Jarosław Neja

WIEŻA SPADOCHRONOWA

Od wielu lat w rocznicę Września 1939 r. pojawiają się w prasie regionalnej publikacje dotyczące bohaterskiej obrony Katowic. Pozwalają przypomnieć tym, których historia coraz mniej interesuje, tych, dzięki którym narodowi polskiemu udało się przetrwać okupację.

21 września 2003 r. w „Przeglądzie” pojawił się artykuł *Śląskie Westerplatte* dotyczący obrony Katowic we wrześniu 1939 r., a w szczególności roli harcerzy broniących wieży spadochronowej w Parku Kościuszki. Autor artykułu powołał się między innymi na zeznania świadków ze śledztwa prowadzonego przez byłą Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach.

Umorzenia śledztw

Podczas kwerendy w archiwum zakładowym Oddziałowej Komisji w Katowicach ustalono, że w 1967 r. prowadzone było śledztwo w sprawie zbrodni dokonanych przez *Wehrmacht i Freikorps polegających na masowym rozstrzeliwaniu powstańców śląskich, harcerzy i patriotów polskich na terenie Katowic po dniu 1-go września 1939 r.*¹ W styczniu 1973 r. śledztwo to zostało zawieszono wobec braku możliwości ustalenia sprawców zabójstw. Chociaż uzasadnienie postanowienia o zawieszeniu śledztwa zawierało rzetelną ocenę zebranego w sprawie materiału dowodowego, na który składały się głównie zeznania 88 świadków, to jednak nie obejmowało pełnego opisu wydarzeń, jakie rozegrały się w Katowicach we wrześniu 1939 r.

Przykładowo w postanowieniu wskazano, że od strony południowej Katowic Freikorps najpierw zaatakował Park Kościuszki, gdzie bronili się harcerze, jednak nie można było ustalić, jak wyglądała sytuacja w tym rejonie miasta, gdyż brak było naocznych świadków.

Całość materiałów tego śledztwa została włączona do innego, wszczętego w 1976 r. postępowania w sprawie martyrologii członków ZHP w okresie okupacji hitlerowskiej od września 1939 r. do stycznia 1945 r. na obszarze byłego województwa katowickiego. Zakończyło się ono 28 listopada 1977 r. postanowieniem o umorzeniu ze względu na niecelowość jego dalszego prowadzenia „albowiem sprawcy przestępstw popełnionych wobec obywateli polskich (harcerzy, b. powstańców i patriotów) ujawnieni w toku tegoż śledztwa zostali skazani przez sądy polskie [...] zaś materiały w postaci zeznań świadków i dokumentów wyłączone ze śledztwa zostały przesłane Głównej Komisji BZWH w P[olsce] do sprawy przeciwko Bruno Streckenbachowi i Udo von Woyschowi”. Taka podstawa umorzenia była wadliwa, gdyż tak naprawdę nigdy nie udało się ustalić bezpośrednich zabójców, o których wiadomo jedynie, że byli żołnierzami Wehrmachtu lub członkami Freikorpsu, a czasem nawet sympatyzującymi z nazistami sąsiadami ofiar.

W ramach prowadzonego obecnie postępowania ustalono, że powołany w postanowieniu o umorzeniu postępowania proces przed sądami polskimi to sprawa przeciwko Wiktorowi Gro-

¹ Sprawa b. Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach sygn. Ds 53/66 – obecnie OKŚZpNP w Katowicach, S 56/03/Zn.

Fot. z archiwum IPN w Katowicach



likowi, Gerhardowi Kampertowi i Pawłowi Ulczokowi, których skazano na kary śmierci za działalność agenturalną na rzecz gestapo. Okoliczność ta świadczy o tym, że prawomocnie osądzone czyny sprawców nie pozostają w żadnym związku z wydarzeniami Września 1939 r. Podobnie było ze sprawą Brunona Streckenbacha, dowódcy specjalnej jednostki policyjnej *Einsatzgruppe I*, przydzielonej 14. armii gen. W. Lista. Brunon Streckenbach, mimo że w 1955 r. został wydany przez ZSRR władzom zachodnioniemieckim jako nieamnestionowany zbrodniarz wojenny skazany na dożywocie za zbrodnie dokonane na okupowanych terenach radzieckich, został zwolniony i do końca swych dni cieszył się wolnością w Hamburgu². Z kolei Udo von Woysch dowodził *Einsatzgruppe* do zadań specjalnych (z.b.V.) powołaną 3 września 1939 r. w celu „radikalnego stłumienia wybuchającego powstania Polaków na nowo zajętej części Górnego Śląska”. Grupa ta, której dowódcami oddziałów byli: Otto Rasch, Otto Helwig oraz Hans Tümmeler, stacjonowała na Śląsku od 6 do 11 września 1939 r. i uczestniczyła w zbrodniach dokonanych już po zajęciu Katowic. W 1977 r. prokuratura przy Sądzie Krajowym w Stuttgarcie, nie kwestionując popełnienia zbrodni masowych rozstrzeliwań dokonywanych przez członków grupy operacyjnej z.b.V. i uznając, że nie przedawniły się one jako „okrutne” w rozumieniu art. 211 niemieckiego kodeksu karnego, umorzyła postępowanie przeciwko Otto Raschowi (zmarł w 1948 r. w czasie norymberskiego procesu nr 9 tzw. oddziałów specjalnych)³, Otto Helwigowi oraz Hansowi Tümmelerowi wobec ich śmierci. Natomiast postępowanie wobec Udo von Woyscha umorzono z powodu jego trwałej niezdolności do udziału w rozprawie. Nie ma żadnych wątpliwości, że opisane postępowania nie dawały żadnej podstawy do zakończenia omawianego śledztwa.

Wznowienie postępowania

Już wstępna analiza porównawcza zebranego w sprawie materiału dowodowego w ramach tamtego śledztwa oraz treść licznych publikacji historycznych i prasowych utwierdza w przekonaniu, że postępowanie to należy kontynuować chociażby po to, by procesowo utrwalić zeznania świadków, którzy dotychczas nie byli przesłuchani, a których liczne relacje spisali dziennikarze; by zweryfikować listę poległych i zamordowanych oraz załączyć do akt kopie dokumentów z tamtych czasów, znajdujące się w archiwach polskich i zagranicznych. Dlatego też 3 października 2003 r. prokurator IPN wydał decyzję o podjęciu tego śledztwa.

Praktycznie zbiegło się to z opublikowaniem 31 października 2003 r. przez „Gazetę Wyborczą” raportu gen. Ferdinanda Neulinga⁴ odnalezionego latem 2003 r. w archiwum we Fryburgu przez prof. Ryszarda Kaczmarka – historyka z Uniwersytetu Śląskiego. Dokument ten został w październiku ub. roku przekazany przez profesora również do celów procesowych prowadzącemu postępowanie prokuratorowi⁵. Emocje, jakie rozgorzały na tle interpretacji treści raportu, artykułowane w prasie i telewizji także świadczą o tym, że nie można zakończyć tego śledztwa bez zebrania w sposób możliwie wyczerpujący materiałów dowodowych. Wspomniany raport, a także fragment Księgi Wojennej 3. Odcinka Oddziału Granicznego (Grenzschutz–Abschnitt-Kommando) wraz z aneksem⁶ oraz zeznania świad-

² K. Radziwończyk, *Zbrodnie generała Streckenbacha*, Warszawa 1966.

³ T. Cyprian, J. Sawicki, *Nieznana Norymberga*, Warszawa 1965.

⁴ Dowódca 239. Dywizji Landwehry wkraczącej 4 IX 1939 r. do Katowic, w 1945 r. popełnił samobójstwo (inf. Wojskowego Instytutu Historycznego – akta sprawy: OKŚZpNP, S56/03/Zn w Katowicach).

⁵ Odpis dokumentu wraz z tłumaczeniem *ibidem*, S 56/03/Zn.

⁶ Opublikował go A. Szefer w „Zaraniu Śląskim” 1974, z. 2.

ków, których dotychczas udało się przesłuchać (przesłuchano 37 osób), dają już częściowo obraz tego, co wydarzyło się w Parku Kościuszki, a o czym nie wiedział prokurator w 1973 r., zawieszając śledztwo.

Raporty

Meldunek gen. Neulinga zawiera między innymi następujące informacje: „Po południu 3.09 ustalone zostało, że pozostałości polskiej 23. dywizji uciekły z Katowic [...] Oddział 3 ochrony pogranicza otrzymuje rozkaz, aby w dniu 4.09 zająć obszar przemysłowy, w tym celu przydziela się do niego 239. dywizję piechoty. Dowódca dywizji opuszcza Mikołów o godzinie 4.45 [...] O godzinie 8.00 czoło grupy wzmocnionego regimentu [tj. pułku w nomenklaturze polskiej] piechoty I.R.444, w której znajduje się dowódca dywizji, dociera do wyznaczonego punktu postoju około 3 km na południe od południowego krańca Katowic. [...] Prawie równocześnie przybywa oficer oddziału zwiadowczego z Katowic i melduje, że oddział utknął w starciu z powstańcami i bez wsparcia nie ruszy dalej. [...] regiment piechoty przekazany zostaje natychmiast do wsparcia oddziału zwiadowczego. [...] Nagle polski karabin maszynowy zaczyna strzelać z wyżej wymienionej wieży w parku miejskim na sztaby, na szczęście seria przeleciała nad głowami. W odpowiedzi zostaje otwarty ogień z armaty przeciwpancernej i jeden z pierwszych strzałów trafia linę windy, winda spada, ogień zostaje wstrzymany. Za to otwarty zostaje ogień z karabinów i także droga między Brynkem i wzniesieniem znajduje się nagle pod ostrzałem kilku karabinów maszynowych. [...] Jedna bateria zajmuje pozycję i park miejski zostaje wkrótce oczyszczony, kilku ciężko rannych powstańców zostaje odniesionych, jednakże jeńców nie wzięto do niewoli. [...]”

Równie istotne informacje zawierają dokumenty opublikowane przez A. Szefera: „Godz. 5.30: głównodowodzący udaje się wraz ze sztabem i sztabem bojowym najpierw do Mikołowa, a potem [...] na wzgórze położone 1 km na południe od Katowic [...] Na wzgórzu tym sztab zostaje ostrzelany z karabinów maszynowych od strony Parku Południowego. Szybko wprowadzone do akcji działa przeciwpancerne unieszkodliwia gniazdo karabinów maszynowych, znajdujące się na wieży spadochronowej.

Godz. 11.40: wkroczenie 239. Dywizji [...] do Katowic po przełamaniu oporu nieprzyjacielskiego. Wymiana strzałów z bandami w okolicy dworca i Parku Południowego. Własna artyleria i działa przeciwpancerne strzelają w kierunku rozpoznanych gniazd nieprzyjacielskich. W godzinach popołudniowych i wieczornych ożywia się strzelanina na ulicach Katowic. Włączenie się partyzantów do działań wojennych powoduje dezorientację wojsk i nasila wymianę ognia”.

Aneks do dziennika zawiera natomiast następujące informacje: „239. Dywizja wyrusza o godz. 5.00 z Mikołowa i okolicy i wkracza z małym opóźnieniem do akcji ze względu na to, iż późno otrzymała rozkaz wymarszu [...]. Oddział rozpoznawczy wkroczył przez »Hałdę Katowicką«. Za nim szła w kierunku Katowic obok Parku Południowego wzmocniona jednostka piechoty pod dowództwem Höckera oraz batalion zabezpieczający pod dowództwem Metza. Równoległe do nich posuwał się z zachodu przez Ligotę oddział Runebauma. Kiedy batalion Metza przekroczył punkt 334, położony ok. 1 km od południowych krańców Katowic, gdzie już stawiły się sztaby bojowe Grenzschutz–Abschnitt–Kommando 3 i 239. Dywizji, nastąpił ożywiony ogień nieprzyjacielski z Parku Południowego i południowej dzielnicy Katowic. Intensywnie strzelano także z kierunku Załęża i ul. Karbowej. Wkroczenie oddziału Höckera zostało opóźnione dlatego, że opór Polaków stawał się coraz silniejszy, a był on zlokalizowany w południowej części miasta i w okolicach dworca katowickiego. Dopiero użycie cekaemów,

broni pancernej i artylerii przełamało opór wroga i od godz. 11.00 poczynszy, wojska wkraçały do miasta, gdzie ludność niemiecka witała je z radością”.

Z dokumentów tych wynika, że nadsięgająca od strony południowej do Katowic 239. Dywizja została ostrzelana na tyle intensywnie, iż bez wsparcia nie było mowy o wkroczeniu do Katowic. Z wieży usytuowanej w Parku Kościuszki strzelano z karabinu maszynowego i dopiero użycie artylerii, a konkretnie dział przeciwpancernego, przerwało ostrzał. Mimo że wojska niemieckie wkraçają na Rynek około południa, do godzin wieczornych trwa strzelanina na terenie Katowic.

Zeznania

Odpowiedz na to, kto strzelał z wieży, przynoszą zeznania świadków. Oto niektóre z nich: **Salomea Rząca** – ([1923] mieszkanka dzielnicy Katowic Ochojec) 3 września 1939 r. wraz z młodszą koleżanką Marią Seneiko wybrała się do centrum Katowic, by ustalić losy ojca – pracownika poczty. Około godz. 13.00 wyruszyły w drogę powrotną do domu. Idąc ulicą Kościuszki, przechodziła koło Parku. Na szczycie wieży widziała harcerzy, jednak nie było widać, co dzieje się pod wieżą. Słyszała odgłosy strzałów. **Wiliam Bura** ([1916] mieszkaniec Karwiny) 1 września 1939 r. na motocyklu opuścił swoje miasto w obawie przed aresztowaniem przez Niemców i udał się do Katowic, gdzie mieszkała jego ciotka, by zgłosić się do wojska polskiego. Dotarł tam wieczorem 2 września i gdy dojeżdżał do Parku Kościuszki, zatrzymało go trzech harcerzy. Mówili gwarą, nie mieli broni. Ostrzegli go, że w centrum jest dużo Niemców. Powiedzieli, żeby zostać z nimi i pomóc w przygotowaniu okopów. Przystał na to, dostał łopatę i zaczął kopać z innymi harcerzami. Z tamtego miejsca widział wieżę spadochronową, a na jej platformie poruszające się sylwetki ludzkie. Kopali prawie całą noc i do południa, nie było walk, ale z oddali słychać było odgłosy strzałów. Przed południem harcerzom przywieziono broń – długie karabiny i pistolety. Rano 4 września zaczęli ich atakować Niemcy i Freikorps. Zaczęła się wymiana strzałów. Widział, jak zabito czterech lub pięciu harcerzy. On sam został ranny w bok. Członkowie Freikorpsu wpadli do okopu i zaczęli okładać ich hełmami. Świadek otrzymał cios w twarz, stracił przytomność i obudził się dopiero w więzieniu przy ul. Mikołowskiej. **Gertruda Kamińska** (siostra Wandy Marcinkowskiej [1922] należącej do drużyny harcerskiej w Katowicach). Już w sierpniu 1939 r. drużyna siostry stacjonowała w Parku Kościuszki. Chodziła do niej z zupą. Na terenie parku widziała sporo harcerzy. W pierwszych dniach wojny razem z matką i bratem ewakuowała się do Mysłowic, Wanda została na służbie. Dalej świadek zeznaje, iż wie od siostry, że była na wieży w parku do momentu, aż weszli tam Niemcy. Dopóki Niemcy strzelali z broni ręcznej, harcerze bronili się, gdy zaczęli strzelać z dział – jej siostra uciekła z wieży nie schodami, tylko bokiem, by jej nie zestrzelono. Potem ukrywała się w piwnicy u koleżanki. Szczegółów obrony Kamińska nigdy nie poznała.

W świetle tych zeznań nie ma wątpliwości, iż ostrzał z wieży prowadzili harcerze, że kilku z nich zginęło, a część wzięto do niewoli. Podobnych relacji jest wiele, a ich zestawienie pozwala bezdyskusyjnie na wyprowadzenie wniosku, że Katowic od strony Parku Kościuszki bronili harcerze.

Zaprezentowane powyżej ustalenia, oparte między innymi na fragmentach dokumentów i zeznaniach świadków, są jedynie częścią stanu faktycznego ustalanego w ramach obecnie prowadzonego śledztwa i mają na celu zwrócenie uwagi na fakt, że mimo upływu kilkudziesięciu lat od tamtych tragicznych wydarzeń ciągle można uzupełniać wiedzę o nich.

23 LATA, 6 MIESIĘCY I 22 DNI SALOMONA MORELA

Zainteresowanie osobą Salomona Morela – naczelnika m.in. obozu w Świętochłowicach i Jaworznie – nie słabnie. Mieszkający w Izraelu były funkcjonariusz służb bezpieczeństwa PRL ścigany jest listem gończym wydanym w grudniu 2003 r. Pierwszy wydano w 1996 r., ale obecnie prokuratorzy Instytutu Pamięi Narodowej zmienili zarzuty (oskarżono Morela o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości, odpowiedzialność za zamordowanie 1,5 tys. osób), na podstawie czego uzyskano nowe postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. 22 kwietnia 2004 r. minister sprawiedliwości podpisał kolejny wniosek o ekstradycję.

Syndrom wojny

Wydaje się, że duży wpływ na późniejsze postępowanie Salomona Morela miały wydarzenia, jakie w czasie wojny rozegrały się w jego rodzinnym Garbowie. Z zeznań sąsiada Morela, Józefa Tkaczyka, wiemy, że w 1942 r. policja granatowa aresztowała jego rodzinę. Jeden z posterunkowych miał pojedynczo wyprowadzać zatrzymanych z aresztu i strzelać do nich z karabinu. Egzekucji uniknęli Salomon i jego brat Icek. Tego samego dnia późnym wieczorem przyszli do Tkaczyka, który tak wspomina tę sytuację: „Prosili nas, żeby ich ukryć. Mój ojciec Walenty wrócił z Majdanka i był bardzo chory. Postanowiłem w jakiś sposób im pomóc, co się mogło zrobić, to się zrobiło. Umieściło się ich w oborze lub w stodole, w zależności, jaka pogoda była na zewnątrz. Nie przebywali cały czas w ukryciu, czasami wychodzili, oczywiście głównie w nocy. Czasami matka podała im coś do jedzenia”. Przy okazji Tkaczyk nadmienił, że w jego domu mieszkał posterunkowy, który zamordował rodzinę Morełów [!]¹.

Salomon Morel po wojnie wielokrotnie odwoływał się do zbrodni popełnionych przez Niemców w czasie wojny. Więźniom świętochłowickiego obozu kazał śpiewać nazistowskie pieśni i bił za nieznamość tekstu. Urządził specjalne akcje znęcania się nad więźniami w dniu urodzin Hitlera oraz zakończenia II wojny światowej. Nowo przybyłych więźniów miał witać słowami, że poznają, co to Oświęcim. W swoich życiorysach kilkakrotnie wspominał, że 21 grudnia 1942 r. „faszyści niemieccy przy pomocy granatowej policji” zastrzelili jego matkę, ojca i brata.



Salomon Morel, 1947 r.

Fot. z archiwum IPN w Katowicach

¹ Za ukrywanie braci Morełów Tkaczyk otrzymał medal „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

Pseudonim „Wariat”

Mieszkający niedaleko Puław Morel swoją przygodę z komunizmem rozpoczął prawdopodobnie w listopadzie 1942 r., kiedy to z bratem wstąpił do partyzantki (choć Tkaczyk wspomina, że Morel dopiero na przełomie 1943/1944 r. dołączył do dwudziestoosobowej żydowskiej grupy partyzanckiej, to być może rzeczywiście działał już w partyzantce przed egzekucją jego rodziny). Początkowo należał prawdopodobnie do oddziału, który miał raczej charakter bandy rabunkowej, i dopiero po jego rozbiciu przez Gwardię Ludową niektórzy członkowie, w tym Morel, zostali wcieleni do partyzantki komunistycznej. W życiorysie pisanym w 1947 r. wspomina: „rozbijaliśmy mleczarnie i paliliśmy urzędy gminne” na polecenie komórki PPR. W oddziałach partyzanckich Armii Ludowej walczył pod kierunkiem kpt. Chila, który stwierdził, że „wywiązałem się z powierzonych zadań bardzo dobrze”. Jego byłym dowódcą Mieczysław Moczar wystawił mu zaświadczenie, że „służył w oddziałach partyzanckich na terenach A.L. Lubelszczyzny i brał czynny udział w walce z Niemcami”. Nie używał oficjalnie żadnego pseudonimu, ale jak przyznał w 1947 r., w partyzantce nazywano go „wariatem”, ponieważ „byłem bardzo wesoły i wszystkich bawiłem”. Grał też na mandolinie, umilając partyzanckie życie swoim towarzyszom. Po zajęciu Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną w lecie 1944 r. zamieszkał wraz z grupą żydowskich partyzantów w kwaterach przy ulicy Ogrodowej w Lublinie. Wkrótce (prawdopodobnie od 1 sierpnia) wszyscy znaleźli pracę w milicji lub UB.

Szkodliwy w administracji więziennej

Morel trafił do pracy jako strażnik w osławionym więzieniu na Zamku w Lublinie, w którym katowano m.in. członków AK. Formalnie został mianowany strażnikiem dopiero 9 listopada 1944 r. Szansa na szybką karierę wydawała się pogrzebana po raporcie ppor. Antoniego Stolarza – naczelnika więzienia w Lublinie z 30 listopada 1944 r. Wnosił o zwolnienie sześciu funkcjonariuszy „Straży Więziennej [w tym Morela], gdyż nie wykonują oni sumiennie nałożonych na nich obowiązków, nie starają się podporządkować do regulaminu więziennego, zachowują się arogancko przyczem [pisownia oryginalna] rozsiewają plotki co do mojej osoby [tj. naczelnika Stolarza], przez co utrudniają mi pracę i podrywają mój autorytet”. Naczelnik Stolarz dodał ponadto, że prosi o zwolnienie wymienionych osób „jako elementu szkodliwego w administracji więziennej”. Już 2 grudnia o godzinie 8.30 strażnicy mieli się stawić do Działu Personalnego Wydziału Więziennictwa i Obozów. Szybko podjęto decyzję. Nie była to, wbrew przypuszczeniom, decyzja o zwolnieniu ze służby. Niesforni strażnicy zasilili kadrę innych więzień i tak: „Strażnik Szwarz Bernard – [przeszedł] do Więzienia w Białymstoku, Sierż. Morel Salomon – do Więzienia w Tarnobrzegu, Plut. Lewin Franciszek – do Więzienia w Siedlcach, Sierż. Ruchelsman Józef – do Więzienia w Białej Podlaskiej, Str[ażnik] Giterman Leon – do Więzienia w Białej Podlaskiej oraz [...] sierż. Wolsztajn Władysław – do Więzienia w Białymstoku”.

Jak 18 grudnia 1944 r. donosił Walenty Warchoł, naczelnik więzienia w Tarnobrzegu, Morel zgłosił się do pełnienia służby w tamtejszym więzieniu. Niecałe 2 miesiące później, 15 lutego 1945 r., Morel wyjechał z grupą operacyjną Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Górny Śląsk. Niemal natychmiast powierzono mu kierownictwo obozu w Świętochłowicach (początkowo pełnił funkcję zastępcy naczelnika obozu). Zastanawiające jest, że Morel, mimo ciężącej na nim opinii „elementu szkodliwego w więziennictwie”, obejmuje tak odpowiedzialną funkcję (ma wówczas 26 lat). Sam przyznał, że nie był do tego przygotowany, nie był przeszkolony „ani na szkołach, ani na kursach”. W ankiecie socjalnej w rubryce: kwalifikacje szczerze odpowiedział – „żadne”.

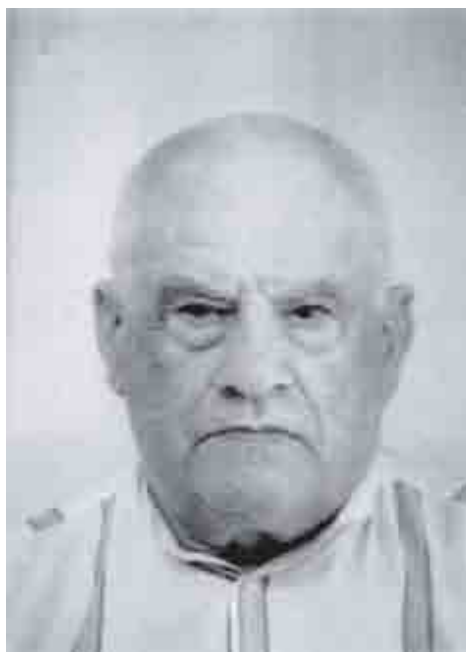
W zamkniętym kręgu

Morelowi przyszło pełnić służbę na terenach zupełnie mu obcych. Wojenne dzieje Górnego Śląska różniły się znacznie od tego, co działo się w Lubelskiem. Skomplikowane problemy narodowościowe na Śląsku były dla Morela czymś niezrozumiałym. Z czasem zaczął nabierać doświadczenia. Jak sam pisał, szczególnie cenne były dla niego kontakty z miejscową ludnością oraz z działaczami i piłkarzami klubu „Ruch Chorzów” (swoją słabość do sportu okazał jeszcze w 1965 r., gdy prosił o zezwolenie na wyjazd w ramach Federacji KS „Gwardia” Warszawa do NRD na mistrzostwa Europy w boksie). Morel nie znalazł jednak odpowiedniego towarzystwa wśród miejscowej ludności, a partnerami dla niego byli jedynie odpowiednio wysoko postawieni funkcjonariusze UB. W ankiecie z 1949 r. przyznał, że z nikim nie utrzymuje stosunków towarzyskich i ma tylko trzech dobrych kolegów: Aleksego Kruta (naczelnika więzienia w Koronowie), Tadeusza Skowyrę (naczelnika więzienia w Strzelcach) oraz Sewera Rozena (naczelnika więzienia w Barczewie). We wcześniejszej ankiecie oprócz Kruta wymienił jeszcze naczelnika więzienia w Katowicach oraz sekretarza komórki PPR przy Wojewódzkim Komitecie Żydowskim w Katowicach.

W życiu rodzinnym Morel również nie wyszedł poza krąg funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa. Żonę Wiesławę (pochodzącą ze wsi Łągisza pod Będzinem) poznał w obozie, gdzie pracowała jako sekretarka (miał się nawet wyrazić: „Więźniowie w Świętochłowicach uwielbiali mnie. Jedna strażniczka nawet za mnie wyszła”). Jeżeli chodzi o krewnych ze strony żony, to w ankiecie odpowiedział, że kontakty utrzymywał jedynie z kuzynką żony i jej bratem, którzy pracowali w WUBP w Katowicach. „Resortowe przyjaźnie” okazały się bardzo trwałe. W latach czterdziestych, kiedy Morel wrócił na krótko z Izraela, zamieszkał w Opolu u Franciszka Piątkowskiego, byłego zastępcy naczelnika obozu w Jaworznie.

„Nawyczki partyzanckie”

Morel okazał się cennym nabytkiem dla więziennictwa. Nawet jego dokonania w świętochłowickim obozie spotkały się z aprobatą przełożonych, skoro w listopadzie 1945 r. uznano, że jako naczelnik „wywiązuje się sumiennie ze swoich obowiązków”. W 1950 r. uważano go już za jednego z najlepszych naczelników więziennych, który „pracę po linii więziennictwa opanował całkowicie”. Ceniono go za zdolności organizacyjne, zwłaszcza „na odcinku produkcji”. Po reorganizacji obozu w Jaworznie i utworzeniu tam w maju 1951 r. tzw. więzienia progresywnego dla młodocianych przestępców Morel był przez kilka miesięcy jego pierwszym naczelnikiem. W listopadzie przeniesiono go do „jednostki produkcyjnej więzienia w Łławie”, głównie dlatego, że w Jaworznie poza pracą fizyczną więźniowie mieli być poddani intensywnemu szkoleniu ideologicznemu, a uważano, iż Morel nie może tego



Salomon Morel, 1993 r.

Fot. z archiwum IPN w Katowicach

zadania dobrze wykonać. Referent personalny uznał ponadto, że należy go przenieść, ponieważ Morel „jest narodowości żydowskiej, co mogłoby powodować antagonizmy pomiędzy nim a młodocianymi więźniami”.

Miał opinię politycznie pewnego, zupełnie oddanego ówczesnej rzeczywistości politycznej, wrogo ustosunkowanego do wszelkich przejawów nacjonalizmu. Nie zawsze jednak zachowanie Morela zasługiwało na pochwałę – w jednej z opinii napisano: „W stosunku do podwładnych posiada zasadniczo dobre podejście, potrafi podwładnych sobie zjednać, jednak czasem zapomina się i wówczas przemawiają przez niego »nawyczki partyzanckie«, co nie jest objawem pozytywnym i niegodnym pepeerowca”. Do końca pracy w więziennictwie cieszył się wszakże opinią dobrego fachowca, i to pomimo trzykrotnego ukarania aresztem (w 1945 r. w Świętochłowicach – 3 dni aresztu domowego, w 1949 r. – 3 dni aresztu domowego i w 1953 r. – 3 dni aresztu domowego) oraz trzech nagan. Nie przeszkodziło mu to w otrzymaniu w 1960 r. „Odznaki Wzorowego Funkcjonariusza Służby Więziennej”.

Zawód – prawnik

Wstępując w szeregi aparatu bezpieczeństwa, Morel legitymował się wykształceniem podstawowym. Po wojnie ponownie podjął naukę – w lipcu 1949 r. zdał maturę w Liceum Prywatnym Związku Młodzieży Polskiej dla dorosłych (z wszystkich przedmiotów otrzymał zgodnie tę samą ocenę – dostateczny). Jego pęd do wiedzy był na tyle silny, że, jak napisano w charakterystyce z 1951 r., „czas wolny od pracy poświęca czytaniu literatury marksistowskiej i samokształceniu z zakresu szkolenia ideologicznego”. Rozpoczął też studiowanie literatury „z dziedziny pedagogiki kryminalnej”. W 1953 r. podjął naukę na wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu w Stalinogrodzie (tj. Katowicach), a w 1958 r. zgłosił się na studia na Studium Zaocznym Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego im. Bolesława Bieruta. Pracę magisterską poświęcił tematyce, na której znał się naprawdę dobrze – nosiła ona tytuł *Praca więźniów i jej znaczenie*. 12 września 1964 r. stanął przed komisją egzaminacyjną, która zadała mu trzy pytania dotyczące pracy więźniów. I tak został magistrem praw. Wcześniej jako specjalista w tej dziedzinie opublikował, z dwoma innymi autorami, w „Przeglądzie Więziennictwa” (nr 2/17 z 1961 r.) tekst pt. *Ośrodki pracy więźniów w województwie katowickim w latach 1950–1957*.

1968 – koniec kariery

Nieprzerwanie od 1945 r. do 1968 r. Morel zajmował stanowiska kierownicze – naczelnika więzienia, obozu lub wydziału więziennictwa. Ostatnie 10 lat służby przepracował jako naczelnik Centralnego Więzienia w Katowicach. Jak pisał w kwietniu 1968 r. naczelnik Wydziału Kadry i Szkolenia Centralnego Zarządu Więziennictwa: „praca na stanowisku naczelnika więzienia jest bardzo odpowiedzialna i uciążliwa ze względu na ciągłą styczność z różnym elementem przestępczym. Wymaga dużego napięcia nerwowego i nie ogranicza się do ośmiogodzinnego dnia pracy”. Jego zdaniem Morel, w związku z kłopotami zdrowotnymi, miał trudności „w wykonywaniu obowiązków służbowych na tak poważnym stanowisku”. Po orzeczeniu trwałej niezdolności do służby został zwolniony z dniem 31 maja 1968 r. Sam Morel przyznał, że tyle lat pracy z elementem przestępczym „zupełnie rozkołatało moje nerwy”. Wyliczono, że w więziennictwie przepracował 23 lata, 6 miesięcy i 22 dni. Obecnie otrzymuje za to emeryturę w wysokości 4968 zł brutto.

GÓRNOŚLĄZACY I GÓRNOŚLĄSCY GAULEITERZY

Tereny polskie zostały wcielone do III Rzeszy po kampanii wrześniowej i odrzuceniu ostatecznie przez Hitlera koncepcji utworzenia polskiego państwa satelickiego. Aneksji dokonano na mocy dekretu z 8 października 1939 roku, wcielając do Niemiec prawie połowę przedwojennego obszaru Polski: okręg Poznań, okręg Gdańsk-Prusy Zachodnie, do Prowincji Prusy Wschodnie włączono Ciechanowskie i Suwałki, a do Prowincji Śląskiej rejencję katowicką (*Regierungsbezirk Kattowitz*) oraz powiększoną rejencję opolską (*Regierungsbezirk Oppeln*). W dwa lata później z tych dwóch ostatnich jednostek administracyjnych utworzono odrębną Prowincję Górnośląską (*Provinz Oberschlesien*) z siedzibą jej władz w Katowicach.

Gauleiterzy graniczni

Władza polityczna i partyjna na terenach wcielonych do Rzeszy znalazła się w rękach zwierzchników okręgów partyjnych NSDAP (gauleiterów). Głównym elementem prowadzonej przez nich polityki były zagadnienia narodowościowe. Ich kompetencje na obszarach pogranicza były znacznie szersze w porównaniu z uprawnieniami, którymi dysponowali ich odpowiednicy w głębi Rzeszy. W nomenklaturze tego okresu pojawiło się więc osobne pojęcie – Grenzgauleiter¹. Zakładano, że do tych specjalnych zadań dobrani zostaną funkcjonariusze partyjni o specyficznych cechach osobowościowych i dysponujący doświadczeniem zdobytym w działalności na terenach pogranicza jeszcze przed wybuchem wojny. Według Hitlera nominacje te wiązać się miały z budową nowej administracji nie obciążonej tradycją pozytywizmu prawniczego, z utworzeniem nowej elity urzędniczej. Wśród gauleiterów mianowanych przez Hitlera do realizacji tych zadań na polskich terenach wcielonych znaleźli się: Erich Koch (Prusy Wschodnie, odpowiedzialny za rejencję ciechanowską, Suwałki, a od 1941 roku szef zarządu cywilnego w Okręgu Białostockim), Albert Forster (Prusy Zachodnie), Artur Greiser (Kraj Warty), Josef Wagner i Fritz Bracht (rejencja katowicka). Większość z nich traktowała swoje nominacje jako powierzenie im osobiście przez Führera misji do wypełnienia na terenach anektowanych.

Josef Wagner i Fritz Bracht – dwóch gauleiterów śląskich

Górny Śląsk podlegał podczas wojny dwóm gauleiterom – Wagnerowi i Brachtowi. Pierwszy z nich jeszcze przed formalnym utworzeniem rejencji pełnił funkcję szefa zarządu cywilnego, potem odgrywał decydującą rolę podczas organizacji administracji w rejencji

¹ Por.: P. Hüttenberger, *Die Gauleiter. Studie zum Wandel des Machtgefüges in der NSDAP*, Stuttgart 1969; R. Kaczmarek, *Niemiecka polityka narodowościowa na ziemiach wcielonych do Trzeciej Rzeszy* [w:] *Wiek Stare i Nowe*, t. II, red. I. Panic, M.W. Wanatowicz, Katowice 2001.

katowickiej. Drugi był najpierw organizatorem górnośląskiej organizacji partyjnej, a od 1941 roku właściwym realizatorem polityki niemieckiej na Górnym Śląsku².

Wagner pochodził z Lotaryngii. Urodził się w 1899 roku w Algringen (franc. Algrange). Już w dzieciństwie rodzina Wagnera przeniosła się jednak do Palatynatu, gdzie po ukończeniu szkoły ludowej Josef został wychowankiem seminarium nauczycielskiego. Jako osiemnastoletni chłopak został powołany do służby wojskowej, którą pełnił na froncie zachodnim. W 1918 roku, ciężko ranny, trafił do niewoli francuskiej. Po zakończeniu wojny wrócił do Niemiec i w 1920 roku zdał egzamin nauczycielski umożliwiający mu pracę w szkolnictwie. Zawód pedagoga pozostał jego niespełnionym marzeniem, ponieważ najpierw ze względu na bezrobocie, a potem już działalność w *Nationalsozialistische Arbeiterpartei* (NSDAP), nie uzyskał nigdy zgody na pracę w szkole.

W 1921 roku przeniósł się na stałe do Zagłębia Ruhry i z Westfalii związany był cały okres jego początkowej działalności politycznej. Znalazł tam najpierw zatrudnienie jako urzędnik, a potem poświęcił się działalności w NSDAP. Zaliczał się do grupy tzw. starych bojowników (do NSDAP przystąpił w 1922 roku, otrzymując legitymację partyjną numer 16 951). Podczas okupacji Zagłębia Ruhry przez Francuzów i Belgów utrzymywał kontakty z działającymi w Bochum Freikorpsami „Organisation Hauenstein” i „Oberland”. Niewątpliwą zasługą Wagnera było zbudowanie w Westfalii na początku lat trzydziestych jednego z najsilniejszych okręgów NSDAP. W maju 1928 roku znalazł się wśród pierwszych dwunastu deputowanych NSDAP do Reichstagu. Westfalia stała się dla Wagnera miejscem, gdzie zdobył decydujące w jego biografii doświadczenia polityczne. Tam zetknął się również z problematyką kierowania polityką gospodarczą w zindustrializowanym okręgu. Miejscem kształtowania się poglądów gospodarczych Wagnera był sztab jego doradcy gospodarczego – Paula Pleigera, jednego z późniejszych kierowników przemysłu ciężkiego w Trzeciej Rzeszy. Jego poglądy na rolę gospodarki w nowej rzeczywistości po 1933 roku stanowiły zbitkę doświadczeń zdobytych w Westfalii z tendencjami etatystycznymi dominującymi w ruchu narodowosocjalistycznym, szczególnie w kręgu Gregora Strassera. Opinia o uzdolnieniach Wagnera do kierowania gospodarką pomogła mu zapewne w przejściu w 1934 roku nowego okręgu partyjnego – Śląska. Formalnie dwie osobne prowincje, górnośląska i śląska, faktycznie połączone były już wówczas unią personalną (1 kwietnia 1938 roku zlikwidowano zresztą ten sztuczny już wówczas podział).

Fritz Bracht także rozpoczynał swoją karierę partyjną w Westfalii. Należał do młodszego pokolenia członków NSDAP. Mimo że był równolatkiem Wagnera, w porównaniu ze swoim poprzednikiem zajmował w hierarchii partyjnej drugoplanową pozycję. Do NSDAP wstąpił w 1927 roku (nr legitymacji partyjnej 77 890). W 1928 roku został kolejno bezirksleiterem i kreisleiterem NSDAP w Altonie. Później całą swoją karierę partyjną w latach trzydziestych zawdzięczał Wagnerowi, pełniąc z jego nominacji funkcję zastępcy gauleitera w zarządzie okręgowym NSDAP we Wrocławiu. Kiedy jego zwierzchnik popadł w kłopoty w 1940 roku, nie wahał się jednak wykorzystać jego trudności osobistych i prawdopodobnie przyłożył ręki do intrygi zakończonej dymisją Wagnera. Oznaczało to bowiem dla Brachta kolejny awans, objęcie nowo utworzonej Prowincji Górnośląskiej i stanowiska gauleitera w Katowicach. Realizacja celów polityki narodowościowej na tym obszarze w czasie wojny zależała więc od niego.

² Szerzej zob.: R. Kaczmarek, *Pod rządami gauleiterów. Elity i instancje władzy w rejencji katowickiej w latach 1939–1945*, Katowice 1998; idem, *Nazistowskie elity władzy na Górnym Śląsku 1939–1945*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi”, t. 23, red. K. Jonca, Wrocław 2000.

Stosunek śląskich gauleiterów do Górnoślązaków

Gauleiterzy, rozpoczynający administrowanie terenami wcielonymi, stanęli przed zadaniem rozstrzygnięcia dylematu, czy traktować anektowane obszary jako teren eksperymentu administracyjnego dla stworzenia nowej, wzorcowej, nazistowskiej struktury władzy, czy też kontynuować w Poznaniu, Gdańsku i Katowicach politykę prowadzoną do tej pory w „starej Rzeszy”. Wagner przystępując w 1939 roku do wcielenia Górnego Śląska, miał ukształtowany plan działania, oparty zarówno na jego poglądach dotyczących pryncypiów w polityce gospodarczej i społecznej, jak przede wszystkim na doświadczeniach, które zebrał w toku długiej przedwojennej kariery partyjnej i administracyjnej. To on właśnie nadał piętno polityce niemieckiej realizowanej przez sześć lat na Górnym Śląsku, a jego następcą, Fritz Bracht, stał się tylko kontynuatorem tych zamysłów.

Wagner sądził, że możliwe jest przeprowadzenie na szeroką skalę germanizacji na Górnym Śląsku, a więc niepotrzebne będą masowe wysiedlenia. Nie wiedział wówczas, że w ramach przydzielonego mu obszaru znajdują się tereny prawie w całości zamieszkałe przez ludność polską na obszarze tzw. stref wschodnich (Oststreifen), należących przed wojną do województw krakowskiego i kieleckiego. Przez pierwsze dwa lata wojny podkreślał wielowiekową, nierozzerwalną łączność Niemców na Górnym Śląsku z ojczyzną, negując przy tym różnice pomiędzy jego dwiema częściami. Zapewniał o wspaniałej przyszłości wszystkich Ślązaków w niemieckiej ojczyźnie. W przemówieniach, które wygłaszano podczas manifestacji organizowanych z okazji „powrotu do ojczyzny” we wszystkich miastach powiatowych rejencji katowickiej, podkreślano ten właśnie motyw przewodni polityki Wagnera. Jej kwintesencją jest jego własna wypowiedź na wielkiej manifestacji, która odbyła się w Katowicach 15 września 1939 roku: „Wróciliście do wielkich Niemiec i do waszej macierzystej prowincji. Istnieje tylko jeden Śląsk! I macie pełne podstawy do tego, by być dumni z tego wielkiego i pięknego Śląska [...] Ślązacy, jesteście przyszłością, nie środkiem do celu! Dolnoślązacy albo Górnoślązacy, mamy wszyscy własny Śląsk. Jestem dumny z tego regionu, który historycznie i gospodarczo zawsze należał do Rzeszy”³. Wagner często porównywał Górny Śląsk do tak bliskiego i dobrze znanego mu Zagłębia Ruhry. Wydawało mu się prawdopodobnie, że jest w stanie powtórzyć osiągnięty tam sukces dzięki przyciągnięciu do ruchu narodowo-socjalistycznego rozczarowanych wówczas swoją sytuacją gospodarczą robotników Ruhry, stąd stały motyw w jego przemówieniach: „Chcemy z tego regionu zrobić pod względem gospodarczym i stosunków pracy nowe niemieckie Zagłębie Ruhry”⁴.

Wbrew oczekiwaniom Wagnera, to jednak nie gospodarka i administracja, a kwestie narodowościowe okazały się najbardziej skomplikowane na Górnym Śląsku. Śląski gauleiter od początku prowadził politykę narodowościową w cieniu sporu z odpowiedzialnym za nią na kresach wschodnich aparatem terroru podporządkowanym Heinrichowi Himmlerowi, a na Śląsku lokalnemu wyższemu dowódcy SS i policji – Erichowi von dem Bach-Zelewskiemu.

Po przeprowadzeniu spisu policyjnego w 1939 roku, którego wyniki stanowiły spore zaskoczenie dla samych Niemców, ponieważ w byłej pruskiej części Górnego Śląska narodowość niemiecką wskazało jako własną aż 94,97 proc. ludności, wydawało się że plany Wagnera zmierzającego do wciągnięcia do współpracy jak największej liczby Górnoślązaków były bliskie ziszczenia. Jednak ten pierwszy spis przez samych Niemców uznany został za mało wiarygodny z racji dobrowolności opcji. Nie powstrzymało to więc aparatu podpo-

³ „Kattowitzer Zeitung”, 16 X 1939.

⁴ *Ibidem*.

Fot. z archiwum IPN



rządkowanego komisarzowi Rzeszy do spraw umocnienia niemieczyny przed realizacją planu olbrzymich wysiedleń na modłę Kraju Warty, szczególnie na wschodzie rejencji katowickiej, gdzie nie mogło być mowy o skutecznym ziemczeniu całkowicie polskiej ludności.

Do realizacji wizji Wagnera potrzebne było przyzwolenie Górnioślązaków na uczestnictwo w projekcie stworzenia z Górnego Śląska wzorcowej prowincji na terenach wcielonych (*Mustergau*). Zachęcającym motywem miało być zaliczenie Górnioślązaków do tzw. niemieckiej wspólnoty narodowej. Postawa Wagnera nie stała w całkowitej sprzeczności z oficjalną oceną sytuacji na Górnym Śląsku dokonaną przez aparat Himmlera odpowiedzialny za politykę rasową. W ekspertyzach sporządzanych przez urząd rasowy SS zakładano możliwość zaliczenia Górnioślązaków do tzw. niemieckiej wspólnoty narodowej. Konieczne było tylko wypracowanie instrumentów selekcji umożliwiających oddzielenie Górnioślązaków od Polaków. Kluczowe okazało się rozstrzygnięcie kwestii, czy chodzić ma o germanizację, czy o udowodnienie posiadania „krwi niemieckiej”. Problemem było więc, czy winna nastąpić „tylko” kolonizacja, czy też bezwzględna eksterminacja na wzór polityki prowadzonej przez Greisera w Wielkopolsce.

Nieoczekiwana zmiana na stanowisku gauleitera w 1941 roku nie oznaczała zmiany w polityce narodowościowej na Górnym Śląsku. W gospodarce Bracht zrezygnował z ambicji modernizacyjnych swojego poprzednika, dotyczących budowania „nowego Zagłębia Ruhry” na wschodzie. Polityka okupanta przeszła bowiem, z powodu coraz trudniejszej sytuacji zaopatrzeniowej, w fazę rabunkowej eksploatacji, szczególnie w górnictwie i hutnictwie. Podstawą polityki narodowościowej nowego gauleitera była jednak chęć pozostawienia Górnioślązaków na obszarze prowincji górniośląskiej, a więc realizacja ziemczenia na podstawie uznania pozytywnych cech rasowych części mieszkańców rejencji katowickiej. Podstawą tej koncepcji stała się realizacja akcji wpisów na niemiecką listę narodowościową (*Deutsche Volksliste – DVL*).

Bracht, kontynuując główne założenia polityki narodowościowej przyjęte jeszcze w 1939 roku przez swego poprzednika, mimo posługiwania się retoryką rasistowską, dopuścił w rejencji katowickiej możliwość zaliczenia do grupy III DVL (dającej zaliczonym do niej, oprócz

grupy I i II, obywatelstwo niemieckie na 10 lat) nawet tych Górnoszlązaków, co do których istniały wątpliwości dotyczące ich postawy przed 1939 rokiem. Otwierało to możliwość „nabywania” niemieczyny, stanowiąc w istocie odejście od koncepcji dziedziczenia cech rasowych. Potrzeba maksymalnego wykorzystania przemysłu ciężkiego rejencji katowickiej i utrzymania, a nawet wzrostu zatrudnienia w wiodących jego branżach oraz zgłaszane zapotrzebowanie Wehrmachtu na rekrutów wymuszały na terenie rejencji katowickiej tę odmienną w celu zachowania wykwalifikowanych robotników w kopalniach i hutach. W konsekwencji doprowadziło to jednak na Górnym Śląsku do rewizji forsowanej przez sztab Himmlera jednolitej polityki rasowej na wschodnich ziemiach okupowanych.

Najsilniej paradoksy niemieckiej polityki narodowościowej w rejencji katowickiej dają się zauważyć, jeśli porównamy jej wyniki w Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku. Obydwa obszary należały do tej samej jednostki administracyjnej. Jednak w powiecie będzińskim i w Sosnowcu DVL objęto niespełna 3 proc. ludności (obywatelstwo niemieckie otrzymało 2,41 proc.), a na tzw. dawnym pruskim Górnym Śląsku sytuacja była diametralnie odmienna. Wpisem na DVL objęto bowiem ponad 90 proc. ogółu dorosłej ludności (z tego 86 proc. otrzymało obywatelstwo niemieckie). Ta olbrzymia dysproporcja nie jest oczywiście zauważalna, jeżeli przywoła się uśrednione wyniki ogólne – DVL w całej rejencji katowickiej objęto 56,38 proc., obywatelstwo uzyskało 52,18 proc. Wspomniane różnice stwarzały w rejencji katowickiej dwa światy: tzw. *Oststreifen* (części byłych województw kieleckiego i krakowskiego) oraz byłego województwa śląskiego. W tej pierwszej dominowała ludność uznawana za niemiecką, w drugiej skupiona była ludność polska i zamknięci w gettach Żydzi.

Polityka narodowościowa górnoszląskich gauleiterów na tle innych polskich terenów wcielonych do Rzeszy

Dla ludności pozostającej na polskich terenach wcielonych w zasadzie przyjęto, że tzw. warstwa pośrednia będzie mogła ulec zniemczeniu. Formy tego zniemczenia były jednak różne i ostatecznie na polskich terenach wcielonych ukształtowały się dwa style podejścia do tego zagadnienia: wspomniany górnoszląski, a także podobny do niego pomorski, reprezentowane przez Brachta i Forstera oraz wielkopolski i wschodniopruski, których wykonawcami byli Greiser i Koch. W czasie wojny na Śląsku i Pomorzu dopuszczano do germanizacji te osoby, które uznano za posiadające tzw. pochodzenie niemieckie (*deutschstämmige*). Gauleiterzy Górnego Śląska i Pomorza widzieli więc skuteczność polityki narodowościowej na powierzonych im obszarach w zniemczeniu, a nie w masowym wysiedleniu ludności i osadnictwie niemieckim, aczkolwiek w ograniczonym zakresie zezwalali sztabowi Heinricha Himmlera na realizację i takich zadań w stosunku do ludności poza *folkslistę* (dotyczy to przede wszystkim Prus Zachodnich podlegających Forsterowi, ale plany takie istniały i na Górnym Śląsku, wstrzymywano je tylko ze względów gospodarczych).

Kierując się odmiennymi przesłankami, Greiser i Koch chcieli prowadzić politykę kolonizacyjną przy wykorzystaniu wszystkich instrumentów totalitarnego państwa nazistowskiego. Cechą charakterystyczną tej polityki w Wielkopolsce było wyjątkowe tylko nadawanie obywatelstwa niemieckiego i masowe wysiedlenia, w których oprócz aparatu Himmlera zaangażowane zostały również administracja cywilna i członkowie partii. Greiser starał się przeprowadzić ścisły podział rasowy między Polakami a Niemcami. Podczas kiedy w Zachodnich Prusach i na Górnym Śląsku nadano *folkslistę* dużej liczbie ludności rodzimej (ponad 40 proc., a na dawnym pruskim Górnym Śląsku około 90 proc.), to w Wielkopolsce objęła ona zaledwie 2 proc. mieszkańców. Ogółem na niemiecką listę narodowościową przyjęto więc, co praw-

Fot. z archiwum IPN



da, około 18–19 proc. ludności zamieszkującej polskie obszary wcielone, ale z olbrzymią dysproporcją, jaką tworzyły diametralnie odmienne metody kwalifikacji z jednej strony na Pomorzu i Górnym Śląsku, a z drugiej w Kraju Warty i w Prusach Wschodnich.

* * *

Po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku Wagner razem z całą grupą późniejszych tzw. więźniów honorowych (*Ehrenhäftlinge*) został uwięziony. Trzymano go początkowo w więzieniach gestapo, najpierw na Prinz Albert Strasse w Berlinie, a potem w Poczdamie. Jego ówczesne nadzieje na rychłe uwolnienie nie spełniły się, w połowie lutego ponownie przewieziono go do więzienia gestapo w stolicy Rzeszy⁵. Dalsze losy Wagnera nie są do końca jasne. Początkowo sądzono, że rozstrzelało go gestapo w ostatnich egzekucjach przeprowadzonych na gruzach zbombardowanego Berlina⁶. Pod koniec lat osiemdziesiątych pojawiła się zaś informacja, oparta na relacji naocznego świadka, o rozstrzelaniu Wagnera przez Rosjan po ich wkroczeniu do Berlina (pastor, który obserwował tę egzekucję, twierdził jednak, że były gauleiter znajdował się tam przypadkowo i nie został wcześniej zidentyfikowany)⁷.

Fritz Bracht po załamaniu obrony Górnego Śląska miał powtórny zawał serca (pierwszy wiosną 1944 roku) i został odwieziony do Kudowy Zdroju, gdzie prawdopodobnie w kwietniu 1945 roku popełnił samobójstwo⁸.

⁵ H. Schacht *Abrechnung mit Hitler*, Berlin–Frankfurt a. M. 1949, s. 103; *idem*, *76 Jahre meines Lebens*, Bad Wörishofen 1953, s. 550.

⁶ K.E. Dellenbusch, K.F. Kolbow, *Gedenken und Vermächtnis*, „Saarländischer Gebirgsbote” 1956, s. 8–10.

⁷ *Die Reichstagsabgeordneten der Weimarer Republik in der Zeit des Nationalsozialismus. Politische Verfolgung, Emigration und Ausbürgerung 1933–1945. Eine biographische Dokumentation*, wyd. M. Schumacher, Düsseldorf 1991, s. 608–609.

⁸ H. Neubach, *Parteien und Politiker in Schlesien*, Dortmund 1988, s. 214.

GRZEGORZ BĘBNIK, OBEP IPN KATOWICE

ORDNUNGSPOLIZEI ZAMIAST STRAŻY POŻARNEJ

Niemcy wkraczający w 1939 roku na polską część Górnego Śląska nie postrzegali tych ziem jako obcego, wrogiego kraju. Tereny te traktowano jako oderwaną od macierzy część niemieckiej ojczyzny, zamieszkaną przez równie niemiecką ludność.

Konsekwencją tego było postępowanie władz okupacyjnych odmienne aniżeli choćby w Generalnym Gubernatorstwie. Również w dziedzinie administracji. O ile tam polityka okupanta zdawała się zmierzać do utrzymania przynajmniej niektórych, podstawowych jej zrębów, o tyle na Górnym Śląsku struktury takie zlikwidowano, w ich miejsce od podstaw tworząc nowe, na wzór istniejących w Rzeszy. Podobne posunięcie dotyczyło również wszelkich organizacji użyteczności publicznej, z niewielkimi (a i to do czasu) wyjątkami poczynionymi wobec zrzeżeń kościelnych. W procesie tym jedyny wyłom stanowiły tak pożyteczne w czasie wojny organizacje, jak istniejące tu wówczas zawodowe i ochotnicze straże pożarne. Miały one przejść proces „ujednoczenia”, identycznego niemal z tym, jaki kilka lat wcześniej dokonywał się w całych Niemczech.



Ochotnicza Straż Pożarna w Piotrowicach Śląskich (Petrowitz O/S), dziś dzielnicy Katowic. W środku, w czapce – Zugführer Fritz Tomalla. Zdjęcie prawdopodobnie z jesieni 1943 roku

Na podstawie hitlerowskiej ustawy o pożarnictwie z 23 listopada 1938 roku zostało ono włączone w struktury tzw. policji porządkowej (Ordnungspolizei – Orpo), na czele z generałem SS Kurtem Daluege. Wspomniana ustawa nie była niczym innym, jak prawnym usankcjonowaniem efektów trwającego już od kilku lat *Gleichschaltung*, dotyczącego wszelkich dziedzin życia w ówczesnej Rzeszy. Jednostki zawodowe przeformowano w „policję pożarniczą” (Feuerschutzpolizei), jednostki ochotnicze natomiast, pozbawiwszy je jakiegokolwiek autonomii, scalono w hierarchiczną, zorganizowaną na wojskową modłę strukturę, opartą na istniejącym podziale administracyjnym. Na szczeblu kraju (landu) sprawami straży ochotniczych zawiadywał w niej komendant krajowy (Landesführer), na szczeblu prowincji – komendant odcinka (Abschnittsführer lub Provinzial-feuerwehrführer), rejencji – komendant obwodowy (Bezirksführer), powiatu – komendant powiatowy (Kreisführer). Jemu to bezpośrednio podlegały organizacje terenowe¹.

Misja nadradcy Gribowa

Już 8 września 1939 r. decyzją generała Daluege, działającego na osobiste zlecenie Heinricha Himmlera, wyznaczono osobę nadradcy policji pożarniczej, Gribowa, jako „rzeczoznawcę”, mającego w ślad za Wehrmachtem udać się na „niegdyś niemieckie obszary Górnego Śląska i polskiego powiatu Sosnowiec”. Miał on tam gruntownie skontrolować stan istniejących straży pożarnych wszelkich szczebli. Nadradca na polskim Śląsku pojawił się w połowie września, już 6 października zaś złożył obszerny, czternastostronicowy raport, opisujący wszelkie aspekty problemu. Gribow nie mógł powstrzymać się w nim od demonstrowania poczucia wyższości: „Wyposażenie – pisał o ochotniczych jednostkach w Katowicach – pochodzi jeszcze z czasów niemieckich. Samochodów do przewozu ludzi i sprzętu nie ma w ogóle, co jest następstwem słabego stopnia motoryzacji w Polsce. Niemal wszystkie remizy znajdują się w fatalnym stanie”. Równie krytycznie ocenił stopień wyszkolenia jednostek tak zawodowych, jak i ochotniczych, winą za ten stan rzeczy obarczając polskie kierownictwo. Bezpośrednio wiązało się z tym znaczące zalecenie pozostawienia w szeregach straży wyłącznie „godnych zaufania, niemieckich rodaków [Volksgenossen]”. Przebywając w powiatowej Pszczynie, gruntownie skrytykował żałosny, jego zdaniem, stan tamtejszej jednostki. „Wyjaśnienie tego stanu rzeczy staje się oczywiste – dodawał złośliwie – gdy słyszymy, że ludność Pszczyny jako miasta urzędniczego [Beamtenstadt] w trzech czwartych składała się z Polaków. [...] Tam, gdzie niemieccy komendanci i ich zastępcy wywierali jeszcze jakiś wpływ, jak np. w Mikołowie czy Tarnowskich Górach, remizy sprawiają porządne wrażenie”.

Gribow zwrócił też uwagę na nieznaną w Rzeszy obyczaj tworzenia przy strażach żeńskich drużyn ratowniczych. „Wartość tych kobiecych straży – komentował z wyraźnym niesmakiem – przez ogół strażaków nie jest oceniana zbyt wysoko. Najważniejszym ich zadaniem było zapewne wywieranie odpowiedniego wrażenia na paradach, w jakich straż musiała brać udział”. Stosownie do tego postulował niezwłoczne ich rozwiązanie. Gdyby mógł przewidzieć, ile trudu w kilka lat później włoży niemiecka administracja w organizację takich samych jednostek, gdy brakować już będzie powoływanych do służby wojskowej mężczyzn!

Ze zdumieniem konstatował też, że szczególnie zawodowe jednostki obarczone były przez nadrzędne wobec nich zarządy miast takimi obowiązkami, jak dezynfekcja czy nawet (w Chorzowie) sporządzanie trumien dla najuboższych. Z uznaniem wyrażał się za

¹ Jako polski odpowiednik słowa *Führer* stosować będą termin „komendant”.

to o wyposażeniu polskich straży w sprzęt do obrony przeciwchemicznej, nie odmawiając sobie jednak i tu podkreślenia, że dowodzi to jedynie rozmiaru obaw, żywionych przed niemieckimi atakami lotniczymi.

O ile wcześniej nadradca Gribow był jedynie kostyczny, o tyle opisując remizę zawodowej jednostki pożarniczej w Sosnowcu, wyraźnie stracił panowanie nad sobą. Ze zgrozą wspominał o szesnastometrowym pokoiku, w którym na trzypiętrowych pryczach spali dyżurujący akurat strażacy, o braku szaf, a nawet wszechobecnych pluskwach, by wreszcie stwierdzić: „Porównanie z niemiecką strażą nie jest w ogóle możliwe, tu mówić można tylko o polskiej gospodarce [*polnische Wirtschaft*]”². O tym, że mogło być inaczej, świadczył, jego zdaniem, przykład jednostki w sąsiedniej Dąbrowie Górniczej. Pan nadradca był nią wręcz oczarowany.

Narodowosocjalistycznie – szewcy na komendantów

Sugerując się wskazaniem Gribowa, podjęto zatem dzieło przekuwania istniejących na wspomnianym obszarze jednostek na narodowosocjalistyczną modłę. Początkowo zlecono nowym władzom gmin sporządzenie dokładnego rejestru istniejących zasobów – ludzi, sprzętu, gotówki itp. Równoległe podjęto wysiłki, by z istniejących jednostek wyłączać stopniowo rokujących co większe nadzieje *Volksgenossen*, tworząc z nich zaczątki niemieckich straży. Od podstaw tworzono natomiast struktury nadrzędne.

Obszar kompetencji dotychczasowego komendanta straży pożarnej na poziomie prowincji, Ericha Sauerbiera, uległ znacznemu powiększeniu w związku z wcieleniem dotychczasowego województwa śląskiego (oraz fragmentów województw krakowskiego i kieleckiego) do prowincji śląskiej. Sauerbier powołany został z dniem 7 listopada przez prezydenta rejencji Waltera Springoruma na stanowisko „komisarycznego zarządcy ochotniczych straży pożarnych w niegdyś polskim obszarze państwowym rejencji katowickiej”. Jednym z pierwszych jego posunięć po przyjeździe do Katowic i pobieżnym zorientowaniu się w lokalnej specyfice były propozycje nominacji na komendantów tak w rejencji, jak poszczególnych powiatach. Spod kompetencji Sauerbiera wyłączone zostały straże zawodowe, podległe – jako przyszłe jednostki *Feuerschutzpolizei* – bezpośrednio miejscowemu komendantowi policji porządkowej.

Znamienna jest polityka personalna nowego komendanta. Na komisarycznego komendanta rejencyjnego zaproponował on radcę miejskiego z Katowic o nazwisku Golla, *volksdeutscha*. Funkcję komendanta w powiecie lublinieckim objąć miał Paul Koepe z Dobrodzienia, w powiecie tarnogórskim – Friedrich Rosemann z Bytomia, sprawujący już tę funkcję w swym rodzinnym mieście, prócz tego będący komendantem rejencyjnym w Opolu. W Rybniku komendanturę objąć miał Alois Ogiermann z Niedobczyc, drugi w tym gronie „krajowiec”. Co do powiatów katowickiego i pszczyńskiego Sauerbier czas jakiś nie mógł się zdecydować, a może po prostu brakowało mu rozeznania. Dopiero w grudniu zaproponował odpowiednich, jak mu się wydawało, kandydatów. Byli nimi tapicer Max Hasler z Pszczyzny oraz nauczyciel Johannes Nytz z Katowic. Rzecz jasna, w każdym wypadku ostateczną nominację uzależniał on od pozytywnej opinii powiatowych struktur NSDAP³.

Już jednak 8 stycznia katowicki landrat (starosta) prosił prezydenta rejencji o wstrzymanie się z nominacją Nytza, powołując się przy tym na opinię samego Sauerbiera i wskazu-

² *Polnische Wirtschaft* jako funkcjonujący w języku niemieckim synonim zaniedbania i bałaganu.

³ W przypadku Ogiermanna opinia taka brzmiała: „Jest i był zorganizowany niemiecko. Politycznie i co do charakteru godny zaufania, ponieważ nie są znane okoliczności obciążające”.



Unikatowe zdjęcie z grudnia 1939 roku, przedstawiające uczestników zorganizowanego w Nysie pierwszego kursu dla komendantów straży pożarnych z terenów dawnego województwa śląskiego. W pierwszym rzędzie trzeci od lewej – zastępca komendanta szkoły, Anton Krzikalla. Uderza nade wszystko wiek kursantów. „Rocznik – pisał nadradca Gribow – obejmuje 40 uczestników, w większości ludzi starszych, gdyż młodzi volksdeutsche słabo władają językiem niemieckim”

jąc, że do Katowic „w interesach” przenosi się niebawem komendant powiatowy straży pożarnej z Wołowa (Wohlau) w rejencji wrocławskiej, wytwórca obuwia ortopedycznego Scholz, „niezwykle pilny komendant straży pożarnej, dysponujący dużą praktyką i znajomością ludzi”. Przeprowadzka zacnego szewca do Katowic odwlekała się jednak ustawicznie. Toteż zirytowany Sauerbier postanowił wrócić do lansowanej poprzednio osoby nauczyciela Nytza. Nawet jednak w drugim podejściu katowicki belfer nie zyskał względów „na górze”. Zupełnie niespodziewanie funkcję tę objął bowiem reichsdeutsch, przedsiębiorca budowlany Georg Matzker, jednocześnie burmistrz Wirka (Antonienhütte). Także osoba Golli nie wytrzymała próby czasu – wraz z wyłączeniem powiatów bytomskiego, gliwickiego i zabrzańskiego z rejencji opolskiej i wcieleniem ich do katowickiej niejako automatycznie zamieszkały w Bytomiu opolski komendant rejencyjny Rosemann mianowany został komisarzem (początkowo) komendantem straży pożarnych na rejencję katowicką.

Owo odsuwanie „krajowców” na boczne tory zdawało się zresztą niemal regułą – Max Hasler z Pszczyny wkrótce ustąpić musiał miejsca przybyszowi z Pyskowic (zatem ze „starej” Rzeszy), Hubertowi Wanjek. Sytuacja w strażach była zresztą li tylko drobnym refleksem postępowania hitlerowskich władz na wszystkich szczeblach tutejszej administracyjnej drabiny. Niemcy przybývający z głębi Rzeszy zdominowali ją bez reszty, miejscowym volksdeutchem okazując jawną nieufność. Owszem, gdy byli oni potrzebni, szczególnie w początkowym okresie okupacji, chętnie wykorzystywano ich znajomość miejscowych realiów. W żaden jednak sposób nie szło za tym honorowanie owych „zastug” odpowiednimi stanowiskami.

Oczyszczanie straży

Nieco inaczej wygląda sprawa w powiatach Bielsko oraz Cieszyn. W obydwu miastach istniała liczna i dobrze zorganizowana niemiecka mniejszość, spadek po monarchii austro-węgierskiej. Już w okresie międzywojennym jej przedstawiciele wywierali silny wpływ na obsadę władz muni-cypalnych, nieraz sprawując wręcz samodzielne rządy. Miasta te stanowiły też matecznik jawnie nazistowskiej *Jungdeutsche Partei*. Toteż znalezienie odpowiednich kandydatów spośród zasiedzia-tych tam *Volksgenossen* nie było trudną sprawą. Zatwierdzono po prostu przedwojennych ogniomistrzów: w Cieszynie ślusarza Emila Riese, w Bielsku zaś kamieniarza Edmunda Heina.

Zupełnie odmienny był los wcielonych do prowincji śląskiej powiatów Olkusz, Sosnowiec, Będzin, Chrzanów, Żywiec czy Zawiercie. Kompletny niemal brak miejscowych Niemców sprawił, że nie mogło być mowy o skromnym nawet wykorzystaniu *volksdeutschów*. Wszelkie prominentne funkcje obsadzono przybyszami z głębi Rzeszy.

„Miejscowym” Górnślązacom przeznaczono role na niższych szczeblach, oczywiście po odpowiedniej weryfikacji. Szczególnie światło rzucają na ten problem raporty, jakie w począt-kach roku 1940 poszczególne gminy sporządzały na polecenie landratów. „Czy straż składa się tylko z *volksdeutschów* lub też ilu narodowych Polaków [*National-Polen*], Żydów pozostaje jesz-cze do wyrzucenia?” – brzmiało trzecie pytanie stosownej ankiety. Integralnie wiązało się z nim czwarte: „Czy pozostali mogą zostać bez zastrzeżeń przeorganizowani w ochotniczą straż po-żarną w formie prawnej?”. Odpowiedzi były na ogół twierdzące, acz udzielane w różnej formie. Na tle wszystkich wyróżnił się burmistrz gminy Piotrowice, pisząc: „Stan osobowy straży w Piotro-wicach i Kostuchnie składa się, po gruntownym czyszczeniu [*Säuberung*] przez miejscową gru-pę NSDAP, wyłącznie z *volksdeutschów*”. Nie mniej pomysłowy był burmistrz Świętochłowic. „Po przedsięwziętym przesiewie [*Durchsiebung*] straż składa się z *volksdeutschów*” – pisał. Z Paw-łowic donoszono natomiast, nie bez swoistej dumy, że „wyczyszczenie [*Bereinigung*] nastąpiło już w grudniu zeszłego roku”. Narodowosocjalistyczną czujność starał się zaś wykazać burmistrz gminy Kończyce – choć w składzie osobowym straży miał samych *volksdeutschów*, na drugie pytanie odpowiedział dostownie: „Tak, z wyjątkiem dwóch wątpliwych przypadków”.

Na tej to podstawie w powiatach formułowano następnie raporty, wysyłane na ręce prezy-denta Springoruma. Szczegółowo ukazywały one stan podległych jednostek: podawano skład narodowościowy, poziom wykszolenia, zastanawiano się – jak powyżej – czy w obecnej postaci straż taka może być uznana za pełnowartościową w świetle odpowiednich niemieckich przepi-sów. Rzecz charakterystyczna – na to ostatnie pytanie odpowiadano bezpardonowym *nein* w dwóch wypadkach: jeśli stan wykszolenia oceniono na stopień niedostateczny oraz wtedy, gdy w skła-dzie przeważali Polacy. Działo się tak nawet wtedy, gdy pierwszy z czynników oceniono stosun-kowo wysoko – los taki spotkał np. jednostkę w Miedźnej w powiecie pszczyńskim. Polecenia Heinricha Himmlera i generała Kurta Daluege były jasne: tylko tam, gdzie brak było niemie-ckich straży, mogła powstać polska „straż obowiązkowa” (*Pflichtfeuerwehr*), jednak zawsze z nie-mieckim zarządem i niemieckim językiem komend. Najlepiej też bez żadnych mundurów, a nawet oznak na hełmach; jakakolwiek inna, poza gaszeniem pożarów, aktywność była tym jednostkom najsurowiej zakazana. Żydów, jak zalecano, najlepiej nie przyjmować w ogóle.

Coraz mniej chętnych

Swoisty „przeгляд kadr” pod względem i narodowościowym, i ideowym zdawał się począt-kowo nie mieć końca. Opinie o politycznej prawomyślności poszczególnych członków, wysta-wiane przez odpowiednie komórki NSDAP, sływały w wielu wypadkach opieszale. Przeciuga-jąca się procedura wpisywania ludności na folkslistę stawiła pod znakiem zapytania przydatność

wielu obecnych i potencjalnych strażaków. W związku z tym niejasna była też początkowo sprawa „rodaków”, przyporządkowanych do III lub IV grupy. Sposób ich traktowania zależny był najczęściej od woli miejscowych czynników. Wobec permanentnych braków kadrowych niektórzy landraci nie mogli oprzeć się pokusie skorzystania ze swych uprawnień, pozwalających im wcielić ludność do straży bez oglądania się na ich „ochotniczy” rzekomo charakter. Springorum ostrzegał jednak przed podobnymi praktykami – jego zdaniem, rodzić mogły one, jak to określił „niebezpieczeństwo wtargnięcia [Eindringen] polskich elementów” [do straży – G.B.].



Uczestnicy kursu dla komendantów jednostek terenowych, zorganizowanego w Nysie na przełomie kwietnia i maja 1941 roku. Piąty od lewej – Anton Krzikalla, szósty – komendant szkoły, Alois Beck.

Rzecz jasna, nie brakowało zadowolonych z tak mętnego stanu rzeczy. Służba w straży była wszak ukłonem w stronę okupanta. Wiązała się też ze znaczącym ograniczeniem wolnego czasu, a coraz częściej również z groźbą śmierci czy kalectwa. Jak można sądzić, w wielu gminach z trudem osiągnięto stan minimalny, obliczany na 18 lub – w uzasadnionych wypadkach – 14 osób. I to pomimo wzmożonego apelowania do patriotyzmu, honoru, poczucia obowiązku czy podobnych wartości. Charakterystyczny jest przykład miejscowości Wełnowiec (Hohenlohehütte), dziś dzielnicy Katowic. Jej burmistrz w maju 1940 roku pisał do katowickiego landrata: „Mam nadzieję, że z pomocą partii uda się przezwyciężyć istniejącą najwidoczniej wśród ludności niechęć [Abneigung] do utworzenia straży” ... Z czasem stosować zaczęto otwarty nacisk, przy którym słowo „ochotnicza” zupełnie zatracalo swój pierwotny sens. Dodatkowo osłabiał strażę coraz bardziej głodny nowych żołnierzy Wehrmacht. Nic dziwnego, że minister spraw wewnętrznych Wilhelm Frick w sierpniu 1942 r. oficjalnie zezwolił „trójkarzom” nie tylko na pełnienie służby w strażach, lecz i sprawowanie w nich kierowniczych funkcji. Posiadaczom DVL z numerem czwartym przypadł w udziale tylko pierwszy z tych przywilejów. Wkrótce złagodzone też kryteria wymagane do – obowiązującego zresztą jedynie oficerów lub też pełniących zbliżone funkcje – wykazania „niemieckiej krwi” w kilku poprzednich pokoleniach.

Szkolenia strażackie i polityczne

Funkcję „kuźni” nowych kadr dla górnośląskich straży pełniła powołana do życia w 1934 roku Prowincyjna Szkoła Straży Pożarnej (Provinzial-Feuerweherschule) w Nysie. Pierwszy kurs dla komendantów ze wschodniej części Górnego Śląska zorganizowano już na przełomie listopada i grudnia 1939 r. Jak zaś donosił komendant Rosemann w swym raporcie z 15 lutego 1941 r., do tamtej chwili zdołano w niej przeszkolić ponad 400 komendantów jednostek rozmaitego szczebla – od gminnych po powiatowe. Najczęstszą formą szkolenia był dwutygodniowy turnus, potoczony z zakwaterowaniem w szkolnych koszarach. Kursantów poddawano ścisłej, wojskowej dyscyplinie. Wypełniony plan zajęć obejmował również – na wcale niepoślednim miejscu – szkolenie polityczne. O jego odpowiedni poziom dbał sam komendant szkoły, Alois Beck. Osobliwa postać – w NSDAP od początków 1929 r. (numer członkowski 110 916), działacz SA i SS, ojciec trójki synów o imionach jakby żywcem wyjętych z *Eddy* – Aribert, Diethelm i Wigand. Zawołany nazista – w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy nosił stopień SS-Standartenführera, swe wyznanie określał jako „wierzący w Boga” (*gottgläubig*). Swoistą przeciwwagą był dlań jego zastępca, noszący swojskie raczej miano Anton Krzikalla. Mimo jedynie podstawowego wykształcenia i podejrzanej raczej politycznie postawy (nie dość, że do NSDAP wstąpił dopiero w 1940 roku, to nie taił swego przywiązania do katolicyzmu), dzięki – jak twierdzą jego akta – otwartemu, chłonnemu umysłowi i zaletom charakteru szybko awansował w pożarniczej hierarchii. Już pod koniec wojny, gdy Beck w mundurze majora Wehrmachtu odszedł na front bronić tysiącletniej Rzeszy, przejął on funkcję komendanta szkoły. Z punktu widzenia odpowiednich władz dysponował zresztą niezaprzeczanym atutem – biegłą znajomością języka polskiego. Mógł zatem, w przeciwieństwie do Becka, porozumieć się ze wszystkimi kursantami!

Rzecz to z pozoru paradoksalna, lecz dla kadry nyskiej szkoły znajomość języka polskiego była nieodzowna, stosownie do słabego opanowania przez wielu przybyłych z *Ost-Oberschlesien* kursantów mowy Schillera. Znamienna pod tym względem jest korespondencja, prowadzona na przełomie lat 1941/1942 pomiędzy szkołą, górnośląską Grupą Obrony Przeciwlotniczej Przemysłu (*Reichsgruppe Industrie-Werklufschutz*) a różnymi strukturami administracyjnymi i partyjnymi. Gdy w listopadzie 1941 r. zapadła decyzja o zamknięciu nyskiej szkoły w związku z planowanym zakwaterowaniem w jej pomieszczeniach przeniesionego z Wałbrzycha 3. pułku policji pożarniczej „Sachsen”, w całej prowincji podniosła się fala protestów. Jednym niemal głosem przemówiły wszystkie liczące się organizacje – polityczne i zawodowe. Pośród wielu ważkich powodów, jakie – ich zdaniem – przemawiały raczej za zlikwidowaniem podobnej placówki w Wałbrzychu, wymieniano i ten, że po kilku latach funkcjonowania szkoła w Nysie dorobiła się „doświadczonej, dwujęzycznej kadry”, niezbędnej w kształceniu górnośląskich straży.

* * *

Wszechogarniający charakter totalitarnego państwa, jakim była III Rzesza, dał się zatem poznać nawet na tak odległym, zdawałoby się, polu. Ochotnicze straże pożarne, kojarzone raczej z kręgiem towarzyskim i sobotnimi potańcówkami w remizie, stały się nie tylko narzędziem indoktrynacji, lecz również ogniwem rozbudowanego nadzoru nad społeczeństwem. Wcielenie w struktury policji powodowało zaś, że tylko krok dzielił aktywność w strażach od czynnej służby w Policji Ochronnej (*Schutzpolizei-Schupo*) czy zmilitaryzowanych batalionach policyjnych. I to, niestety, nieraz miało miejsce.

Autor skorzystał ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach, szczególnie z zespołów *Regierung Kattowitz* oraz *Oberpräsidium Kattowitz*. Zdjęcia wypożyczono ze zbiorów prywatnych.

TRZECI INSPEKTOR

18 stycznia 1961 r. w Dębieńsku Starym zmarł na raka krtani Jan Spyra, komendant Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP) w inspektoracie rybnickim AK, zastępca inspektora rybnickiego AK Władysława Kuboszka. Jego osoba nie pojawiła się dotychczas na kartach opracowań historycznych traktujących o Armii Krajowej Okręgu Śląskiego. Został prawie całkowicie zapomniany przez historię.

Jan Spyra „Lech”, „Sablik”, „Szpada” urodził się 1 czerwca 1900 r. w rodzinie Józefa i Emilii z domu Piecha. Mając kilka lat, przeprowadził się z rodzicami do Zabrzea Zaborza, gdzie ukończył szkołę powszechną i podjął pracę w koksowni. W 1919 r. walczył w I powstaniu śląskim, po którego zakończeniu musiał uciekać w Poznańskie. Tam kontynuował naukę w szkole podoficerskiej przy 7. Dowództwie Okręgu Generalnego w Poznaniu. Po ukończeniu szkolenia powrócił na Śląsk i wziął udział w pracach komisji plebiscytowej w Bytomiu Łagiewnikach, a po zakończeniu prac komisji walczył w II powstaniu śląskim. Po powstaniu otrzymał przeniesienie do Straży Granicznej w województwie poznańskim, skąd po rocznej służbie skierowany został na stanowisko komendanta placówki granicznej w Łagiewnikach. W latach 1927–1937 Spyra pełnił funkcję kierownika Oddziału Gospodarczego Śląskiego Okręgu Straży Granicznej w Katowicach, a także zastępcy kwatermistrza i płatnika. 1 października 1937 r. powierzono mu obowiązki komendanta komisariatu Straży Granicznej na placówce w Orzeszu. Zmobilizowany w sierpniu 1939 r. otrzymał przydział do batalionu marszowego 43. pp we Włodzimierzu Wołyńskim. W toku kampanii wrześniowej, 25 września, dostał się do niewoli sowieckiej pod Rawą Ruską. 1 listopada został przekazany Niemcom, którzy osadzili go w stalagu w okręgu Hessen.

Plany tajnej organizacji

Pod koniec sierpnia 1940 r., jako chory na płuca i niezdolny do pracy, został zwolniony z obozu i powrócił do domu w Dębieńsku. Wycieńczony Spyra (po powrocie do domu ważył 35 kg) przez kilka miesięcy przykuty był do łóżka. Pod koniec 1940 r. przybyli do niego dawni podwładni ze Straży Granicznej: Józef Bienek i Stanisław Kubiacyk, którzy zaproponowali utworzenie w środowisku przedwojennych strażników granicznych tajnej organizacji. Werbowanie członków przebiegało jednak opieszale – Spyra wciąż odczuwał skutki niewoli, Kubiacyk ostatecznie nie zgłosił akcesu do organizacji, jedynie Bienek próbował nawiązywać kontakty wśród znanych i zaufanych ludzi. Jednak organizacja nie wyszła poza stadium tworzenia struktur.

W połowie 1942 r. gestapo zaczęło interesować się przedwojennymi pogranicznikami. Po dwukrotnym przesłuchiwaniu, w lipcu 1942 r. Bienek zaczął się ukrywać. Niejako wybawieniem z opresji był kontakt z Armią Krajową – jeszcze w tym samym miesiącu z Bienkiem skontaktował się zastępca inspektora rybnickiego AK i szef wywiadu Paweł Cierpiot „Karlik”, „Fred”, „Makopol”, który zaproponował wejście strażników do AK. Na początku września w lasku koło Żor Jan Spyra został zaprzysiężony przez inspektora rybnickiego AK Władysława Kuboszka i otrzymał funkcję dowódcy WSOP na cały inspektorat rybnicki, który

wówczas obejmował swoim zasięgiem powiat rybnicki, pszczyński, cieszyński z Zaolziem i ziemię raciborsko-kozielską. Rybnicki inspektorat od początku swojej działalności cierpiał na brak kadry dowódczej i zwerbowanie Spyra było wypełnieniem jednej z istniejących wówczas luk w strukturze inspekcji. Przeszkolony wojskowo i mający praktykę w Straży Granicznej Spyra znakomicie sprawdził się jako komendant WSOP.

Tworzenie struktur WSOP

Wojskowa Służba Ochrony Powstania utworzona została na mocy rozkazu gen. Władysława Sikorskiego z 15 lipca 1941 r., z myślą o przewidywanym wybuchu powstania narodowego. Jej przeznaczeniem była służba ochronno-wartownicza. W razie wybuchu powstania do naczelnych zadań WSOP miały należeć: udział w walkach o opanowanie ważnych strategicznie obiektów, ochrona obiektów ważnych dla działań wojennych oraz obiektów użyteczności publicznej (obiektów przemysłowych, urzędów, stacji kolejowych, poczty). Wyznaczeni przez WSOP ludzie mieli po przejściu frontu pełnić kierownicze funkcje w zakładach przemysłowych. Ponadto do ważnych zadań, które miała realizować WSOP w czasie powstania, należało zabezpieczenie jednostek liniowych przed atakami dywersantów, maruderów i desantów nieprzyjaciela, a także ochrona mienia państwowego i prywatnego przed kradzieżami. WSOP miała również strzec jeńców oraz prowadzić obronę przeciwlotniczą, przeciwgazową i przeciwpożarową. W rybnickim inspektoracie WSOP zajmowała się też prowadzeniem wywiadu, badaniem nastrojów wśród ludności, gromadzeniem broni i werbowaniem nowych członków.

Do września 1942 r. WSOP w inspektoracie nie istniała, a jej zadania miały być realizowane na szczeblu poszczególnych batalionów. Spyra miał przejąć część żołnierzy i werbować nowych. Przystępując do organizowania WSOP, przekonał się, że w części batalionów w ogóle nie wydzielono ludzi, którzy mieli wykonywać zadania WSOP, a sztaby tychże wykazywały niejednokrotnie jedynie tzw. członków upatrzonych.

Spyra pełnił również funkcję kwatermistrza inspektoratu. Do jego obowiązków należało m.in. sprawdzanie stanu uzbrojenia batalionów, stanu środków sanitarnych, sprzętu, łączności i gotowości bojowej poszczególnych jednostek.

W krótkim czasie inspektorat pokryła sieć komisariatów terenowych. Tworzenie struktur WSOP utrudniały częste utarczki z dowódcami poszczególnych jednostek, którzy uważali, że dotychczasowy stan całkowicie wystarcza. Doszło między innymi do sporu z dowódcą batalionu Orzesze Wilhelmem Szwajnochem („Kolbenstein”, „Miedzianka”, „Prom”), gdyż wykazywał on w raportach jako członków WSOP tych samych ludzi, którzy figurowali już w stanie batalionu jako żołnierze liniowi.

Jednoczenie podziemia

Na początku 1943 r. inspektor Władysław Kuboszek rozpoczął rozmowy z organizacjami podziemnymi, które działały na terenie inspektoratu, a które do tej pory pozostawały poza sferą wpływów Armii Krajowej. Pertraktacje prowadzono z Tajną Organizacją Wojskową, Tajną Organizacją Niepodległościową i Batalionami Chłopskimi. Najważniejszą siłą stanowiły jednak oddziały Gwardii Ludowej Polskiej Partii Socjalistycznej, której komórki działały w powiatach rybnickim, pszczyńskim i cieszyńskim. Do bezpośrednich rokowań ze stojącym na czele GL PPS Romanem Motyką „Kopaczką” inspektor Kuboszek oddelegował Jana Spyrę, który w toku kolejnych spotkań z Motyką ustalał zasady włączenia jednostek milicji PPS w strukturę AK. Finałem rozmów było przekazanie w grudniu 1943 r. 648 żołnierzy GL PPS

i dwudziestoosobowego oddziału partyzanckiego. Niemniej jednostki „Koła” zachowały odrębną nazwę i dowódców, a podporządkowanie nastąpiło jedynie na płaszczyźnie wojskowej.

Od połowy 1943 r. w sztabie inspektoratu narastał konflikt inspektora Władysława Kuboszka z jego dotychczasowym zastępcą Pawłem Cierpiotem. Z zachowanej w archiwum IPN korespondencji wynika, że od przełomu sierpnia i września 1943 r. napięcie między inspektorem a jego zastępcą wzrosło do poziomu uniemożliwiającego dalszą współpracę. We wrześniu drugim zastępcą Kuboszka został Jan Spyra. W tym samym czasie Cierpiot przestał być szefem wywiadu; zastąpił go Wiktor Trybuś „Witalis”, „Jastrzębski”, „Jelicz”. W listopadzie 1943 r. decyzją inspektora Kuboszka Cierpiot został usunięty z szeregów rybnickiego AK. Spyra, od połowy listopada jedyny zastępca inspektora, oprócz finalizacji rozmów scaleniowych, prowadził reorganizację podinspektoratu Cieszyn.



Fot. z archiwum IPN w Katowicach

Jan Spyra

Aresztowania i wewnętrzne trudności

9 lutego 1944 r. w godzinach wieczornych w Zbytkowie został aresztowany inspektor rybnicki Władysław Kuboszek oraz kapelan inspektoratu ks. Józef Kania. Był to poważny cios dla rybnickiej konspiracji. Należało liczyć się z możliwością załamania się inspektora lub księdza Kani w czasie przesłuchań, a to mogłoby spowodować masowe aresztowania w szeregach inspektoratu, a nawet całkowity paraliż jego prac.

Prawdopodobnie już następnego dnia szef wywiadu Wiktor Trybuś, Jan Spyra i Bogdan Wyrobek udali się do Jastrzębia, do domu Dominika Kani, gdzie w zamaskowanym bunkrze znajdowało się archiwum inspektoratu. Na miejscu Trybuś powiadomił Spyrę o aresztowaniu Kuboszka. Na wniosek szefa wywiadu podjęto decyzję, że Jan Spyra, jako jedyny zastępca inspektora, przejmie obowiązki komendanta inspektoratu. Sporządzono meldunek dla Komendy Okręgu Śląskiego, w którym opisano zajście w Zbytkowie, oraz poinformowano komendanta Okręgu Zygmunta Jankego „Waltera” o przejściu dowodzenia inspektoratem przez Spyrę. Meldunek miała dostarczyć łączniczka Trybusia Otylia Białecka „Zosia” z Moszczenicy. Meldunek dotarł, niemniej łączniczka w drodze powrotnej została aresztowana.

Archiwum inspektoratu zostało przeniesione do Świerklan, na punkt kontaktowy Trybusia. Prace inspektoratu zamarły. Spyra, mimo nadanych mu wcześniej przez Kuboszka

pełnomocnictw, nie czuł się władny kontynuować pracy bez ostatecznego uregulowania kwestii dowództwa inspekcji. Musiał się również liczyć z masowymi aresztowaniami po ewentualnym załamaniu się aresztowanego inspektora czy też kapelana inspektoratu.

Usiłował więc skontaktować się z komendantem Okręgu Śląskiego. Spotkanie nastąpiło na początku marca w Katowicach. Mjr Janke odebrał meldunek o sytuacji inspektoratu, po czym oznajmił Spyrze, że skontaktował się z nim Cierpiot, w związku z czym decyzję o obsadzeniu stanowiska inspektora przesuwają w czasie. Około 12 marca 1944 r. Janke przyjechał do Wodzisławia, gdzie na dworcu kolejowym odebrał go Cierpiot ze swoimi ludźmi. Udali się do Wilchw, gdzie oczekiwali ich już Spyra. Tam Janke oświadczył, że inspektorem rybnickim mianował Pawła Cierpioła, a Spyra ma nadal pozostać zastępcą inspektora. Janke nie przedstawił motywów swojej decyzji, nie zajął także stanowiska w sprawie zarzutów, jakie stawiał Cierpiotowi Kuboszek. Zaapelował jedynie o zgodną współpracę.

Porzucenie konspiracji

Wkrótce Wiktor Trybuś stracił stanowisko szefa wywiadu, które przejął zaufany człowiek Cierpioła – Teofil Wita. Spyra również musiał zdać obowiązki kwatermistrza i płatnika inspektoratu na ręce Wity. Prawdopodobnie wówczas Cierpiot pozbawił Spyre dowództwa WSOP. Od tej pory Spyra zmuszony był ukrywać się, pozostając w sztabie inspekcji do dyspozycji „Makopola”.

Coraz częściej dochodziło do spięć inspektora z jego zastępcą. Spyra, dotąd działający bardzo aktywnie, boleśnie odczuł odstawienie go na boczny tor. Kolejnym punktem zapalnym była zmiana taktyki walki oddziałów akowskich. Spyra, jako dawny dowódca WSOP, opowiadał się za dotychczasową koncepcją zbrojnego pogotowia i oczekiwania na dogodny moment, by rozpocząć powstanie narodowe. Całkowicie nie zgadzał się z założeniami akcji „Burza”, uważając, że w obecnych warunkach angażowanie jednostek zbrojnych w akcje zaczepne doprowadzi jedynie do wykrwawienia niedozbrojonych oddziałów inspektoratu. Pod koniec sierpnia 1944 r. Jan Spyra, czując się zagrożony przez Cierpioła, porzucił pracę w konspiracji (kilka lat później zeznał: „miałem dość tych zagadkowych dla mnie wpadek i nie wierzyłem już nikomu, a chciałem wojnę przeżyć”). Od tej pory ukrywał się w Ornontowicach u rodziny swego ojca, do końca wojny nie kontaktując się z podziemiem.

Idzie nowe

Pod koniec stycznia 1945 r. Jan Spyra powrócił do rodzinnego domu w Dębieńsku. 31 stycznia odwiedził go Paweł Markwiok, który zaproponował Spyrze przystąpienie do inicjatywy odtwarzania samorządowych władz powiatowych. Początkowo Spyra oponował, tłumacząc, że jego akowska przeszłość może być niemile widziana w nowej rzeczywistości, ostatecznie jednak dał się przekonać. Wkrótce stanął na czele Rady Narodowej Dębieńska. Ponieważ Rybnik znajdował się wówczas wciąż w rękach niemieckich, w pierwszej połowie lutego 1945 r. w Czuchowie odbyło się zebranie założycielskie starostwa rybnickiego. Obowiązki starosty przejął Jerzy Biały (działacz PPR, dawny akowiec, wtyczka AK w PPR), natomiast Spyra został głównym pomocnikiem Białego do spraw administracji. Z powodu trudności lokalowych tymczasową siedzibę starostwa przeniesiono najpierw do Czerwionki, a potem do Knurowa. Kiedy z Katowic na stanowisko p.o. starosty przystano dr. Pawła Gawlika, Spyra powrócił do Dębieńska na stanowisko wójta gminy. Wkrótce jednak został wezwany przez Białego do Knurowa i objął funkcję doradcy dr. Gawlika ds. administracji oraz kierownika spraw wojskowych. Pod koniec marca siedziba starostwa została przeniesiona do „wyzwolonego” Rybnika.

Nie chciał do podziemia, trafił do więzienia

W kwietniu 1945 r. ze Spyry skontaktował się kierownik sekcji paszportowej Komendy Powiatowej MO w Rybniku Roch Koziołek, który zaproponował mu spotkanie w gronie zaufanych ludzi. Spotkanie nastąpiło w Boguszowicach. Na miejscu Spyra zastał również Antoniego Staiera „Lwa”, „Feliksa”, Antoniego Pawlicę oraz kilku znanych mu jeszcze z okupacji ludzi. W toku rozmowy Pawlica poinformował zebranych o zamiarze przystąpienia do Narodowych Sił Zbrojnych i przedstawił Spyrze propozycję objęcia dowództwa nad mającą powstać organizacją. Spyra kategorycznie odmówił. Skonsternowani akowcy po krótkiej naradzie zagrozili mu śmiercią, gdyby wspomniał komuś o tym spotkaniu, po czym Spyra opuścił zebranych. W późniejszym okresie był nachodzony m.in. przez Cierpioła, jednak zdecydowanie odrzucał wszelkie propozycje jakiegokolwiek współpracy z podziemiem antykomunistycznym, całkowicie poświęcając się pracy administracyjnej. Wkrótce został zwolniony ze starostwa i wrócił do Dębieńska, początkowo na stanowisko wójta gminy, by później podjąć pracę w Banku Rolnym w Rybniku, gdzie pracował do aresztowania w 1949 r.

Aresztowany za nielegalne posiadanie broni, stanął przed Wojskowym Sądem Rejonowym. Oprócz zarzutu o ukrywanie bez zezwolenia pistoletu oskarżono go również o działalność w Armii Krajowej. W toku śledztwa Spyra przyznał się jedynie do pełnienia funkcji dowódcy WSOP. Dopiero w czasie odbywania kary pięcioletniego pozbawienia wolności, w ramach prowadzonej przez bezpiekę akcji rozpracowania okupacyjnych struktur AK o kryptonimie „Tratwa”, odkryto, kim w strukturach rybnickiego inspektoratu był Spyra.

Jan Spyra odsiedział trzy lata. Po wyjściu z więzienia pracował przez kilka lat w elektrowni przy KWK „Dębieńsko”. Jednocześnie próbował działać w rybnickim ZBoWiD. W tym czasie zachorował na raka krtani (błędnie wówczas zdiagnozowanego jako choroba żołądka). Pod koniec lat pięćdziesiątych z powodów zdrowotnych przeszedł na rentę. Zmarł 18 stycznia 1961 r.

* * *

W istniejących opracowaniach historycznych, traktujących o historii śląskiej AK, występuje Paweł Spyra, który miał być kwatermistrzem inspektoratu. Nie ma wzmianki, by wspomniany Spyra pełnił również inne funkcje. Także w środowisku żyjących jeszcze żołnierzy rybnickiej konspiracji Jan Spyra jest postacią całkowicie nieznaną. Autor niniejszego referatu, poszukując członków rodziny Jana Spyry, dotarł m.in. do jego zięcia. Ten – na pytanie, czy wie, kim był w czasie okupacji jego teść, odparł, że inspektorem rybnickim AK, ale do tej pory była to niejako tajemnica rodziny – „Pan wie, o tym się nie godało...”

ALOJZY LYSKO

LOSY GÓRNOŚLĄZAKÓW PRZYMUSOWO WCIELONYCH DO WEHRMACHTU NA PODSTAWIE LISTÓW, WSPOMNIEŃ I DOKUMENTÓW

Problem Górnoszlązaków służących podczas drugiej wojny światowej w Wehrmachcie był i nadal jest tematem kontrowersyjnym zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. W polskim systemie myślowym Górnoszlązacy w niemieckich mundurach to zdrajcy niegodni pamięci, w niemieckim – to Polacy, którzy przez fakt służby w Wehrmachcie i podpisania folkslisty chcą zapewnić sobie prawo do stałego pobytu i przywilejów socjalnych.

W Polsce wokół tej sprawy nawarstwiło się wiele bolesnych uprzedzeń, uproszczeń, przemilczeń, a nawet różnych prowokacji, jak choćby ta z 16 lutego 1994 r., opublikowana w „Trybunie Śląskiej”:

„[...] Otóż żaden obywatel polski nie został przymusowo wzięty do b. Wehrmachtu, bowiem każde powołanie do wojska poprzedzone było przyjęciem (mniej lub więcej dobrowolnie) tzw. folkslisty jednej z czterech grup. Przyjęcie takiej folkslisty równało się z odstępstwem od Narodu Polskiego” (fragment listu byłego żołnierza Wehrmachtu).

Tragiczne lata wojny bardzo głęboko poraniły wiele polskich rodzin i pamięć o tym jest nadal żywa, stąd też opory w przywracaniu pamięci o setkach tysięcy Górnoszlązaków, którzy służby w Wehrmachcie wcale nie traktowali jako obowiązku, a tym bardziej zaszczytu. Nadszedł jednak czas, aby spokojniej i już w pełni obiektywnie przedstawiać ten fragment przeszłości. Górnoszlązacy w Wehrmachcie – ten problem nie może być dalej tematem tabu czy białą plamą historii Śląska.

Moja droga do poznania prawdy o tragicznych doświadczeniach Górnoszlązaków wcielonych do Wehrmachtu prowadziła przez poznanie ich przeżyć i opinii zawartych w listach, wspomnieniach i dokumentach osobistych. Wydaje się, że to źródło wiedzy o przeszłości było i nadal jest uznawane za drugorzędne. Tymczasem kryje się w nim ogromne bogactwo faktów i niezwykle klarowny i wielce wymowny system wartości wyznawanych w warunkach wojny przez Ślązaków. Te właśnie wartości były dla mnie jak rozpaczliwe wołanie z przeszłości: Nie zapominajcie o nas! Byliśmy takimi samymi ofiarami wojny jak wszyscy zniewoleni wtedy ludzie.

Pobór do Wehrmachtu

Pobór trwał na Górnym Śląsku przez wszystkie lata wojny. Pierwszą rejestrację rozpoczęto w marcu 1940 r., gdy w Katowicach powstało Wehrbezirkskommando (Okręgowa Komisja Wojskowa). Objęła ona 33 roczniki, od 1894 do 1926 r. Nikt dotąd nie ustalił,

ilu Górnolązaków uznano za zdolnych do służby wojskowej. Można tylko szacować, że z obszaru Górnego Śląska w granicach historycznych do Wehrmachtu powołano 250–300 tys. mężczyzn (w rejencji katowickiej żyło 4,3 mln mieszkańców. Odejmując od tej liczby mieszkańców z części krakowskiej i małopolskiej, można przyjąć, że w rachubach wojskowych pod uwagę brany był potencjał ludnościowy około 3 mln mieszkańców).

Komisje wojskowe, poza zdrowiem i ogólną sprawnością fizyczną, zwracały szczególną uwagę na znajomość przez poborowych języka niemieckiego. Było z nią gorzej, niż przewidywano. O ile jako tako znały język najstarsze roczniki poborowych oraz poborowi zamieszkali w niemieckiej części Górnego Śląska, o tyle z resztą było gorzej. Większość Górnolązaków, wierna mowie ojców, władała jedynie polszczyzną. Jaka to była mowa, dobrze ilustruje list z frontu wschodniego pisany przez Franciszka Saternusa z Jedliny [1922]:

„Pisem do Was tyn list i daja znać, że m postof Wom 50 marek. To ta bydziecie Mamo mieli do sklepu. Ale niy żebyście skowali kajś! Jak jich macie sporować [oszczędzać], to jich lepiej spolcie, abo potargejcie, bo i tak z tych szmot wiela niy ma. Se co lepiej kupcie dlo siebie do zjedzynio. Jakbych tak z tyj wojny niy powrócił, to tela bydziecie mieć pamiątki po mnie [...]”.

W 1940 r. do rejestracji wojskowej nie stawili się ci Górnolązacy, którzy nie przyznawali się do narodowości niemieckiej. Z biegiem czasu ich liczba zaczęła niepokojąco wzrastać, więc żeby nie nabrała charakteru masowego, władze wojskowe i gminne zaczęły temu przeciwdziałać, stosując różne formy nacisku.

Po 4 marca 1941 r., kiedy ostatecznie weszły w życie przepisy folkslisty, zdawało się, że problem został jednoznacznie uregulowany, obowiązkiem służby wojskowej objęci zostali bowiem posiadacze tylko trzech pierwszych grup DVL (Deutsche Volksliste). Przytoczony poniżej fragment innego listu wspomnianego już Franciszka Saternusa ze stycznia 1942 r. nie potwierdza tego:

„Zapytuja Was, Tato, jak z tom folkslistą? Macie jom, czy niy? Bo jak żeście dostali »draj«, to Wyście som Polok i jo jest Polok. Jak Wy i jo mamy »draj«, to jo jim wystąpia z tego wojska. Tu sie jedni odwołują, to i jo sie odwołam. Tato, jak niy wycie, kiero macie klasa, musicie iść na gmina i sie dowiedzieć. Jak sie dowycie, to mi zaroz odpiszcie. Uwiejcie sie z tym, żeby niy było za niyskoro. Bo tu już pierzynem dudni [...]”.

Osoby spoza folkslisty, czyli osoby narodowości polskiej, których liczbę historycy szacują na 100–120 tys. – również nie były zwolnione ze służby we Wehrmachcie. Ich losy dobrze przedstawiają wspomnienia Teofila Biolika ze Świerczyńca [1926]:

„W styczniu 1944 roku za pomoc w ukrywaniu konspiratorów zostało aresztowanych około stu mieszkańców Bierunia i Bojszów¹. Z matką i ciotką również i ja znalazłem się



Franciszek Saternus
(ur. 1922 w Jedlinie)

¹ Dla obszaru Górnego Śląska nazwy lokalne: Bojszowy, Makoszowy, Kosztowy, Radoszowy i wszystkie z końcówką -owy w dopełniaczu przybierają formę Bojszów, Makoszów, Kosztów, Radoszów... Zasadę tę dopuszcza m.in. *Słownik Języka Polskiego* pod red. M. Szymczaka.

w pszczyńskim więzieniu (brat w tym czasie był we Francji w Wehrmachcie). Najgorsze były przesłuchania. Okropnie nas tam bito. Lecz wtedy byłem siedemnastolatkiem i to bicie jakoś wytrzymałem. Matka siedziała pół roku. Mnie po trzech miesiącach wypuszczono, bez żadnego pytania wpisano na volkslistę »trzy« i wcielono do Wehrmachtu [...]”.

Pewną liczbę poborowych reklamowały kopalnie, huty i fabryki zbrojeniowe. W miarę jednak pogarszania się sytuacji na froncie liczba reklamowanych systematycznie malała. Zastępowali ich jeńcy i robotnicy przymusowi, którzy w ostatniej fazie wojny stanowili około 75 proc. stanu zatrudnienia.

Nieprzerwany pobór do Wehrmachtu trwał na Górnym Śląsku pięć lat: 1940–1944. Odbywał się z reguły w cyklach miesięcznych. W koszarach szkoleni rekruci nazywali się: „january” – czyli ci, którzy przybyli do koszar w styczniu, „february”, „märze” itd. W pewnych jednak okresach – w zależności od sytuacji na frontach – pobór miał charakter mobilizacji. Tak było w marcu i jesienią 1942 r. Wówczas ogłoszono mobilizację uzupełniającą. W styczniu 1943 r. ogłoszono natomiast mobilizację masową obejmującą ludność w wieku 16–45 lat. Obowiązywał wtedy dwudziestoczerogodzinny termin stawienia się w wyznaczonych garnizonach.

Ostatni pobór zarządzono pod koniec grudnia 1944 r. Do jednostek wojskowych mieli stawić się chłopcy urodzeni w drugiej połowie 1927 r. Wielu z nich zaryzykowało i nie zgłosiło się w jednostkach, ale po wkroczeniu Rosjan ich los był również nie do pozazdroszczenia.

Pożegnania

Wezwanie do Wehrmachtu było jak wyrok, trudno było się od niego odwołać. Nie pomagały protekcje, powoływanie się na sytuację rodzinną, na zasługi czy rany odniesione w pierwszej wojnie światowej ani prośby słane do Berlina, do samego Hitlera.

Na wojnę musieli iść wszyscy uznani przez komisję wojskową za zdolnych do pełnienia służby: ojcowie wielodzietnych rodzin, jedyni żywiele rodziny, jedyni właściciele gospodarstw czy warsztatów rzemieślniczych, nauczyciele, studenci, urzędnicy, górnicy, hutnicy, kolejarze. Zaciąg był powszechny – obojętnie, czy ktoś był polskiego, czy niemieckiego ducha.

Zarówno jednym, jak i drugim kochające matki i żony zaszywały do świętych szkaplerzy Komunię św., wręczały różańce, obrazki z modlitewkami do św. Barbary, św. Tadeusza Judy, do Paniienki Piekarskiej. Narzeczone darowały wyszyte chusteczki, pamiątkowe fotografie, prosiły o listy. Powołani uczestniczyli w pożegnalnych nabożeństwach w kościołach, gdzie modlili się o szczęśliwy powrót, żegnali z najbliższymi w różny sposób. Młodzi, w przeczcuciu końca swego życia, po nabożeństwach gromadzili się w karczmach i topili smutek w piwie lub winie.

Opuszczając swoje mieszkania, całowali progi rodzinnych domów, żegnali się krzyżem świętym, wymawiali stare śląskie: „Zostańcie z Bogiem”. Opuszczali rodzinne zagrody, nie oglądając się do tyłu, jak nakazywał stary przesąd. Poklepywali na pożegnanie swoje gospodarskie konie, psa – wiernego przyjaciela, obejmowali rodzinne drzewa i wychodzili za wrota. Niektórzy po raz ostatni.

„W niedzielę 22 marca 1942 roku z dworca kolejowego w Pszczynie odjeżdżało nas setki. Orkiestra wojskowa grała nam »paradenmarsze«, lecz chyba tej muzyki nikt nie słyszał. Każdy się trzymał blisko swoich i chciał być z nimi do ostatniej minuty. Co się tam wtedy też wylało! Tam przyszły mi takie myśli: – Ilu z nas powróci w rodzinne strony? Dlaczego to nieszczęście przytrafiło się naszemu pokoleniu [...]” (wspomnienia Józefa Sosny z Miedznej [1924–1994]).

Szkolenie rekruckie

Pociągi rozwoziły młodych Górnślązaków po koszarach całej Rzeszy. Nysa–Brzeg–Wrocław–Drezno–Blankenburg–Halberstadt–Kassel–Hanower–Kolonia–Strasburg–Kempten–Ingolstadt. Dla wielu z nich był to pierwszy wyjazd poza rodzinną miejscowość, w szeroki świat. Chłonęli niezwykle widoki, podziwiali wielkie kamienice miast, ośnieżone szczyty Alp, dobrze obrobione pola. W koszarach witały ich orkiestry, dzieci z kwiatami, przedstawiciele władz. I na tym się kończyły pogodne chwile.

„Kochani Rodzice, pierwsze dni były dobre, ale teraz już nas oblekli, do tornistrów dali po trzy cegły, a kto ich wyciepnie – dostaje trzy dni heresztu. Już nom zrobili nocny marsz na 20 kilometrów. Jak zech przyszeł nazod, to mi język wyszeł na wyrch, co bych tak pił [...]” (fragment listu Pawła Zuga z Bojszów [1925]).

„Kochana Mamo, przywieźli nos do Strasburga. Z okna pociągu było widać, że to duże i piękne miasto. W koszarach dostotech się do sali, kaj nos śpi dwudziestu. Jeszcze sie niy znomy, ale zdaje mi sie, że jedyn jest Ślązok, bo przy myciu sie przeblaknął [przejęczył się, zdradził się mową]. Na gibko nos uczą niemieckiego, ale niy to jest nojgorsze. Najgorsze jest to, że goniom nos jak psów. Jedni tego niy poradzom strzymać, toż idom do dochtora po rewiyr. Jo dziynka Bogu jest zdrowy. Niy posyćecie mi żodnych paczków, bo jedzenia momy za tela [...]” (list Józefa Stoleckiego z Chetmu Śląskiego [1924]).

„Kochany Braciszku, pisałeś mi, żeś już objechał dużo świata. Bydziesz miot kiedyś dużo do opowiadania. A jo jest dalej w tym Ingolstacie i oglądom okolice tego Oberbajer. [...] Niczym się niy przejmują. Jeść smakuje, mundur pasuje a gdy sie mnie co pytają – to jim odpowiadom: – Nicht kapri! Nerwują się jak diobli, ale co mają zy mną poczyć. Jo sie niy prosit do tego wojska [...]” (list pisany w maju 1943 r. przez Pawła Lyskę z Bojszów [1922]).

Szkolenie rekruckie trwało kilka miesięcy. Nauka obchodzenia się z bronią, strzelanie, musztra, ćwiczenia wytrzymałościowe w terenie uważane były przez dowództwo za bardzo ważne, jednak najwięcej wysiłku kosztowało doskonalenie języka niemieckiego. Niektórzy dowódcy byli zaniepokojeni słabą znajomością niemieckich komend wojskowych, niedostatecznym zasobem słów potrzebnych żołnierzowi w warunkach frontowych. W celu szybszego opanowania języka wprowadzano różne formy aktywizujące: tworzone drużyny i kompanie złożone z czystych Niemców i do nich dołączano jednego, dwóch Górnślązaków, fundowano im miesięczne pobytu w niemieckich rodzinach, gdzie pomagali w pracach gospodarskich i jednocześnie uczyli się najróżniejszych zwrotów językowych.

W 1944 r. szkolenie rekrutów coraz częściej zakłócały naloty bombowców alianckich. Koszary wojskowe były jednym z ich głównych celów. Ilustruje to dobrze list Augustyna Piekorza z Bojszów [1918]:



Paweł Zug (ur. 1925) zginął w Normandii – szkic wykonany w warunkach frontowych

„Köln – Mülheim, 14 września 1944 r. Kochana Żono, dużo miałbym ci do pisania, ale się trochę boję, bo przeglądają listy. Jestem zdrowy, jeść smakuje, tylko nie ma co jeść. Dają nam tu jeden chleb na czterech. Niektórzy to zjedzą już we wieczór. Rano wstaję, napiję się kawy i idę na ćwiczenia. Dziesiątego zrobili odwiedziny na nasze koszary. Spuścili szprengbomby [bomby burzące] i brandbomby [bomby zapalające]. Wszystko zaczęło się palić, a piwnice, kaj my się kryli, całe chodziły. Tu już wszystko jest poniszczzone, a oni dalej niszczą. Wszystko mamy popakowane. Czekamy na odjazd pod Arnzberg. Tam ma być wielka somelstella [punkt zbiorczy] [...]”.

Szkolenie rekruckie kończyło się złożeniem przysięgi. Dla wielu Górnślązaków ta chwila była źródłem wewnętrznego rozdarcia. Nie wszyscy identyfikowali się z niemiecką „Ojczyzną, Narodem i Wodzem”, na co mieli przysięgać. Dlatego przed przysięgą zdarzały się w koszarach m.in. takie sytuacje, jak ta, przedstawiona w liście W.P. z Bierunia [1921]:

„Wziyni mnie do niemieckiego wojska na jesień 1940 roku z poboru. Niy chciotech iść, ale mus to mus. Byłech synem powstańca śląskiego, tata siedzieli w lagrze, a mama mnie prosili, żebych szel do tego wojska, bo wtynczos może taty wypuszczom. Dostotech się do Padeborn. Jako rekrut dostawotech dobro wyćwika. Starotech sie być postusznym i wszystko robić, jak rozkazywali. Tyn wyższy, pod kierem żech był, fest mi przoł, miol mnie jak za syna, ino tego niy pokazywoł przed innymi. Miotech do niego tako śmiałość, żech przed przysięgą podwożył sie prosić go, aby mnie z tej przysięgi zwolnił. – Jo jest synem powstańca śląskiego – godom mu – jo sie niy czuja Niymcym, to jak jo mom przysięgać Niemcom i Hitlerowi. Prosza o skierowanie do roboty w kopalni, u nos na Górnym Śląsku. Do dziś niy poradza uwierzyć, że tyn oficyr wystaroł się, że mnie i jeszcze paru innych zwolnili z wojska”.

Transporty na front

Po przysiędze wojskowej żołnierzom pozwolono jeszcze na krótki czas pozostać w koszarach, aby mogli pozafatwiać swoje osobiste sprawy. W tym czasie otrzymywali przepustki do miasta, gdzie robili pamiątkowe zdjęcia i wraz z kartkami widokowymi miejscowości, gdzie służyli, wysyłali do rodzin. Za otrzymane w koszarach kieszonkowe kupowali siostrom, narzeczonym drobne upominki, a dla siebie przedmioty osobiste, jak lusterka, grzebienie, szczyryki. Uwolnieni już od wyczerpujących ćwiczeń rekruckich mieli trochę spokojniejszych chwil, aby pisać listy, pograć w karty i zabawić się w kamrackim gronie.

Z niepokojem czekali dnia odjazdu na front. Przydział do jednostek na Zachodzie był w loterii ich życia losiem wygranym, przydział na *Ostfront* – prawie wyrokiem śmierci. Wszyscy bali się frontu wschodniego, przeto wielu już podczas transportu podejmowało próby ucieczki. Oto meldunek dowódcy w sprawie niedozwolonego oddalenia się żołnierza:

„Żołnierz Alojzy Liszka, ur. 13 kwietnia 1910 roku, zamieszkały na Świerczyńcu (Górny Śląsk) w dniu 18 lutego 1943 r. o godz. 20 w czasie transportu przerzutowego na postoju w Halle bez zezwolenia oddalił się razem ze starszym strzelcem Strzodą. Meldunek o niedozwolonym oddaleniu został przekazany na stację we Wrocławiu i Raciborzu [...]”.

Z kolejnego meldunku można się dowiedzieć, że dezerterzy zostali schwytani już we Wrocławiu i kolejnym transportem skierowani na front pod Dniepropietrowsk. Jednak na trasie Lwów–Kijów znów się oddalili, więc został o tym powiadomiony sąd polowy².

² Alojzy Liszka nie powrócił z wojny. Poszukująca go po wojnie żona otrzymała z niemieckiego archiwum wojskowego obszerną dokumentację o przebiegu służby męża w Wehrmachcie, jednak bez podania okoliczności śmierci.

Transporty przerzutowe otoczone były przez władze wojskowe ścisłą tajemnicą. Żołnierzom nie było wolno pisać o nich w listach, a jeśli pisali, to bez podawania daty i miejsca. Każdy list był cenzurowany. Potwierdza to fragment jednego z listów cytowanego już Franciszka Saternusa.

„Drodzy Rodzice, wyboczcie, żech do Vos niy pisoł, bo pismów niy odbiyrali. A tyn list, co czytacie, toch napisoł w czasie rajzy i wciepoł do skrzynki w Polsce, we wsi Brzeźnica. Toż sie domyślocie, kaj nos wiezom [...]”.

Inny list opisujący wyjazd na front pochodzi od dziewiętnastoletniego Pawła Zuga z Bojszów. Jest bez daty i miejsca, jednak z porównania dat w pozostałych listach wynika, że był pisany w kwietniu 1944 r.

„Kochani Rodzice, jużem Wam dawno pisał, że będziemy wyjeżdżać do frontu, ale żem nie wiedział kiedy. Teraz wszystko wiem. Zostałem wycofanym z kompanii jako nadliczbowy, a moja kompania wyjechała ku Paryżowi, boście już chyba słyszeli, że tam Anglik wylandował. Zanim Anglik jest na brzegu, to dostaje po galotach, ale jak wlezie dalij, to sie niy do. Piszcie mi jak poradzicie. Jak Wom lepiej pisać po niemiecku, to piszcie po niemiecku, bo jo już poradza czytać i pisać po niemiecku. Niy robia tego, bo mom już Niemców pod tela [...]”.

Dramatyczny list napisał też w związku z wyjazdem na front cytowany już Józef Stolecki. „Kochana Mamo, wyjeżdżamy na ostfront. Niy starojcie sie nad mym losem, bo wszystko w rękach Boga. Byda miół żyć – to byda żył. Bydzie mi pisane co innego – trudno. Z wolą Bożą musimy sie pogodzić. O jedno Vos ino prosza: módlcie sie za mnie [...]”.

Dwudziestoletni Józef był na pierwszej linii zaledwie kilka dni. Nieprzywykły do ostrych rygorów życia w okopach, zginął od kuli rosyjskiego snajpera 13 czerwca 1943 r. gdzieś pod Orłem.



Alojzy Liszka (ur. 1910)
ze Świerczyńca gm. Bojszowy,
próbował zdezerterować z Wehrmachtu

Realia frontowe

Pisanie listów w koszarach nie stanowiło dla żołnierzy większego problemu. Jeśli chcieli napisać do najbliższych, zawsze potrafili znaleźć na to odpowiednie miejsce i czas. Trzeba podkreślić, że pisali dużo. Bywało, że codziennie, a zdarzało się, że wysyłali listy i dwa razy na dzień. Pisali w różnych językach, jak nauczyły ich szkoły. Najczęściej jednak po śląsku. To był język ich duszy. Wyrażali nim nie tylko proste myśli i całą skalę przeżyć, ale – co było najważniejsze – przekazywali najistotniejsze informacje: Żyję! Jestem zdrowy! Mam co jeść, gdzie spać. Na razie nic mi nie zagraża itp.

Pisanie listów w warunkach frontowych było już mocno utrudnione. Większość wcielonych do Wehrmachtu Górnślązaków weszła do działań frontowych już po klęsce pod Stalingradem, a więc wtedy, gdy hitlerowskie Niemcy utraciły inicjatywę strategiczną. Dla Wehrmachtu była to już raczej wojna obronna, planowy odwrót. Pisanie listów w takich warunkach było czasem niemożliwe, pomimo to żołnierze pisali, i to stosunkowo dużo, bo wiedzieli, że nie wszystkie z tych listów dotrą do celu, a oni mają obowiązek dawać znać

o sobie, że żyją, gdzie się mniej więcej znajdują, co przeżywają, jakie są szanse uratowania życia. Te właśnie listy są wstrząsającym zapisem ich osobistych losów i pełnymi okrutnej prawdy obrazami wojny. Oto fragment listu Franciszka Saternusa z Jedliny [1925]:

„Rusland, 26 marca 1943 r. Czy Wy ta niy dostajecie tych moich pismów? Pisz do Was dziyrń w dziyrń, a Wy nic, żodnej wieści. Od poru dni jest żech na odpoczyńciu. Dopołednia robiymy dinst [służbę], popołedniu mamy fraj. Jodło dobre, kurzynio za tela, a sznapsu jeszcze więcej. Tyn sznaps mi sie już obrzydł. Jak mnie wto poroczy, to ta jeszcze wypija, ale tak som od siebie – to sie go niy chyca. Od stówki do dziś dnia zdrowie mi dopisuje. Tego samego i Wom wszystkim w doma życza. Żebyście byli zdrowi i weseli na te Wielkanocne święta. Bo chociaż jest ta gupio wojna, to macie to szczyści być przy swoim domu. A jo? Dzisiaj żech jest na odpoczyńciu, jutro zaś do pola strzylać i zabijać. Z Bogiem – Wasz syn Franek”.

„Rusland, 3 października 1943 r. Kochana Żono, jest dzisiaj piyrwso niedziela miesiąca poświęcono Matce Bożej Różańcowej. A jo leża w ruskim polu, w dziurze i piszy tyn list do Ciebie z wielkim strachym, bo mi kule gwizdajom nad głowom. Niy gorsz sie, że Ci mało piszy, bo ja muszy maszyrować kożdy dziyrń po 20 km, to na wieczór mi sie niczego niy chce. Tela mnie ino cieszy, że codziyrń jest żech bliżej chałpy. Jaki to moji życi jest, tego Ci, moja Żono opisać niy idzie. Jakbyś mnie teraz widziała, to byś mnie niy poznała. Od bagna jest żech parszywy jak ropucha. Myć sie i golić niy ma kaj i czasu, bo nos goniom do zadku bez litości [...]” (fragment listu spod Żytomierza Alojzego Lyski [1912]).

„Pod koniec listopada 1942 r. pod Kaługą weszli na piyrwso linio. Zrobiła sie tam wtynczos tako zima, że żodyn niy wiedzioł, jak sie przed niom bronić. Mróz dochodził do 50 gradów! Wojoki wyły ze zimna, jak wilki. Jak sie roz po nocy rachowali, to połowa wojoków było na śmierć zamarniętych. Brat mój to tam wszystko dobrze badał i roz z tyj linie uciyktł. Pomogła mu w tym jedna rusko dziotcha, kiero go przewiodła na zadek. Cóż z tego, kiejo go chneda chycili i dali do strąfkomanie, kaj było jeszcze gorzyj. Stamtąd brat tyż uciyktł. Zaś go chycili i już niy pardonowali. Rozstrzylali go [...]” (relacja Anny Mamok dotycząca losów brata Alfonsa Baliona z Chełmu Śląskiego [1916]).

Inny młody Górnosłązak, dwudziestopięcioletni Teodor Bula z Bojszów, w liście do rodziców, jak się później okazało ostatnim, tak opisywał swoje przeżycia po bitwie pod Biełgorodem w lipcu 1943 r.:

„Mamo, niech oczy tych, co po nas przyjdą, nie oglądają nigdy tego, co jo tu oglądać musza. Jak tu jedni ciyrpiom, zanim oddajom Bogu ducha. Jęczą, wołają pomocy, a niy idzie nijak pomóc, żeby samymu niy stracić życie. Mamo, że jo jeszcze żyja – to cud od Boga. Módlcie się za mnie, bo mnie może uratować jeszcze ino cud! Królowo Pokoju – weź mnie pod swój płaszcz [...]”.

1 listopada 1943 r. Maria Czarnynoga z Bojszów dostała ostatni list od syna Wojciecha [1924], wysłany z włoskiego miasteczka Capriati:

„Z pociągu, który odjechał z Hanoweru, zostało nos jeszcze sześciu. Reszta – wszyscy zabici. Amerykony biją w dzień i noc. Ziemia się trzęsie, wszystko się poli, nawet kamienie. Kryjemy się w dziurach wykutych w skale, a krew się na nos leje, jak woda z deszczu. Wszędzie darcie, wołanie, płacz. Mamo, żegnom się z Wami, bo jo już z tej wojny niy powróca. Już Was nigdy niy zobocza, ani moich Bojszów. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Pod koniec roku matka otrzymała pismo dowódcy z tego rejonu walk, datowane 8 listopada, że jej syn Albert zaginął bez wieści. Słowo „zaginął” oznaczało nadzieję, lecz Maria Czarnynoga nigdy nie doczekała się powrotu syna. Padł pod Monte Cassino po niemieckiej stronie i tam jest pochowany.

Kolejny list, uznawany przez rodzinę za ostatni:

„3 sierpnia 1944 r. Kochani Rodzice, piszecie mi, że zboże na Olszynkach dobrze obrodziło. Zboża obrodziły, bo się wojna kończy. Tu już jest tak daleko. Dowiadują się, żeście dali na mszo św. za mnie. Żeby to co pomogło? 31 lipca Tommi zrobił nom taki angryf [natarcie], że bez trzy dni i trzy noce byli my na śtelungach [pozycjach]. W pierwszy dziyń stracił zech dwóch kolegów ze Śląska. Ani niy wiem, skąd te boroki były. Jo był w keslu [w kotle, w okrężeniu], ale zech w nocy zwiół. Chciołbych to jeszcze jakoś przetrzymać i szczęśliwie do dom powrócić. Na trzeci dziyń my sie 8 km cofli, toż bez pora dni bydymy mieli trocha spokoju. Ale jak Tommi pociśnie, to zaś tu bydzie jak w piekle [...]”. Dziewiętnastoletni Paweł Zug z Bojszów nie przeżył natarcia Amerykanów. Padł w Normandii.

A to również ostatni list z Normandii od Tomasza Rozmusa z Woli [1912]:

„Frankenreich, den 16.7.1944 r. Moja Najdroższa Matżonko, witam się z Tobą jak Anioł z Aniołem przed Bożym kościołem: NBPJC. Już dwa tygodnie, jak otrzymałem list od Ciebie. Co tam z Wami? Jak daleko jesteś z tą łąką? Pisałaś, że szwagier pół dnia siekł łąkę maszyną. Czy wszystko zesiekł? Czyś to siano już zwiozła? Dziś 16 lipca, już się trzeba rychtować do żniw, a ty jesteś sama, bez męskiej siły. Jak ty sobie poradzisz? Żyjemy tu w bunkrze, nad samym morzem. Przez okno mógłbym ryby chwytać. Jeszcze tu spokojnie, ale chneda [wkrótce] się zacznie. Nadchodzą na nas ciężkie chwile. Wyglądam niecierpliwie Twej fotografii. Poślij mi ją. Będzie mi z nią weselej. Kochana Anielko, czas ucieka, ale sumienie człowieka boli na wspomnienie o chałpie. Jednak dziękuję Bogu, że mnie dotąd raczył zachować przy życiu. Wyciągam ręce do Niego z prośbą o dalszą pomoc. Z Bogiem. Do widzenia – do miłego zobaczenia. Na usta Twe składam najserdeczniejszy pocałunek”.



Grób Wojciecha Czarnynogi na niemieckim cmentarzu pod Monte Cassino

Jako dezercerzy i jeńcy

W pierwszych latach wojny Górnoszlązacy przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, jeśli sporadycznie podejmowali ucieczki z wojska, to czynili to z pobudek czysto narodowościowych, skazując jednak się na życie w konspiracji, co w warunkach państwa totalitarnego związane było ze stałym zagrożeniem życia.

W środku wojny, gdy wielu żołnierzy poznało już całą jej grozę, drugim ważnym motywem ucieczek było ocalenie życia. Były to decyzje bardzo ryzykowne, gdyż potęga III Rzeszy nadal była niezachwiana. Dopiero wielkie niepowodzenia na froncie wschodnim i afrykańskim zaszczepiły więcej nadziei i zachęty do dezercji.

Jednak Górnoszlązacy – aczkolwiek stale noszący myśli o ucieczce – nie podejmowali decyzji zbyt pochopnie. Liczyli się z konsekwencjami takiego kroku. Twarda zasada stosowana przez władze hitlerowskie – odpowiedzialność zbiorowa – nie była pustostawem.

Dobłą tego ilustracją były losy Pawła Czarnynogi z Bojszów [1915] opisane we wspomnieniach Marty Czarnynogi [1914–1992]:

„Wiosną 1943 r. jego jednostkę skierowano na front wschodni. Przejeżdżając przez Katowice, uciekł z bronią w rękę z transportu. W domu wszystkim rozpowiadał, że przyjechał na kilkudniowy urlop. Karabin zamurował w ojcowej stodole, a sam ukrył się na strychu po sąsiedzku. Za tę ucieczkę cała rodzina była prześladowana. Ciągłe rewizje i bicie. Brat Sylwester dostał się do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie zginął. I ja przeszłam przez kilka obozów i cudem przeżyłam [...]”.

„Jak zrobiła się drugo wojna światowo, brata Ludwika wzięni do niemieckiego wojska. Wzion kuferek, obłąpił mamy za nogi, mnie przytulił i wyszedł z chałpy. W Pszczynie wsiod do cuga, powinkował nom z oka i pojechał. Ale w Kobiórze wyskoczył z pociągu i w nocy przyszedł nazod. Pora lot my go ukrywali po stodółach. Nocami żech do niego lotała z jedziny i ciepłymi łachami. I roz se na mnie zawachował szandar [żandarm] Peterko z Miedźnej i mnie copnął. W pszczyńskim herszcie znodli sie Ludwik, mama i jo. A bracio August i Franek byli wtedy we Wehrmachcie. Bili nos w tym herszcie. Mama z tego bicio umarli, a jo, żeby sie niy dostać do lagru, godałach jedno i to samo: że mi mama kazowali nosić to jedziny. I tak żech życi uratowała. A Ludwik, borok [biedak] – w tych stodółach przemorz i dostół sie do więziennego lazaretu we Wiedniu. I tam życi skończył” (wspomnienia Moniki Lukasek z Jankowic k. Pszczyny [1924]).

„Na dworcu w Nowym Bieruniu bratu Wojciechowi przyszył myśli, żeby zdezerterować. Był bliski zrobienia tego kroku, ale na peron akurat wjechał pociąg do Auschwitz. Zza małych okienek usłyszoł wołania: wody, wody. Przestraszył sie tych ludzi. Pomyśloł, że jeśli ucieknie, to matkę i całą rodzinę narazi na to samo” (wspomnienia Antoniego Czarnynogi z Bojszów [1911–2000]).

„Było to 20 września 1944 r., kaś pod San Marino. Żandarmeria przywiozła dwóch naszych wojoków bez broni. Zaroz z nimi pod mur! Wojskowy prokurator odczytał wyrok i do rozstrzylania. A my wojsko stojmy na placu i momy zrobić ta egzekucja. Jednym razem tyn wyższy podchodzi ku nom i rachuje: ajnc, cwaj, draj – wystąp! I draj trefiło na mnie. Jo sie wymowiom, że wierza w Boga, że mi sumiyni niy do, tak strzylać do człowieka. Tyn wyższy ryknął na mie: – Ty też pod mur! Stojmy teraz we trzech, a przed nami tyn wyliczony pluton egzekucyjny. Prokurator podchodzi do każdego z nos i pyto o ostatni życzenie. Tyn jedyn był z Rydułtów i prosi, czy matce może napisać pora słów, tyn drugi, z Pszowa wali prosto w oczy tynu oficerowi: – Co mnie dzisioj spotko – ciebie spotko jutro! Ta wojna tak i tak przegrocie! Prokurator podchodzi do mnie. A jo mom oczy zawarte i niy chca jich

otwierać. Trwo to jak wieczność. Wtós mie szturcho. Otwiyrom oczy, a przedy mną kapitan Hartinger, u kierego kiedyś byłech pucerem. I tyn człowiek mnie wybawił, a tych biydoków spod Rybnika rozstrzylali. Hartinger mnie wybawił, a jo za tydzień był zech już u Anglika. Też zech tak uciekł, jak ci chłopczy z Rybnika, ino mnie sie udało [...]” (wspomnienie Franciszka Synowca z Chetmu Śląskiego [1920–2002]).

Przechodzenie na stronę przeciwnika zawsze było krokiem niebezpiecznym, podczas którego można było stracić życie. O ile na froncie zachodnim alianci ułatwiali podejmowanie takich kroków, o tyle na froncie wschodnim bywało różnie, w zależności od obowiązującej aktualnie dyrektywy Stalina co do postępowania z jeńcami. Raz obowiązywała surowa zasada: żadnych jeńców z wyjątkiem grup większych od 100, 1000, innym razem „każdego schwytanego przesłuchać i kierować do obozów”.

„W sierpniu 1943 r. przyszło do dom pismo, że Robert jest »vermisten«, czyli zaginiony, a za jakiś miesiąc briwtreger przyniósł z poczty woreczek, w którym były po Robercie papiery, tyżka żołnierska, szcztotka do trzewików, szkaplerz, kiery mu dali matka. Płaczu było w doma, jak tyn woreczek przyszeł. Matka Robertowi fest przoli, toż aże wtósy rwali z głowy. Jo tyż popłakiwała, choć szczerze powiyim – zech coś czuła, że łon jeszcze jest wśród żywych. Bo z Robertem było tak: szeł na nich ruski atak, ćma ich było. W bunkrze, kaj sie bronili, wszyscy byli wyzbijani. Ino Robert jakimś cudym żył. Siedziół taki ogłupiały i rzykoł do Pannienki, żeby Rusy z nim niy skończyły. Bo ta nie było u nich pardonu. Mioł jednak żyć. Dali mu spokój. A przy Rusach było dużo Poloków. I tak sie chneda dostał do polskiego wojska pod generała Berlinga [...]” (wspomnienia o mężu Heleny Uszok z Bojszów [1919]).

„W marcu 1945 r. zajęliśmy pozycje nad rzeką Neckar niedaleko Stuttgartu. Po odparciu kilku alianckich ataków na nasze pozycje nadleciały myśliwce szturmowe, które obrzuciły nas stukilogramowymi bombami. Ostatni obrazek przed utratą przytomności zapamiętałem, gdy podmuchem zostałem wyrzucony w powietrze, uderzyłem głową o młodą sosnę. To był cud, że przeżyłem. Świadomość powróciła mi dopiero na drugi dzień. Wszyscy moi koledzy byli zabici. Nie miałem przy sobie broni, więc zaczęłem się gorączkowo za nią oglądać, bo esesmani pod koniec wojny strzelali do każdego swojego żołnierza, który nie miał broni. Amerykanie wzięli mnie do niewoli. Kilka tysięcy takich jeńców jak ja prawie cały kwiecień trzymano na gołej ziemi za drutami. Z powodu głodu i zimnych nocy przeżywałem trudne chwile. Któregoś dnia za druty wjechał gazik z oficerami. Pytali przez megafony: Kto mówi po polsku, wystąpić! Nikt nie wystąpił i nikt się nie odezwał, choć nas tam było wielu. Wszyscy baliśmy się, że w nocy niemiecka większość nas zatłucze. Tak się wtedy w obozach działo. Na drugi dzień przyjechały ciężarówki. Jeszcze raz przez megafony padło: Kto jest Polakiem – wsiadać do samochodu! Wystąpiło nas około pół tysiąca...” (wspomnienia Teofila Biolika ze Świerczyńca [1926]).

Wojenne szacunki

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie w latach 1939–1945 znalazło się 40–50 tys. Górnoszlązaków. Nie zabrakło ich też na froncie wschodnim, lecz tam niedoceniano ich siły bojowej, gdyż na 60 tys. Ślązaków, Pomorzan i Mazurów wziętych do niewoli w mundurach Wehrmachtu tylko 3 tys. zasiliło szeregi dywizji im. R. Traugutta, resztę skierowano na roboty.

Przyjmując liczbę 50 tys. Górnoszlązaków, którzy z bronią w ręku walczyli po stronie aliantów, należy przypomnieć, że na wojnę poszło ich 250–300 tys. Jakie były losy tej większej reszty? Dokładnej odpowiedzi na to pytanie historycy chyba już nie uzyskają. Przy próbach

takiej odpowiedzi można byłoby jedynie oprzeć się na wyliczeniach szacunkowych. Póki jeszcze czas, warto te szacunki sporządzić. Wydaje się, że dobrym punktem wyjściowym mogłyby być w tym względzie dane z Bojszów (wieś położona w powiecie pszczyńskim, w 1940 r. liczyła około 3 tys. mieszkańców). We wszystkich latach wojny do niemieckiego wojska powołano tu około 300 mężczyzn, co stanowiło 10 proc. ogólnej liczby mieszkańców. Tylko jeden z nich zgłosił się do Wehrmachtu ochotniczo. Reszta została wcielona drogą administracyjną, obwarowaną surowymi sankcjami wojennymi. Jeden z wezwanych nie stawiał się w wyznaczonych koszarach. Przez kilka lat ukrywał się w lasach i opuszczonych stodołach. W 1944 r. został schwytany i jako więzień KL Auschwitz rozstrzelany w Odrzychowicach na Zaolziu.

Trzech bojszowiaków (1 proc.) po przysiędze, już jako żołnierze, uciekło z wojska: jeden podczas transportu, jeden nie wrócił z urlopu, jeden uciekł z linii frontu. Historię tego ostatniego zarejestrowano w 1995 r.:

„Mój brat August był krawcem. Jak na wojnie widział, że w każdej chwili może stracić życie, nikomu nic nie godając – uciekł z linii. Błąkał się pora dni, aż jednego razu trafił na banhof w takiej małej wiosce pod Kijowem. Wsiadł tam do cuga i znalazł się w Krakowie. Jadąc tramwajem, przyglądał się ludziom. Sprytny był. Podeszedł do takiego jednego panoczka i mu pedził na ucho, że potrzebuje cywilne łachy. Miał szczęści. Tyn panoczek pokozował, że może iść za nim, jak wysiednom z tramwaju. No i szli, szli i zaszli do krawieckiej werksteli. Okazało się, że tyn panoczek był tam sznajdermajstrem. To brat mu pedził, że tyn też jest krawcem. Oblokli go tam i dali pojeść i pokozali droga ku Śląskowi. Tak brat po cywilnym znalazł się w domu. Ale się boł wylżyć do izby, toż dostał się we wieczor do chływa. We wieczór tata przyszedł odbywać gowiedź [bydło] i go tam ujrzeli. Tata byli fest bojączek i pedzieli Augustowi: – Jo cie tu nie chca widzieć! Bier się nazod i to gibko, bo jak sie to wydo, to nos wszystkich wywiezom do lagru. I cóż miał robić brat? Udoł się nazod do Krakowa, do tego majstra. Nie bardzo go tam chcieli przyjąć, bo sie też boli. Ale w końcu ugodali się, że brat będzie szył w osobnej ancli i sie nikaj nikomu nie będzie pokazywał, a za szycie bydom mu dowali kust i spani. I tak końca wojny doczekał” (wspomnienia Róży Węgrzynek, po mężu Kotas, z Bojszów [1933]).

Sześćdziesięciu bojszowiaków (stanowiło to około 20 proc.) zostało zabitych lub zaginęło. Ich groby rozsiane są od Stalingradu i Kaukazu aż po Normandię.

„Prezes Rady Ministrów Ob. Bolesław Bierut w Warszawie. Czcigodny Obywatelu, zwracam się do Ciebie z gorącą ojcowską prośbą. Gdy mnie już wszystkie środki zawiodły, zwracam się jeszcze do Ciebie, Pierwszy Obywatelu i Włodarzu, gdyż wiem, że Ty będąc Ojcem Milionów potrafisz najlepiej zrozumieć i odczuć boleść i żyz ojca, któremu syn zginął na wojnie.

Zwracam się do Ciebie, Głowo Państwa, z gorącą prośbą, abyś dopomógł odszukać mojego syna, który według wszelkich danych żyje gdzieś w Związku Radzieckim.

Mój syn dał znać o sobie przez Rundfunksender Wien Osterreich, jednak bez podania adresu. Dotąd prowadzone poszukiwania przez Czerwony Krzyż nie przyniosły skutku. Toteż nadzieja w Tobie, Najdostojniejszy Obywatelu. Błagam, zlituj się nad starym ojcem i zwróć mu syna” (prośba Karola Szmy z Bojszów po wojnie poszukującego swego syna, Rufina, który zaginął bez wieści na froncie wschodnim).

Dwunastu bojszowiaków (4 proc.) nie powróciło do kraju, osiedlając się w Niemczech, Anglii, Holandii, Brazylii i USA. Tam założyli rodziny, z trudem się tam zadomowili i zdobywali pozycję społeczną. Do końca życia tęsknili. Dobrze ilustruje to list Józefa Biolika [1920–2003], byłego żołnierza Brygady Panczernej gen. Stanisława Maczka:

„Szkocja, Dumbarton 13.7.1993 r. Otrzymałem od Was kartę z życzeniami na Wielkanoc, a w zesłtym tygodniu artystyczne rysunki z mojej rodzinnej wsi. Wzbudziły one we mnie tyle miłych wspomnień z młodości. Szkoła, gdzie składałem pierwsze litery, kościół, gdzie mnie ochrzczono, te karczmy, gdzie tańczyłem. Myślałem wtedy, że cały świat należy do mnie i wszystkie dziewczęta [...] Moja rodzinna wioska bardzo się rozbudowała, nie do uwierzenia i nie do poznania. Jedynie kościół i cmentarz są na tym samym miejscu. Także słońko wschodzi i zachodzi, jak kiedyś było. Ale to, co ja noszę z młodości – tego już w mojej wiosce nie ma. Pytam siebie, gdzie są te piękne umajone kwiatami łąki nad Gostynią, a na nich żaby i ich granie, bociany. Gdzie są pola obsiane zbożem, obsadzone ziemniakami, gdzie ogrody z drzewami owocowymi, nasze lasy, zapach świerków, sosen, w lesie pełno jagód, gdzie ptaków śpiewanie, gdzie się podziały źródła i wody z jedlińskich stawów? Jak przyjemne wtedy było życie na świecie!

Dziś tamtego piękna już nie ma, ale jesteście jeszcze Wy – moi krewi i przyjaciele. Wspominam Was i dziękuję, żeście mnie tak gościnnie przyjęli. Nie zapomnę tego do końca życia”.

Czterech młodych bojszowiaków podczas styczniowej ofensywy Armii Czerwonej na Górną Śląsk wykorzystało okazję do uciezki. Oddalili się od swych oddziałów i dotarli do swoich domów, zamierzając w ukryciu przeczezać front. Niestety, wszyscy zostali zadenucjowani przez sąsiadów i wkrótce wywiezieni do sowieckich łagrów. Jeden nie powrócił.

Czterdziestu dwóch bojszowiaków (14 proc.) powróciło w różnych latach wojny i po wojnie jako inwalidzi: trzech bez ręki, dwunastu bez nogi (nóg), trzech psychicznie okaleczonych, trzech głuchych, dziewięciu ograniczonych ruchowo i z ubytkami ciała (bez palców u rąk i nóg, bez stopy, z usztywnionymi kończynami, z ciekącymi z odmrożenia ranami, oszpeceni, zatruci itp.).

Siedmiu z doznanych ran lub schorzeń przedwcześnie zmarło (do pięciu lat od powrotu). Dwóch powróciło z żonami (Włoszkami).

Po zabitych i zaginionych oraz przedwcześnie zmarłych pozostało 21 wdów (10 wyszło za mąż po raz drugi) i 35 sierot; 3 wdowy miały po czworo dzieci, 2 – po troje, 5 – po dwoje.

Względnie zdrowych i całych powróciło około 180. Niektórzy w sam środek tragedii rodzinnych: ukochana dziewczyna z dzieckiem po gwałcie sowieckiego żołdata, śmierć ojca, matki, którzy nie doczekali szczęśliwego powrotu syna z wojny, wypalone lub obrabowane gospodarstwa, warsztaty, zarośnięte chwastami lub zaminowane pola, obce rodziny w domu.

Powrócili i zabrali się do pracy w kopalniach i fabrykach, na najgorszych stanowiskach, bo nosili straszne piętno „hitlerowców”, „zdrajców”, „Szwabów”. W kopalniach zostawali najwyżej hajerami (górnikami przodowymi), bo byli obeznani z materiałami wybuchowymi i zagrożeniami. W fabrykach zatrudniano ich przy produkcji dynamitu dla górnictwa, w rolnictwie przy pługu ciągniętym przez ostatnią we wsi szkapę, bo najlepsze konie poszły na wojnę. Fedrowali, produkowali, oddawali kontyngenty, ginęli w wypadkach, umierali przedwcześnie na szalejącą wtenczas gruźlicę, górniczą pylicę, ginęli od niewypałów, bez prawa do skargi, bez prawa do pomocy.

Również los sierot po wojnie był nie do pozazdroszczenia.

„Mój ojciec – to dla mnie ideał. Poszedłbym za nim na kraniec świata, byleby go tylko zobaczyć, dotknąć, przemówić do niego. Chodzę po świecie od dziesiątków lat i wciąż czekam na jego powrót, choć dobrze wiem, że to się nie stanie. Mój ból pojąć mogą tylko rówieśnicy, którym wojna zabrała ojców. Bo tylko sieroty znają tę straszną gorycz samotności i tęsknotę za rodzicem. Lgnęliśmy do każdego mężczyzny, który był dobry dla nas jak

ojciec, uśmiechał się, głaskał po głowie. Zewnętrznie niczym nie różniliśmy się od tych, którzy mieli ojców, ale wewnętrznie – nikt naprawdę nie wiedział, co działo się w nas. Byliśmy jak psy – przybłądy.

Po wojnie takich okaleczonych jak ja dzieci było u nas tysiące. Przerabiano nam imiona, nazwiska, tępiono naszą mowę. Rodziców, dziadków wysyłano na przyspieszone kursy języka polskiego. To był czas pogardy, której nie da się zapomnieć” (wspomnienia Ludwika Kapiasa z Bojszów [1940]).

Końca wojny nie było

Po „wyzwoleniu” na Górnym Śląsku wojna nie miała końca. Trwało polowanie na ukrywających się zbiegów z Wehrmachtu, za druty obozów pracy przymusowej w Świętochłowicach, Jaworznie, Oświęcimiu, Nieborowicach zamykano tysiące osób rzekomo współpracujących z hitlerowcami, urządzano podstępne łapanki na górników i wywożono ich do sowieckich szacht, na niespotykaną skalę trwał rabunek mienia potączony z wypędzeniami, bezprawnie załatwiano osobiste i sąsiedzkie porachunki. Górnolązcy żyli w strachu i poniżeniu.

W okaleczonych rodzinach górnoląskich, które w tej apokalipsie jakimś cudem jeszcze trwały, matki, żony, dzieci czekały na powrót synów, mężów i ojców. Cicha radość panowała tam, gdzie dotarła już wiadomość, że syn czy ojciec przeżył wojnę i teraz czeka tylko na odpowiednią chwilę, aby powrócić. Tam, gdzie takiej wiadomości nie było – panowało przygnębienie i oczekiwanie na cud. A cuda czasem się zdarzały.

„W 1940 roku wzięni mie do niemieckiego wojska. Jo szel na Paryż. W jednym roku szel żech na Paryż, a w drugim na Moskwa. Na ta Moskwa fajnie sie maszyrowało, bo było lato. Ale jak przyszła zima, nijjedyn z nos przeklon dziyń, że przyszel na świat. Jo tam był ciężko ranny i dostotech sie do niewole. Do dom przyszło żech jest zaginiony. Toż w kobiórskim kościele zrobili mi już pogrzeb. A jo – dzięki Bogu – wylizot sie z ran i zostotech niywolnikiyim, swoji żech odrobił i doczekał szczęśliwie końca. W 1947 r. wypuścili nos. Do Kobióra przyjechałoch pociągim w nocy. Zaklupoł do dźwyrzi: – Kto tam – pytają? – Atkrywaj! – odpowiedziotech z ruska, boch już sześć lot po rusku gawarił. Wystraszyli sie i zaroz mie puścili. Byłech obtargany, zarośniety i mie niy poznali. – Jo jest Ludwik, niy poznajecie? I dopiero wtynczos matka i siostra cieply mi sie do nóg i zaczęły płakać” (wspomnienia Ludwika Machalicy z Kobióra [1914–1998]).

Pierwsze powroty z Zachodu rozpoczęły się jesienią 1946 r. Zachowały się liczne wspomnienia z tego okresu.

„Koniec wojny i wielko radość. Z Polski na Włoch dochodziły różne wieści. Niy umiołech się zdecydować. Zostało na tym, że my odplynęli do Newcastle. Przebywołech w Anglii od lipca do stycznia 1947 roku. Ta angielsko pogoda mi nic niy pasowała. Dużych chorowoł. Dochtor, kiery mie lyczyl, roz mi pado: – Trzeba zmienić klimat. Zgłot się do Kanady. I może bych sie wybroł za ocean, jakby niy list ze Śląska, od Maryjki: – Franku czekom na ciebie. Wraczej! I jo na te słowa dostotech skrzydeł [...]” (wspomnienia Franciszka Synowca z Chełmu Śląskiego [1920–2002]).

Powracający z Zachodu Górnolązcy to byli przeważnie mężczyźni w wieku 20–25 lat. Wielu z nich zaraz po powrocie podejmowało pracę, a mając pracę, myślało o założeniu własnej rodziny. Wymowne są w tym ostatnim względzie statystyki w archiwach parafialnych – np. w Bojszowach „w normalnych” latach udzielano 25 ślubów w roku; w 1947 r. udzielono ich 43, w 1948 – 39, w 1949 – 36. Ostatnie trzy lata dekady był to we wsi czas wesel i organizowania nowego życia. Lecz nie dla wszystkich.

Bardzo dramatyczne chwile przeżywały rodziny, które nie miały żadnych konkretnych informacji o losach swoich bliskich zaginionych podczas zawieruchy wojennej. Dotyczyło to przede wszystkim zaginionych na froncie wschodnim. W tych rodzinach trwały gorączkowe poszukiwania miejsca ich pobytu i pełne desperacji próby ratowania ich życia.

Na przykładzie losów Wiktorii P. z Bojszów [1916–1994] – wdowy z dzieckiem i z chorą matką – warto prześledzić losy tysięcy wdów na Górnym Śląsku.

9 grudnia 1947 r. w piśmie do Ambasady Polskiej w Moskwie prosiła o udzielenie informacji na temat losów swojego męża. Na tę prośbę ambasada nie odpowiedziała, więc czekając powrotu męża Wiktoria 22 października 1948 r. ponowiła prośbę:

„Do Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej – Warszawa – Belweder. Niżej podpisana zwraca się z gorącą prośbą o wszczęcie interwencji u miarodajnych władz ZSRR w sprawie zwolnienia mojego męża [...] z obozu jeńców niemieckich we Lwowie – Lager nr 57/381, barak nr 5. Prośbę swoją motywuję tym, że jestem matką obciążoną rodziną. Żeby żyć, muszę prowadzić gospodarstwo rolne, a nie mam siły, żeby wykonywać wiele męskich prac. Wiadomość o przebywaniu męża w wyżej podanym obozie dotarła do mnie od jeńców wracających z niewoli w ZSRR. Żywię nadzieją, że prośba moja zostanie pozytywnie załatwiona”.

Kancelaria Cywilna Prezydenta RP odpowiedziała 30 listopada 1948 r., że podanie zostało przesłane do Głównego Pełnomocnika Rządu dla spraw Repatriacji. Oczekując bezskutecznie na jakieś wieści o losach męża, wdowa zwróciła się też do Biura Informacyjnego Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, skąd po jakimś czasie otrzymała lakoniczną odpowiedź: „W kartotece Biura nie figuruje. Poszukiwania trwają. Kierownik Biura AL. Graas”.

Jak wówczas wiele jej podobnych kobiet nie omieszkała się też udać do psychografologa, który na podstawie zdjęcia zaginionego i listu z frontu wywróżył we wrześniu 1949 r. następującą wiadomość:

„Rajmondo Ćwiek, Rybnik, ul. Bolesława Chrobrego 13. Szanowna Pani, mąż żyje! I znajduje się w Rosji, ale dokładność jego pobytu na razie niezbadana. Co do jego powrotu i stanu zdrowia – proszę zapytać za miesiąc. I to bezpłatnie”.

Taka wróżba była małą iskierką nadziei. Z upływem miesięcy zaczęła ona jednak gasnąć. Żeby ulżyć swej doli, wdowa postanowiła ubiegać się o rentę dla swego dziecka. We wrześniu 1949 r. zwróciła się do Izby Skarbowej w Katowicach – Wydział VI – Oddział Rent z odpowiednią prośbą. Po miesiącu oczekiwania otrzymała odpowiedź: „Izba Skarbowa zawiadamia, że podanie w sprawie renty pozostawia się bez rozpatrzenia do chwili przedłożenia wszystkich dowodów, tj. poświadczenia daty i okoliczności śmierci, poświadczenia polskiego obywatelstwa, dokumenty metrykalne oraz ostatnie listy pisane przez męża z frontu wraz z kopertą [podpisał radca Jaskółka]”.

Prawie rok trwało zbieranie żądanych dokumentów. W tym czasie wdowa przybita ciężarem nadludzkiej pracy na gospodarstwie postanowiła ponownie wyjść za mąż. Pierwszą przeszkodą urzędową, jaką miała pokonać, było sądowe uznanie męża za zmarłego. Sąd wyznaczając datę rozprawy, wezwał, aby w ciągu siedmiu dni zostały przedłożone następujące dokumenty: metryka urodzenia męża, dokument ślubu, akt zgonu męża na froncie, zaświadczenie o ostatnim miejscu jego zamieszkania, ostatni list męża z frontu. W tak krótkim terminie dowodów tych obciążona gospodarstwem wdowa nie zdołała zebrać, więc sprawa przeciągnęła się do następnego roku. Dopiero 22 marca 1949 r. sąd wydał następujące postanowienie. „Sąd Grodzki w Pszczynie na posiedzeniu niejawnym, po rozpoznaniu wniosku Wiktorii P. [...] postanowił uznać męża [...] za zmarłego i przyjąć datę jego zgonu na dzień 9 maja 1946 roku, a chwilę jego zgonu na godzinę 24”.

Uznanie męża za zmarłego rozwiązywało cywilny ślub. Nie było to równoznaczne z rozwiązaniem ślubu kościelnego, dlatego wdowa zmuszona była zbierać dalsze dokumenty potrzebne do unieważnienia ślubu kościelnego. Kiedy je skompletowała, zwróciła się do Sądu Biskupiego w Katowicach. 21 września 1951 r. otrzymała dekret tego sądu. Postanawiał on uznać jej męża za zmarłego i przyjąć datę śmierci 30 stycznia 1944 r. na froncie wschodnim, a jej udzielić zezwolenia na ślub kościelny.

Jednak do ślubu doszło dopiero w 1953 r., gdyż z niewoli rosyjskiej ciągle wracali jeńcy z niemieckiego wojska. Wiktoria nadal łudziła się nadzieją, że jej mąż może jeszcze wrócić. Nie wrócił, więc ostatecznie podjęła postanowienie. Jej drugie małżeństwo, ze starszym o dziesięć lat wdowcem z dwojgiem dzieci, związane zostało trzema ślubami: cywilnym, kościelnym i prywatnym, polegającym na cichej, niepisanej umowie, że w razie powrotu pierwszego męża z wojny ona opuści drugiego męża i dalej będzie żyła z pierwszym. Ten trzeci kontrakt samoistnie rozwiązały dzieci, w drugim małżeństwie urodziło się ich bowiem dwoje. Odtąd rodzina miała dzieci „moje” (z pierwszego małżeństwa wdowy), „twoje” (z pierwszego małżeństwa wdowca) i „nasze” (z drugiego małżeństwa). Utrzymanie zgody i ciepła rodzinnego w takiej rodzinie było dla Wiktorii nowym i trudnym zadaniem. Wspólna praca na gospodarstwie, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była walką o przetrwanie, scementowała rodzinę.

Kolejną, równie dramatyczną, choć nie ostatnią kartą zamykającą tragedię wojny, był podział majątkowy gospodarstwa pierwszego męża, gdy trojaki dzieci dorosły. Podział skomplikowany i kosztowny, ale dzięki mądrości obojga rodziców sprawiedliwy i bezkonfliktowy.

Wreszcie ostatni akt wojennej tragedii, jakich na Górnym Śląsku rozgrywało się wiele: oficjalne powiadomienie z berlińskiego biura akt wojennych o dacie, miejscu i okolicznościach śmierci pierwszego męża, które napłynęło dopiero 20 lipca 1965 r. Za radą innych osób znajdujących się w podobnej sytuacji i po kilku latach wahania wdowa postanowiła zwrócić się do Niemiec z wnioskiem o naprawienie szkód wyrządzonych jej rodzinie przez wojnę:

„Dnia 12 stycznia 1973 roku. Urząd Zaopatrzeń Rentowych w Ravensburgu, Lazarettstrasse 3, Weingarten. Jestem wdową po byłym żołnierzu Wehrmachtu. Mój pierwszy mąż zginął w styczniu 1944 roku na froncie wschodnim. O śmierci męża dowiedziałam się dopiero w 1965 roku pismem od Was, które załączam. Przez dziewięć powojennych lat pracowałam nadludzko na opuszczonym gospodarstwie. Mąż nie wracał, a o jego losie nie miałam żadnych wieści. W tej sytuacji w 1953 roku wyszłam ponownie za mąż i moje położenie uległo poprawie. Dzieci usamodzielnily się. Ja ze swoim drugim mężem utrzymujemy się teraz ze skromnej emerytury. Uważam, że mój ból po stracie pierwszego męża, tragiczne doświadczenia wojenne samotnej kobiety, ciężka praca, aby utrzymać dzieci i gospodarstwo – upoważniają mnie do tego, aby domagać się od Was przynajmniej częściowej rekompensaty za szkody moralne i materialne, jakie poniostam.

Moje prawo do wdowiego wsparcia jest tym większe, że przez 15 lat na moim utrzymaniu i pod moją opieką była staruszka – matka mojego pierwszego męża, która po stracie dwóch synów na wojnie była niezdolna do normalnego życia.

Myszę, że moje pismo nie jest bezpodstawne. Wiele osób o sytuacji podobnej jak moja czeka u nas na zadośćuczynienie. Z poważaniem...”

„*Sehr geehrte Frau Wiktoria...* i dalej w bardzo grzecznym tonie, ale w trudnym języku prawniczym następowało skomplikowane wyjaśnienie, że w świetle obowiązującego prawa niemieckiego odszkodowanie za poniesione straty wojenne nie przysługuje... *Mit freundlichen Grüßen – Liebmann...*”

W następnych latach, aż do swej śmierci w 1994 r., Wiktoria nie pisała już do Niemiec żadnych próśb. Ostatni list do Niemiec napisany był ręką jej najstarszego syna w październiku 2003 r.:

„Deutsche Dienststelle Berlin 52, Eichbornbamm 167 – 209. Jestem synem poległego żołnierza Wehrmachtu. Zanim umrę, chcę się jeszcze dowiedzieć, jakie były kolejne miejsca i czas pobytu mojego Ukochanego Ojca, zanim zginął na froncie wschodnim. Bardzo was proszę, napiszcie mi po kolei, kiedy i gdzie przebywał od 22 marca 1942 roku aż do chwili swej śmierci. Nie wiem, gdzie jest jego grób, więc przynajmniej wezmę sobie mapę i na mapie będę podążał Jego śladami. Nie odrzucajcie mojej prośby. To dla mnie człowieka starego bardzo ważna sprawa...”

I ten list wystarczyłby za epilog tragicznych losów Górnślązaków wplątanych wbrew swej woli w straszliwą wojnę.

W pracy wykorzystano następującą literaturę: *Górny Śląsk i Górnślązacy w II wojnie światowej*, red. Wojciech Wrzesiński, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Bytom 1997; *Historia Śląska*, red. Marek Czapliński, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002; Zbigniew Kapata, *Ślązacy i Zagłębiacy w walkach Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie*, Bytom 1992; Ryszard Karczmarek, *Pod rządami gauleiterów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Katowice 2000; Alojzy Lysko, *To byli nasi ojcowie*, wydał Gminny Ośrodek Rozwoju w Bojszowach, Bojszowy 1999 oraz materiały źródłowe (publikowane i niepublikowane listy, wspomnienia i dokumenty) ze zbiorów własnych autora.



Cmentarz polowy z grobami m.in. Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu

ZABÓJSTWO ŻOŁNIERZY „BARTKA”

Prowokacja jako jedna z metod stosowanych przez władze bezpieczeństwa w walce ze zbrojnym podziemiem narodowym znalazła zastosowanie w latach 1945–1947 również na terenie Górnego Śląska i Podbeskidzia. W ten sposób zlikwidowane zostało największe antykomunistyczne zgrupowanie na tym obszarze dowodzone przez Henryka Flamego „Bartka”. Podczas akcji sił bezpieczeństwa doszło do masowego zabójstwa około 100–200 żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych.

Biorąc pod uwagę liczbę ofiar, sprawa ta jest wyjątkowa w skali Górnego Śląska i Podbeskidzia, ponieważ od 1945 r. nigdy nie doszło na tym terenie do jednorazowej eksterminacji aż tak wielkiej liczby osób zaangażowanych w działalność antykomunistyczną. Likwidacja zgrupowania nastąpiła w wyniku gry (kombinacji) operacyjnej UB, która polegała nie tylko na wprowadzaniu agentury do kierownictwa istniejących już struktur konspiracyjnych, ale także na tworzeniu nowych, całkowicie fikcyjnych organizacji, w pełni kontrolowanych przez władze bezpieczeństwa. Rozbicie oddziałów „Bartka” było jedynie ubocznym efektem znacznie szerszej gry operacyjnej MBP, prowadzonej przeciwko NSZ i innym strukturom konspiracyjnym podziemia antykomunistycznego. Akcja ta – jak się okazało w ciągu najbliższych lat – stała się dla UB swego rodzaju poligonem doświadczalnym. Najważniejszy w tym przypadku, „rozgrywający” funkcjonariusz UB, Henryk Wendrowski, w latach następnych odegrał jedną z kluczowych ról w opanowaniu przez władze bezpieczeństwa krajowych struktur Zrzeszenia WiN. Przeprowadzenie przez UB tak poważnej i tragicznej w konsekwencji akcji nadal budzi szereg pytań związanych z jej przebiegiem i wskazaniem osób odpowiedzialnych za wydanie decyzji o zabójstwie żołnierzy.

Lata 1945–1947 to na Podbeskidziu okres największego nasilenia działań zbrojnego podziemia antykomunistycznego. Zgrupowanie pod dowództwem „Bartka” było największą i najbardziej aktywną antykomunistyczną formacją działającą na tym terenie. W okresie szczytowego rozwoju organizacyjnego, wiosną 1946 r., liczyła ona ponad trzystu członków oraz kilkuset informatorów. Lokalne PUBP i MUBP oraz WUBP w Katowicach od początku formowania się oddziału w maju 1945 r. podjęły próby jego likwidacji. Natrafiono jednak na poważne trudności wynikające początkowo z dość słabego rozeznania UB w terenie, a następnie przede wszystkim z dobrej organizacji zgrupowania. Do lata 1946 r. nie poniosło ono większych strat. Podstawowe metody pracy operacyjnej UB, polegające na werbowaniu agentów i informatorów, okazały się nieskuteczne. Likwidacja zgrupowania „Bartka” stała się możliwa dopiero dzięki szeroko zakrojonej prowokacji.

Agenci jako konspiratorzy

Masowe aresztowania, które dotknęły dowództwo NSZ latem 1945 r., wprowadziły w szereg podziemia narodowego znaczny chaos organizacyjny. Po rozbiciu struktur w Wielkopolsce i aresztowaniu inspektora Obszaru Wschodniego NSZ ciężar pracy konspiracyjnej przeniesiony został na południe, głównie na Górny Śląsk. Jesienią 1945 r. powstał nowy Obszar

Śląski. W jego ramach działał Okręg Górnośląski, na którego czele stanął „mjr Górny-Łamigłowa”. W rzeczywistości był to N.N., agent UB o pseudonimie „RR”, uczestniczący już w marcu 1945 r. w naradach Komendy Głównej NSZ. Pod koniec października tego roku doszło do rozbicia nowo powstających struktur. Po jesiennej fali aresztowań agent „RR”, występujący nadal jako „mjr Górny-Łamigłowa”, przystąpił do odtwarzania organizacji, tym razem już pod całkowitą kontrolą władz bezpieczeństwa. Jako komendant śląskiego obszaru NSZ rozpoczął tworzenie prowokacyjnej organizacji Śląskie Siły Zbrojne. Wspierany przez kilku pracowników resortu bezpieczeństwa, powołał fikcyjne dowództwo, a sam zaczął występować przed innymi działaczami podziemnymi jako organizator pracy konspiracyjnej. Dzięki temu w lutym 1946 r. „RR” nawiązał kontakt ze środowiskiem działaczy narodowych m.in. z Chorzowa, Siemianowic i Krakowa. Za ich pośrednictwem w kwietniu spotkał się



Fot. z archiwum IPN w Katowicach

„Bartek” ze swoimi żołnierzami

w Krakowie z kpt. Franciszkiem Wąsem „Warmińskim”, byłym szefem Wydziału I Organizacyjnego Okręgu Krakowskiego NSZ, którego w tym momencie „przejął” inny funkcjonariusz UB – Henryk Wendrowski, były żołnierz AK, od 1944 r. działający po stronie komunistów. Został on włączony do gry operacyjnej na Górnym Śląsku przypuszczalnie jesienią 1945 r., kiedy to pod pseudonimem „kpt. Lawina” wprowadzono go do Rady Politycznej NSZ Okręgu Śląskiego. Prawdopodobnie w połowie kwietnia 1946 r. Wendrowski rozpoczął działania operacyjne w Gliwicach, gdzie podając się za organizatora pracy konspiracyjnej, wprowadzony został w miejscowe środowiska opozycyjne. W lipcu 1946 r. przy współpracy z agentem „RR” i za pośrednictwem „Warmińskiego” Wendrowski występujący jako przedstawiciel „Okręgu NSZ” dotarł do jednego z łączników „Bartka”. Łącznik ten, będąc przekonany, że pracuje dla sztabu organizacji, z którą był związany już w okresie wojny, doprowadził funkcjonariusza UB prosto do „Bartka”, przebywającego wówczas ze swym oddziałem na Baraniej Górze.

Do pierwszego spotkania „kpt. Lawiny” z dowódcą zgrupowania doszło na początku sierpnia 1946 r. w obozowisku leśnym. Od tego momentu w szybkim tempie potoczyły się wydarzenia, które doprowadziły do wymordowania większości oddziału. „Kpt. Lawina” bardzo umiejętnie przedstawił fikcyjny rozkaz „Okręgu NSZ” nakazujący przeniesienie zgrupowania w kilku transportach w okolice Jeleniej Góry, gdzie miała być rzekomo kontynuowana działalność zbrojna. „Bartek” pomimo zastrzeżeń od początku – jak się wydaje – zaakceptował przedstawiony plan przerzutu. Niewątpliwie znaczący wpływ na jego decyzję miała pogarszająca się latem 1946 r. sytuacja militarna zgrupowania, które poniosło wówczas pierwsze znacznie większe straty oraz napotkało poważne problemy aprowizacyjne. Rozkaz o przerzucie na zachód mógł wydawać się

jedynym wyjściem z coraz trudniejszej sytuacji. Z pewnością na powodzenie akcji „kpt. Lawiny” wpłynął również fakt, że przez ponad pół roku (od początku 1946 r.) „Bartek” pozbawiony był kontaktu z jakąkolwiek władzą zwierzchnią. Niewątpliwie tragicznym paradoksem było, że dowództwo zgrupowania, nie zdając sobie oczywiście sprawy z opanowania Okręgu NSZ przez UB, od dłuższego czasu czekało na przedstawiciela sztabu, który miał przybyć z rozkazami dotyczącymi dalszej działalności. Taką osobą okazał się „kpt. Lawina”.

Plan

Przed 20 sierpnia 1946 r. UB, prawdopodobnie osobiście Wendrowski, opracował „Plan likwidacji »B«”, precyzujący działania władz bezpieczeństwa wobec największego na Podbeskidziu zgrupowania zbrojnego. W pierwszej kolejności przewidywał on przewiezienie do Gliwic dowództwa zgrupowania, które stamtąd miało sprawować kontrolę nad całą akcją. Szczegółowy plan przerzutu zakładał cztery transporty w pierwszych dniach września. Pierwszy miał objąć kilkunastu żołnierzy, pozostałe – po około 40, czyli łącznie prawie 140 osób. Ciężka i długa broń miała być przewieziona w osobnych ciężarówkach. Plan przewidywał umieszczenie w „punkcie w opolskim” uzbrojonej grupy operacyjnej UB, która miała występować „pod płaszczykiem ludzi wyznaczonych przez Okręg Opolski NSZ dla ochrony punktu”. Ostatni etap likwidacji, tzn. rozbrojenie i zatrzymanie, miał nastąpić w czasie snu, po kolacji z alkoholem. Schemat ten miał się odnosić do wszystkich czterech planowanych transportów. W następnej kolejności zamierzano stopniowo rozbroić pozostałych członków zgrupowania (około 80), którzy pozostali na miejscu w górach. Zasadniczy problem w interpretacji „Planu” dotyczy pojęcia likwidacji. Sformułowanie: „na punkcie likwidacyjnym będzie stała jedna maszyna [ciężarówka] w ukryciu, służąca do przewożenia aresztowanych, **ewentualnie** [podkreślenie – T.K.] trupów”,



Fot. z archiwum IPN w Katowicach

Jan Przewoźnik „Rys”, jeden z zastępców „Bartka”. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1946 r.

może wskazywać, że celem przedstawionego planu było raczej zatrzymanie członków zgrupowania, przy czym liczono się z ewentualnymi ofiarami śmiertelnymi. Wydaje się, że dokument nie zakładał planowej eksterminacji (masowego zabójstwa). Nie można więc wykluczyć, że plan ten uległ zasadniczej zmianie już w trakcie trwania samej akcji.

Podczas drugiej wizyty Wendrowskiego w obozowisku, 20 sierpnia, uzgodniono z dowództwem zgrupowania szczegóły przerzutu. Na przełomie sierpnia i września do gry operacyjnej włączony został jako „por. Korzeń” kolejny funkcjonariusz UB – młodszy referent Wydziału III Departamentu III MBP – Czesław Krupowies, który uczestniczył w bezpośredniej organizacji przerzutów.

Likwidacja

Przebieg transportów oraz bezpośrednie okoliczności zabójstwa członków zgrupowania „Bartka” nadal pozostają nieznane. Pewny jest jedynie fakt, że doszło do zamordowania, według szacunkowych danych, co najmniej stu osób. Dotychczasowe ustalenia wskazują

na dwa domniemane miejsca masowych mordów żołnierzy „Bartka”, znajdujące się na Opolszczyźnie: okolice tzw. zameczku Hubertus, położonego między miejscowościami Dąbrówka i Barut (obecnie na granicy powiatów gliwickiego i strzeleckiego), oraz okolice Łambinowic (obecnie powiat nyski). Nie można wykluczyć, że miejsc tych było więcej.

Nie mogą uchodzić za w pełni wiarygodne zeznania jednego z funkcjonariuszy UB Jana Fryderyka Zielińskiego, w 1946 r. referenta PUBP w Cieszynie, który miał być bezpośrednim, choć – jak sam zeznał – biernym obserwatorem eksterminacji żołnierzy, dokonanej rzekomo przez grupę UB i kilkudziesięciu Rosjan. Nieznany jest żaden dokument władz bezpieczeństwa, opisujący faktyczny przebieg akcji. Z wszystkich transportów prawdopodobnie ocalał zaledwie jeden członek zgrupowania. Uczestnicy wyjazdu – według jego relacji – w punkcie przeładunkowym zostali umieszczeni w jakimś budynku (myśliwskim zameczku lub poniemieckiej szkole) w pobliżu lasu nad jeziorem. Atak nastąpił w nocy, po kolacji suto zakrapianej alkoholem. Do pomieszczeń najpierw wrzucono granaty, następnie wywiązała się strzelanina, podczas której dobito rannych. W ten sposób mógł być wymordowany jeden z trzech transportów.

Istnieją również znaczne rozbieżności dotyczące miejsc i dat wyjazdów. Nie było jednego, głównego punktu koncentracji zgrupowania, a załadunek sprzętu i ludzi odbywał się w różnych miejscach. Cała akcja, która trwała prawdopodobnie od 5 do 25 września 1946 r., przeprowadzona została z opóźnieniem i odbiegała od założeń „Planu likwidacji »B«”. Liczba osób wyjeżdżających w poszczególnych transportach różniła się od planowanej. Problemy natury organizacyjnej dotyczyły przede wszystkim załadunku ludzi. Podczas całej akcji kilkanaście osób, niejako „przy okazji”, zostało zatrzymanych i postawionych przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Katowicach, który wydał następnie w ich sprawach kilka wyroków śmierci, wykonanych w grudniu 1946 r. Doszło również do kilku przypadków „pojedynczych” morderstw na żołnierzach „Bartka”.

Poszukiwanie odpowiedzialnych

Wobec braku źródeł nie można ciągle jednoznacznie ustalić faktycznych celów przedstawionej prowokacji zorganizowanej przez władze bezpieczeństwa. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy od samego początku brano pod uwagę likwidację zgrupowania polegającą na zbiorowym zabójstwie, czy też organizatorzy i wykonawcy jako likwidację rozumieli ujęcie i osądzenie wszystkich członków zgrupowania, licząc się z ewentualnymi ofiarami śmiertelnymi. Bezpośrednio wią-

Fot. z archiwum IPN w Katowicach



Skonfiskowana broń

12/3

1. Dnia 24.VIII.b.r. o godz. 6 rano wyjeżdża samochód Przemysłu Węglowego z naszymi szoferami do restauracji "Fajtula" położonej 6 km. za m. Wisła wzdłuż drogi obok Białej Wisieki. Tym samochodem, jak i z nim również "Emil", celem wręczenia rozkazów nominacyjnych i szynności. Na punkcie w "Fajtuli" mają oczekiwać go "Jasiek" z-ca "Bartka" i z-ca "Wichury". Obaj wyżej wymienieni wraz z "Emilem" przyjeżdżają do Gliwic i zatrzymują się przy ul. Korfantego 34 - IV piętro.

2. Dnia 30.b.m. samochód Przem. Węglowego wyjeżdża w to samo miejsce wręczając szczegółowy plan przerzutu "Bartkowi" z kaleniarzykiem, który poniżej zamieszczamy:

1. 1.IX.46r. jedzie 2 samochody ciężarowe. Jeden z nich z Przemysłu Węgla i Wojaka. Samochód pierwszy bierze grupę "Bartka" w liczbie 16-18 osób. Drugą maszyną wojskową bierze ciężką i długą bronię grupy. Na tej maszynie będzie jedział "Jasiek", "Emil" i jeden z naszych. Maszyna ta wyrusza o 1 godz. wcześniej niż druga. Po przyjeździe do opolskiego, "Jasiek" i "Emil" pozostaje na punkcie, przyszykują spanie i kolacje dla nadjeżdżających grup "Bartka". Na punkcie w opolskim przewidujemy obstawę z naszych ludzi, którzy będą występować pod płaszczykiem ludzi wyznaczonych przez Okręg Opolski "NSZ" dla ochrony punktu. Ludzi będzie 5-tu z pepeszami. Nadjeżdża samochód z grupą "Bartka" które nasza obstawa wpuszcza po wymienieniu hasła. Pytanie: Kto jedzie

H. Bartkiewicz

O. Czy ten chory?

Odp. Tak.

Bronię z pierwszego samochodu zostaje zładowana i zmagacynowana w punkcie koncentracji, a ludzie rozdzielani na 2 grupy po 9-10 ludzi i rozrzucający na punkty likwidacyjne w powiecie rybnickim. Na punkcie likwidacyjnym otrzymują wszyscy sute porcje wołki i jedzenie i i a spac.

Likwidacja nastąpi we śnie i przeprowadzi ją grupa naszych ludzi (20) która dotychczas spełniała niby rolę ochrony punktu z ramienia Okręgu Opolskiego "NSZ". Przy wjeździe na punkt obowiązuje to samo hasło co pierwszym razem. Na punkcie koncentracyjnym w opolskim "Emil" i "Jasiek" oczekują na powrót maszyny, która ich odwiezie do Gliwic. Maszyny rozjeżdżają się na swoje miejsca. Na punkcie likwidacyjnym będzie stała 1 maszyna w ukryciu słusząca tylko do przewożenia aresztowanych, ewentualnie trupów.

3-go września wyruszą znowu 2 samochody na które ładujemy 40 ludzi z bronią i wieżami na punkt koncentracji, skąd po zamknięciu wianu długiej broni, wszyscy jada tylko z bronią krotką i granatami na punkt likwidacji. Postępowanie z tą grupą przy likwidacji tak jak poprzednio, po 13-14 ludzi.

5 września jedzie znowu 2 samochody i bierze resztę grupy "Sztubak" i część grupy "Wichury" z nim samym na ozele. Razem znowu nie więcej jak 40 ludzi. Postępowanie przy likwidacji - tak jak poprzednio.

7 września jedzie 2 samochody, biorąc resztki grupy "Wichury" i grupę "Orla". Likwidacja bez zmian.

Bartek dnia 30-b.m. zostanie przywiązany do Gliwic na przygotowany punkt, gdzie zostanie dokonana operacja.

Pozostała grupa około 80 osób składa się z miejscowych górali którzy nie chcą ruszyć się z miejsca zostanie zlikwidowana w następujący sposób. Skierujemy "Jaska" jako d-ocę grupy tej a na zastępę damy swego człowieka.

że się z tym zasadnicze pytanie, kto wydał rozkaz zamordowania żołnierzy. Czy było to z góry zaplanowane działanie, czy też decyzję podjęto już w trakcie akcji? Kto był bezpośrednim sprawcą masowego zabójstwa? Wendrowski, kluczowa osoba w całej operacji, jako prawdopodobnych sprawców odpowiedzialnych za rozkaz zabicia żołnierzy „Bartka” wskazywał swych przełożonych – wiceministra Romana Romkowskiego oraz kierownika Wydziału III Departamentu III MBP mjr. Władysława Śliwę. Odpowiedzialnością za wykonanie akcji obciążył natomiast szefostwo WUBP w Katowicach (w tym szczególnie zastępcę szefa WUBP kpt. Marka Finka).

Przy rozpatrywaniu odpowiedzialności kierownictwa WUBP warto wspomnieć o dokonanej przy współudziale Wendrowskiego na początku sierpnia 1946 r. likwidacji grupki ośmiu „spalonych” żołnierzy z Rzeszowszczyzny. Podając się za „kpt. Lawinę z Centrali”, funkcjonariusz UB polecił im dokonanie przerzutu na ziemie zachodnie. Za organizację tej akcji odpowiadał WUBP w Katowicach, choć Wendrowski zajmował się również stroną techniczną działań, m.in. przygotowaniem samochodów do transportu. W tym przypadku nie dokonano fizycznej likwidacji całej grupy, lecz „jedynie” aresztowań w majątku WUBP koło Nysy, z ofiarami śmiertelnymi niejako „przy okazji” (zastrzelono „tylko” stawiających opór). W ten sam sposób, bez fizycznej eksterminacji ludzi – jeśli wierzyć późniejszym zeznaniom Wendrowskiego – miała przebiegać likwidacja zgrupowania „Bartka”.

W czasie stosunkowo niewielkiej akcji przerzutu żołnierzy z Rzeszowszczyzny Wendrowski zajmował się bezpośrednio zarówno organizowaniem, jak i stroną techniczną transportu. Mało wiarygodne wydają się więc jego zeznania, wedle których w przypadku operacji ze zgrupowaniem „Bartka” „nie został – jak twierdzi – poinformowany o miejscu, terminie i sposobie likwidacji”. Jego wyjaśnienia składane w latach dziewięćdziesiątych nie potwierdzają się w konfrontacji ze źródłami z roku 1946.

Nie ulega wątpliwości, że w przebiegu gry operacyjnej zaangażowany był wiceminister Romkowski, który wydawał dyspozycje w sprawach pośrednio związanych z samą likwidacją zgrupowania. Wendrowski nie wskazał natomiast – w kwestii odpowiedzialności za przeprowadzoną akcję – na ptk. Józefa Czaplickiego, ówczesnego dyrektora Departamentu III MBP, który, jak wiadomo, polecił mu nawiązanie kontaktu ze zgrupowaniem „Bartka”. Wendrowski niejednokrotnie kontaktował się z Czaplickim latem 1946 r. podczas pobytów w Warszawie, studiując m.in. schematy organizacyjne struktur podziemnych. Znane do tej pory źródła nie upoważniają jednak do postawienia tezy, że Wendrowski czy też Czaplicki byli bezpośrednio odpowiedzialni za masowe zabójstwo żołnierzy „Bartka”. Nie można też wykluczyć wersji, według której decyzja o ich zamordowaniu mogła zostać podjęta w ostatniej chwili i mogła być sprzeczna z przygotowanym wcześniej „Planem likwidacji »B«”. Kto ją podjął – nadal nie wiadomo.

* * *

Do szerokiego repertuaru metod stosowanych przez władze bezpieczeństwa w zwalczaniu podziemia narodowego na terenie Górnego Śląska i Podbeskidzia dodać należy najbardziej drastyczną – zbiorowe zabójstwo, dokonane w wyniku prowokacji przygotowanej przy użyciu minimalnej liczby agentów i funkcjonariuszy w terenie. Osób odpowiedzialnych za te działania należy szukać przede wszystkim w MBP, gdzie zapadały kluczowe decyzje, niemniej jednak bezpośredni udział w zabójstwach miał prawdopodobnie WUBP w Katowicach, którego kierownictwo (lub jego część) odpowiadało głównie za „techniczną” stronę operacji. Cała akcja nie została by przeprowadzona bez Wendrowskiego, który wykazał się tutaj „niezastąpionym” zmysłem operacyjnym. Jednoznaczne określenie indywidualnej odpowiedzialności poszczególnych funkcjonariuszy UB za przeprowadzoną akcję na tym etapie badań ciągle wydaje się jednak niemożliwe.

BEZPIEKA PRZECIW ŚLĄSKIEJ CHADECJI

Górnośląska część województwa śląskiego pozostała po wojnie pod silnym wpływem ruchu chrześcijańsko-społecznego. Było to konsekwencją zakorzenionych wśród autochtonicznych mieszkańców tego regionu idei i poglądów jednego z przywódców chadecji Wojciecha Korfantego. Tradycja korfantowskiej wizji państwa i narodu pozostała na Górnym Śląsku tak żywa i aktualna, że odradzający się po wojnie ruch chadecki właśnie w tej dzielnicy znalazł nieporównywalny w skali całego kraju oddźwięk i zainteresowanie.

Rekonstruowane od wiosny 1945 r. Stronnictwo Pracy stało się szybko najliczniejszą i najpopularniejszą partią polityczną w województwie śląskim. Najliczniej reprezentowani w nim zwolennicy Karola Popiela uczynili śląskie SP najsilniejszym ugrupowaniem opozycyjnym w regionie. Dla miejscowych „sił demokratycznych” (czytaj: komunistów) SP stanowiło trudną do pokonania konkurencję. Zważywszy, że i w samym stronnictwie zwolenników nowego ustroju (tzw. „zrywowców”) było niewiele – nietrafiona okazała się koncepcja rozbijania opozycji „od wewnątrz”. W zwalczaniu rywali niezastąpioną pomocą służyły miejscowe organa bezpieczeństwa. Ich zainteresowanie „aktywem popielowskim” pojawiło się z chwilą reaktywowania ugrupowania. Systematycznej analizie poddano natomiast górnośląskie środowisko chadeckie półtora roku po wycofaniu się „popielowców” z prac SP. Dopiero w połowie lat sześćdziesiątych sprawę uznano za nieaktualną.

Trzon powojennego śląskiego SP tworzyli zarówno starzy, wytrawni politycznie chadecy (Ignacy Sikora, Jan Mildner, Jan Kędzior, Elżbieta Korfantowa), jak i grupa „drugoplansowych” przed wojną działaczy stronnictwa, silnie zaktywizowana po wojnie. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach, podejmując działania przeciw „popielowcom”, marginalnie traktował seniorów, koncentrując się głównie na likwidacji środowiska kształtującego powojenne SP, skupionego wokół Jerzego Lewandowicza, Tadeusza Grytki i Teofila Golusa. Te postaci były też najdłużej i najwnikliwiej inwigilowane przez lokalne służby bezpieczeństwa. Bezpieka uznała je za szczególnie niebezpieczne dla państwa ze względu na rolę, jaką odegrały po wojnie w odtwarzaniu struktur SP w województwie śląskim oraz działalność związaną z „obozem londyńskim” w okresie okupacji, a także z powodu ich silnych związków (także przez powinowactwo) z Wojciechem Korfantym.

Trzej niebezpieczni

Jerzy Lewandowicz przyjechał do Katowic z Wielkopolski w 1923 r. już jako aktywny działacz Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji. Doświadczony w prowadzeniu sekretariatu u prałata Stanisława Adamskiego, został osobistym sekretarzem Wojciecha Korfantego, a wkrótce także jego szwagrem. Od 1924 r. pracował w Zarządzie Spółki Wydawniczej „Polonia”, potem jako sędzia grodzki, a od 1933 r. prowadził własną kancelarię adwokacką.

We wrześniu 1939 r. wyjechał do Warszawy. Nawiązał kontakty z przywódcami podziemnego Zarządu Głównego SP: Józefem Kwasiborskim, Franciszkiem Urbańskim, Stefanem Kaczorowskim i Antonim Antczakiem oraz z przedstawicielami organizacji konspiracyjnej „Unia”, Janem Hoppe, Jerzym Braunem i Kazimierzem Studentowiczem. W pierwszych latach okupacji nie podjął jednak działalności konspiracyjnej w strukturach SP. Dopiero pod koniec 1942 r. został dokooptowany do Zarządu Głównego SP. Był inicjatorem powołania w 1943 r. w Warszawie konspiracyjnego Zarządu Wojewódzkiego SP na teren Śląska i jego przewodniczącym. W połowie lipca 1944 r. Delegat Rządu Jan Stanisław Jankowski mianował go Okręgowym Delegatem Rządu na obszar Śląska (w miejsce schorowanego Ignacego Sikory). Jednocześnie nominował go na stanowisko przyszłego wojewody śląskiego w wyzwolonym kraju. Funkcji delegata w praktyce nie objął z powodu ran odniesionych w Powstaniu Warszawskim. Po upadku powstania wyjechał do Częstochowy, gdzie przebywał do końca wojny.



Fot. z archiwum Księży Marianów w Warszawie

Jerzy Lewandowicz

Lewandowicz powrócił do Katowic w połowie maja 1945 r. i podjął indywidualną praktykę adwokacką. Konsekwentnie też nawiązywał kontakty z przedwojennymi współpracownikami i działaczami chrześcijańskiej demokracji celem odbudowy struktur SP w województwie śląskim. Został zaproszony do udziału w kongresie zwolenników prezesa Karola Popiela, zwołanym 15 lipca 1945 r. w Warszawie. Jako reprezentanta licznej już grupy śląskich działaczy silnie związanych ideologicznie i programowo z Popielem wybrano go wówczas do Zarządu Głównego. Później znalazł się również w składzie Komitetu Wykonawczego ZG SP, ustalonego podczas zjazdu „kompromisowego” z grupą „Zrywu” 14 listopada 1945 r. w Toruniu. Stojąc na czele istniejącego od marca 1945 r. Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego SP w Katowicach, rozpoczął organizowanie struktur terenowych i ich ujawnianie. W styczniu 1946 r. został wybrany na prezesa ZW SP. W skład Prezydium ZW SP weszli również Teofil Tomasz Golus i Tadeusz Gryłka.

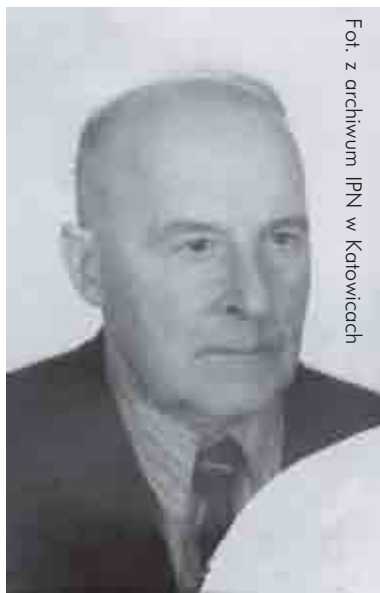
Teofil Golus, z wykształcenia lekarz, szwagier Korfantego, uczestnik powstań śląskich, należał przed wojną do aktywnych działaczy chadecji (potem SP) szczebla wojewódzkiego. Podczas okupacji wchodził w skład konspiracyjnego zarządu stronnictwa w Warszawie. Przygotowywany do objęcia po wojnie funkcji Naczelnika Wydziału Zdrowia Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Wspólnie z Lewandowiczem od wiosny 1945 r. organizował komórki SP na terenie Górnego Śląska. W odtwarzaniu struktur stronnictwa zaangażowany był również Tadeusz Gryłka, przed wojną bliski współpracownik Korfantego, m.in. w redakcji „Polonii”, od 1937 r. członek Zarządu Głównego SP. W czasie wojny uczestniczył w pracach Delegatury Rządu na obszar Śląska z siedzibą w Katowicach, z ramienia której zajmował się pracą informacyjno-wywiadowczą w terenie.

Początek represji

Po raz pierwszy działacze SP zetknęli się bezpośrednio z miejscową „bezpieką” po zjeździe wojewódzkim partii, który odbył się 24 lutego 1946 r. w Katowicach. Przybyło nań ponad 900 delegatów z terenu, ponad tysiąc gości oraz centralny aktyw SP. Zjazd, zdominowany przez

„popielowców”, stał się forum ostrych ataków na rząd, komunizm i ZSRR, bezskutecznie powstrzymywanych przez Popiela i Lewandowicza. Kilkanaście dni później, 7 marca, funkcjonariusze WUBP w Katowicach niespodziewanie wtargnęli do lokalu zarządu wojewódzkiego SP, rekwirując dokumenty, pieczęcie i pieniądze oraz aresztując ośmiu działaczy SP, w tym Lewandowicza, Golusa i Grytkę. W dniu zatrzymania wszyscy byli przesłuchiwani jako świadkowie „wydarzeń antypaństwowych”, prezes Lewandowicz powtórnie 10 kwietnia, już jako podejrzany. Podczas przesłuchania, pytani o osobisty odbiór tego, co stało się kilkanaście dni wcześniej, podtrzymali stanowisko Popiela, który odcinał się od skrajnych wypowiedzi szeregowych działaczy stronnictwa.

W lipcu 1946 r., wobec prześladowań i represji w stosunku do działaczy oraz próby przejęcia kierownictwa przez komunistów, Karol Popiel zawiesił działalność Stronnictwa Pracy (grupka prokomunistycznych działaczy używała nazwy SP jeszcze do 1950 r.). Zarząd Wojewódzki SP podjął decyzję o zaprzestaniu prac śląskiej grupy stronnictwa. Większość dawnych działaczy pozostała wierna prezesowi i opuściła szeregi SP, utrzymując ze sobą stały kontakt. Lewandowicz kilkakrotnie w 1946 r. i 1947 r. bywał w Warszawie. Brał udział w zebraniach konspiracyjnych z udziałem Karola Popiela i jego najbliższych współpracowników, których celem było powołanie nowej organizacji o charakterze chrześcijańsko-demokratycznym. Był jednym z sygnatariuszy memoriału skierowanego 25 marca 1947 r. do premiera Józefa Cyrankiewicza w sprawie legalizacji Chrześcijańskiego SP. Do końca 1947 r. regularnie kontaktował się z Józefem Kwasiborskim, ks. Zygmuntem Kaczyńskim i Antonim Antczakiem.



Fot.: z archiwum IPN w Katowicach

Teofil Golus

Kryptonim „Zakon”

Wzmagająca się systematycznie od 1947 r. aktywność „popielowców”, stanowiąca w mniemaniu WUBP „zagrożenie dla legalnego SP”, stała się podstawą założenia pod koniec lutego 1948 r. sprawy agenturalnego rozpracowania tego środowiska, której nadano kryptonim „Zakon”. Pierwszoplanowym zadaniem funkcjonariuszy sekcji V Wydziału V WUBP w Katowicach było ustalenie najważniejszych ognisk podziemia „chadeckiego” w województwie śląskim i opracowanie głównych form i metod jego działania. Środkiem do osiągnięcia tak zaplanowanych celów miała być szczegółowa analiza konspiracyjnych poczynań Lewandowicza, Grytki i Golusa.

W pierwszej fazie realizowania sprawy „Zakon” głównym przedmiotem działań WUBP stał się Lewandowicz. W celu wyeliminowania go z grupy „korfanciarzy” użyto standardowych i powszechnie stosowanych przez funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa metod rozpracowania, tzw. figurantów. Prace WUBP nie przyniosły jednak spodziewanego rezultatu, nie udało się bowiem dowieść antypaństwowej działalności prezesa. Pod koniec 1949 r. zwiększono częstotliwość obserwacji Lewandowicza – obserwowano go co dwa dni. Zaktywizowano tkwiących w środowisku czterech agentów i trzech informatorów wywodzących się z najbliższego otoczenia Lewandowicza. Regularnie dostarczali oni funkcjonariuszom miejscowego WUBP

informacje o jego wypowiedziach dotyczących sytuacji politycznej w kraju. Jednak i te informacje nie satysfakcjonowały naczelnika Wydziału V kpt. Edmunda Jeziorskiego; nadal brak było dostatecznych dowodów, które potwierdziłyby „wrogie” działania Lewandowicza.

Wolni Polacy

Jesienią 1949 r. Departament V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie otrzymał informacje o działającej w Katowicach tajnej organizacji – Komitecie Wolnych Polaków, zrzeszającej czołowych działaczy nielegalnych organizacji politycznych z województwa śląskiego (PSL, WRN, SN). Ze sprawą założenia KWP związani byli pośrednio także działacze „popielowskiego” SP. I to stało się dla WUBP długo poszukiwanym pretekstem do konkretnych działań wobec „popielowców”. 14 października 1950 r. kpt. Jeziorski podjął decyzję o zastosowaniu wobec Gryłki aresztu prewencyjnego na okres dwóch miesięcy. Przyczyną aresztowania było utrzymywanie przez niego stałych kontaktów z „najwyższymi dygnitarzami kościoła katolickiego w Polsce, jak Hlondem, Sapiehą, Adamskim, Bieńkiem oraz księżmi znanymi z reakcyjnych, antyludowych wystąpień z terenu województwa katowickiego, jak i Krakowa”, celem zaś – rozbić śląskiej chadecji, wśród której „cieszyć się miał bardzo dużym autorytetem”. Gryłkę i Golusa aresztowano 18 października. Dzień później funkcjonariusze WUBP dokonali rewizji ich mieszkań, która nie dostarczyła jednak żadnych „kompromitujących” materiałów. W związku z tym obu działaczy po kilku dniach zwolniono.

18 października 1950 r. aresztowany został również Lewandowicz. Pretekstem zatrzymania była rzekoma przynależność do KWP. Przeprowadzona dzień później rewizja w jego mieszkaniu dała wynik „pozytywny” – znaleziono sporo materiałów, które według kierownictwa WUBP potwierdzały jego zakonspirowaną działalność. Najważniejsza dla sprawy okazała się znaleziona w jego mieszkaniu „Instrukcja do zwalczania Służby Bezpieczeństwa tzw. Akcja B”, którą otrzymał w 1945 r. od Gryłki. Lewandowiczowi zarzucano, że „wiosną 1950 w Katowicach, otrzymawszy wiarygodną wiadomość, że na terenie Katowic istnieje nielegalny związek, który usiłuje przemocą usunąć ustanowione organa władzy zwierzchniej i zmienić ustrój państwa polskiego, nie zawiadomił o tym władzy, powołanej do ścigania przestępstw” oraz że „w okresie od jesieni 1945 do chwili aresztowania w swoim mieszkaniu w Katowicach przy ul. Szafranka 9 w celu rozpowszechnienia przechowywał pismo nawołujące do popełnienia zbrodni, a mianowicie dające wytyczne do zwalczania funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa”. Proces przeciwko działaczom KWP odbył się przed WSR w Katowicach 10–13 lipca 1951 r. Wyrok ogłoszono tydzień później. Sąd uznał Lewandowicza za winnego zarzucanych mu czynów (nie udowodniono mu jednak przynależności do KWP, jedynie kontakty z działaczami tej organizacji) i skazał go na karę 2 lat więzienia.

Lewandowicz po wyjściu z więzienia w październiku 1952 r. pozostał nadal pod stałą obserwacją WUBP, według funkcjonariuszy bowiem utrzymywał „kontakty z elementem wroгим [...]”. Jest on bardzo przebiegły i na zewnątrz nie ujawnia swojego wrogiego oblicza, niemniej jest on nadal autorytetem wśród elementu chadeccko-popielowskiego na terenie Stalinoogrodu”. W rzeczywistości Lewandowicz stopniowo wycofywał się z działalności konspiracyjnej i poświęcił się pracy w adwokaturze. W 1956 r. Służba Bezpieczeństwa KW MO w Katowicach zaprzestała dalszych działań wobec niego.

Zlikwidować chadeków

Wylimitowanie Lewandowicza z działalności politycznej było sukcesem śląskiego UB. Nie zadowoliło to jednak zwierzchników, których wciąż niepokoiła działalność pozostałych

„korfanciarzy”. Wizytujący Katowice w kwietniu 1953 r. delegat MBP uznał za konieczne kontynuowanie prac nad likwidacją środowiska chadeków. Analizując kompletowaną od pięciu lat dokumentację działań operacyjnych wobec „popielowców”, uznał dotychczasowe przedsięwzięcia za nieskuteczne i ocenił, że stan wiedzy o rozpracowywanym środowisku znajduje się na poziomie z 1949 r.

Według miejscowych organów bezpieczeństwa po wykluczeniu Lewandowicza niezbędny dla zidentyfikowania struktur podziemnego SP mógł być jedynie Gryłka. Działania podejmowane wobec niego konsekwentnie od 1953 r. miały służyć jego wyeliminowaniu, a przez to również likwidacji aktywnego stale środowiska śląskich chadeków. Delegat MBP w piśmie do naczelnika Wydziału I WUBP z października 1953 r. podsunął myśl wykorzystania Gryłki jako informatora. Pomysł zwerbowania go nie był nowy; po raz pierwszy taka koncepcja pojawiła się w planach WUBP w 1949 r., nie zrealizowano jej jednak (brak informacji o próbach takich działań). Tym razem zakładając z góry bezcelowość „werbunku na uczuciach patriotycznych”, zalecono przygotowanie obciążających go „mocnych” materiałów, głównie z okresu okupacji.

Pierwszą próbę nakłonienia Gryłki do współpracy podjęto dopiero w marcu 1956 r. Po wstępnej rozmowie, jaka odbyła się na komisariacie dworcowym w Katowicach, zaniechano dalszych prac w tym kierunku. Gryłka, mimo podpisania zobowiązania o zachowaniu tajemnicy, poinformował o tym fakcie (ale nie o przedmiocie rozmowy) kilka osób z najbliższego otoczenia. Oświadczył miał wówczas, że współpraca z „bezpieką” godzi w jego chrześcijańskie sumienie. W obawie przed dekonspiracją sprawę ponownie odroczone.

Od maja 1955 r. w kręgu zainteresowania miejscowych organów bezpieczeństwa znalazł się także Teofil Golus. Brak dokumentów dotyczących tej sprawy uniemożliwia odtworzenie metod, przebiegu i rezultatów prac operacyjnych wobec niego. Wiadomo jednak, że po trzech latach SB KW MO w Katowicach zaniechała dalszych działań, uznając go za „nieškodliwego” ze względu na podeszły wiek i ciężką chorobę.

Klerykał z tupetem

We wrześniu 1958 r. w Wydziale III Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach założono odrębną sprawę ewidencyjno-obszerną na Tadeusza Gryłkę, miesiąc później zarejestrowano go w Wydziale X Departamentu X MSW jako „aktywnego działacza katolickiego”. Dowieść tego miały jego działania na rzecz Kościoła: członkostwo w katowickim Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Społecznym, udział w pielgrzymkach na Jasną Górę, kolportowanie stenogramu przemówienia sejmowego posła Antoniego Gładysza, wygłoszonego 21 stycznia 1958 r., rozpowszechnianie pisma Episkopatu do Bolesława Bieruta z 12 września 1950 r., dotyczącego represji wobec duchowieństwa, oraz tekstu kazania ks.



Tadeusz Gryłka

Fot. z archiwum IPN w Katowicach

Witolda Pietkuna z Białegostoku, potępiającego rewizję przeprowadzoną przez SB na Jasnej Górze 20 lipca 1958 r. Od listopada 1960 r. katowicka SB zintensyfikowała i zdynamizowała działania wobec tego „klerykała z wielkim tupetem”.

Ani Lewandowicz, ani Golus nie zostali poddani tak szczegółowej i wnikliwej infiltracji jak Gryłka. W celu udokumentowania jego „wrogiej” postawy wobec państwa, ale również w celu ujawnienia grupy osób z nim związanych, założono podstęp w jego mieszkaniu, perlustrowano jego korespondencję krajową i zagraniczną. Mimo tak skrupulatnie zaplanowanych i konsekwentnie realizowanych przedsięwzięć organom bezpieczeństwa nie udało się zrekonstruować środowiska byłych chadeków skupionych wokół Gryłki. Analiza korespondencji dowiodła jednak, że od zakończenia wojny utrzymywał on nieprzerwanie kontakty z wywodzącymi się z Górnego Śląska działaczami SP, zasiadającymi w kolejnych rządach na emigracji – z premierem Hugonem Hanke (nb. agentem wywiadu PRL) oraz ze Stanisławem Sopickim.

Na podstawie wyników uzyskanych po pierwszym etapie działań wobec Gryłki z przełomu 1960 i 1961 r. zdecydowano zmodyfikować cel planowanych akcji i zmienić metody postępowania. Inspiracją dla zmiany planów okazała się informacja o negatywnej postawie Gryłki wobec polskiej emigracji politycznej, a zwłaszcza jego krytyczny stosunek do Sopickiego. Po powrocie z miesięcznego pobytu w Anglii w lipcu 1961 r. Gryłka publicznie potępiał stosunki panujące w rządzie emigracyjnym i otwarcie piętnował rewizjonistyczne poglądy Sopickiego. Takie stanowisko wobec rzeczywistości emigracyjnej, a zwłaszcza jawne jego manifestowanie, było po myśli organów bezpieczeństwa, co też zręcznie wykorzystano. Od stycznia 1962 r. prace grupy I Wydziału III KW MO zmierzały do uzyskania od Gryłki jak największej ilości informacji o aktualnej działalności politycznej emigracyjnych działaczy SP i formach ich oddziaływania na kraj. Pierwszym zadaniem funkcjonariuszy „bezpieki” było poróżnienie Gryłki z Sopickim w celu „przecięcia jego [Gryłki] wpływu na innych chadeków”. Ponieważ działania te nie dotyczyły bezpośrednio środowiska śląskich chadeków, a wyłącznie Gryłki i rodziny Sopickich (Stanisława, jego żony Marii i brata Antoniego), ujęto je w odrębną sprawę, której nadano kryptonim „F-4”.

* * *

KW MO w Katowicach przestała interesować się Gryłką dopiero pod koniec 1965 r., z powodu – jak to określono – „braku przejawów wrogiej działalności”. Tym samym zakończono trwający prawie dwadzieścia lat proces likwidacji śląskiej chadecji skupionej wokół „popielowskich” działaczy SP. Służby bezpieczeństwa, podejmując walkę z chadecją, wybrały metodę eliminacji lub neutralizacji działań jej przywódców, czego konsekwencją było stłumienie konspiracyjnej aktywności tego środowiska.

KATOWICE – STALINOGRÓD 1953

Dla uczczenia pamięci zmarłego w marcu 1953 r. Józefa Stalina – „wodza postępowej ludzkości” – podejmowano w krajach tzw. demokracji ludowej decyzje o zmianach nazw niektórych miast, rzek, gór, ulic i zakładów pracy. W Albanii zamieniono na Stalin miasto Kuçova, w Bułgarii Warnę, a w Rumunii Braşov. Na Węgrzech miasto Dunapentele zmieniło nazwę na Sztalinváros. W NRD już w 1950 r. zaczęto budować nowe miasto Stalinstadt. W Bułgarii ponadto nadano imię Stalina jezioru Pasareł koło Sofii oraz szczytowi górskiemu Musala. Najwyższy szczyt Tatr i Karpat – Gerlach w Czechosłowacji – przemianowano na Stalinov štít. Ponadto wiele zakładów przemysłowych otrzymało imię Stalina.

Choroba, a później śmierć Stalina, zaskoczyły kierownictwo partyjne w Warszawie. Do pierwszych sekretarzy komitetów wojewódzkich wysłano pismo ostrzegające przed działaniami „wroga”, które mogły być podjęte na wieść o chorobie przywódcy¹. 6 marca o godzinie 4 nad ranem, po otrzymaniu wiadomości o śmierci Stalina, Bolesław Bierut zwołał posiedzenie sekretariatu Biura Politycznego, na którym ustalono: powołać Ogólnopolski Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Stalina, wydać odezwę do narodu polskiego oraz wysłać list kondolencyjny do KPZR. Opracowano także harmonogram uroczystości żałobnych². W dniach 8 i 9 marca polecono zorganizować we wszystkich miastach Polski zgromadzenia żałobne zwołane przez Komitety Frontu Narodowego. 9 marca o godzinie 10.00 miała nastąpić pięciominutowa przerwa w pracy i uroczysta chwila skupienia. Ten sam dzień miał być dniem żałoby narodowej³. Polecano żałobnie udekorować miasta, osiedla, wsie, zakłady pracy, świetlice, kluby, instytucje i inne pomieszczenia publiczne oraz umieścić na widocznych miejscach portrety „Towarzysza Stalina ubrane krepą i czerwienią”⁴.

Wspomniane wydarzenia wywarły wpływ na przebieg pracy śląskiej organizacji partyjnej. 6 marca 1953 r. zwołano Egzekutywę KW PZPR w Katowicach. Najpierw z polecenia Józefa Olszewskiego – I sekretarza KW PZPR, Edward Gierek odczytał komunikat KPZR o śmierci „Towarzysza Józefa Stalina” oraz komunikat Komitetu Centralnego PZPR⁵. Następnie odczytano instrukcję KC PZPR dotyczącą „Zadań stojących przed Partią w związku ze śmiercią Tow. Józefa Stalina”. Postanowiono przystąpić bezzwłocznie do realizacji instrukcji KC PZPR. Nie było wówczas mowy o zmianie nazwy Katowic na Stalinogród⁶.

¹ Wspominał o tym m.in. E. Gierek w rozmowie z J. Rolickim, *Przerwana dekada*, Warszawa 1990, s. 33.

² AAN, KC PZPR, V/25, Protokół z posiedzenia Sekretariatu BP w dniu 6 III 1953 r., s. 75.

³ *Ibidem*.

⁴ AAN, KC PZPR, VII/5, Załączniki do Protokołów Sekretariatu KC, Dalekopis KC PZPR do I sekretarzy wojewódzkich, s. 434–440.

⁵ AP Katowice, KW PZPR Kat-301/IV/141, Protokół nr 9 z posiedzenia Egzekutywy KW PZPR w Katowicach, odbytego w dniu 6 III 1953 r.

⁶ *Ibidem*.

Podobny charakter miała zwołana 7 marca nadzwyczajna sesja żałobna Miejskiej Rady Narodowej w Katowicach, na której tylko uczczono pamięć zmarłego Józefa Stalina⁷.

Decyzja w sprawie zmiany nazwy Katowic zapadła 7 marca 1953 r. w Warszawie podczas posiedzenia Sekretariatu Biura Politycznego KC PZPR. W protokole zapisano: „sekretariat zatwierdził wniosek KW PZPR i Rady Narodowej m. Katowic o przemianowaniu m. Katowice na miasto Stalinogród i województwa na województwo stalinogrodzkie”⁸. Tego samego dnia podjęta została uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o uczczeniu pamięci Józefa Stalina. Czytamy w niej: „Zgodnie z wnioskiem Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Prezydium Katowickiej Wojewódzkiej Rady Narodowej i Prezydium Rady Narodowej m. Katowic oraz Katowickiego Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego, miasto Katowice przemianować na miasto Stalinogród, a województwo katowickie na województwo stalinogrodzkie”⁹. Przedstawione w tych dokumentach wiadomości nie są prawdziwe, polecenie zmiany nazwy przyszło bowiem z Warszawy do Katowic, a nie odwrotnie. Najważniejsze decyzje w tym zakresie były podejmowane często telefonicznie poza formalnymi posiedzeniami konstytucyjnych organów państwa i władz partyjnych. Według Edwarda Gierka, ówczesnego sekretarza KW PZPR w Katowicach, polecenie zmiany nazwy przekazał 7 marca 1953 r. rano telefonicznie I sekretarzowi KW PZPR w Katowicach Józefowi Olszewskiemu Jakub Berman. Rozmowa odbyła się w obecności Gierka i innych członków kierownictwa. Zaskoczony Olszewski usiłował jakoś się wykręcić, argumentując, że będzie to trudne do realizacji¹⁰. Tak o tym mówił po latach: „Sekretariat KW był przeciwny temu pomysłowi. Tłumaczyliśmy, że Katowice są zbyt starym miastem, aby zmieniać im nazwę. Sugerowaliśmy, że odpowiedniejsza do noszenia imienia Stalina byłaby na przykład budowana wtedy Nowa Huta albo Tychy”¹¹. Po pewnym czasie Berman zadzwonił ponownie i ponowił propozycję. Olszewski wykręcał się nadal, mówiąc, że o podjęciu takiej decyzji musi zdecydować Plenum KW. Jego stanowisko popierali obecni przy rozmowie członkowie katowickiego kierownictwa partyjnego. Dopiero telefon samego Bolesława Bieruta, w którym zagroził rozwiązaniem całej egzekutywy KW, rozwiął „wątpliwości” kierownictwa partyjnego w Katowicach. Olszewski wziął na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie całej sprawy związanej ze zmianą nazwy¹². Po latach stwierdził, że w tym okresie obowiązywał pewien rytuał: „Nie tylko nie mogliśmy się sprzeciwić, ale musiałem na posiedzeniu plenum KC PZPR wygłosić dziękczynne przemówienie”¹³. Dla kierownictwa partyjnego w Katowicach – z czego doskonale zdawano sobie sprawę – odmowa równałaby się śmierci politycznej.

⁷ Sesja żałobna Miejskiej Rady narodowej w Katowicach, „Dziennik Zachodni” nr 59, 8–9 III 1953, s. 1.

⁸ AAN KC PZPR, V/25, s. 75.

⁹ AAN KC PZPR, VII/5, Uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o uczczeniu pamięci Józefa Stalina z dnia 7 marca 1953 r., s. 450; uchwałę tę opublikowano m.in. w „Dzienniku Zachodnim”: Uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dnia 7 marca 1953 roku o uczczeniu pamięci Józefa Stalina, „Dziennik Zachodni” nr 60, 10 III 1953 r., s. 3.

¹⁰ E. Gierek w rozmowie z J. Rolickim, *op. cit.*, s. 33; E. Gierek, *Smak życia. Pamiętniki*, Warszawa 1993, s. 55–56.

¹¹ S. Starzyński, *Miasto wodza narodów*, „Gazeta Wyborcza”, 19 V 2000, s. 9.

¹² E. Gierek w rozmowie z J. Rolickim, *op. cit.*, s. 33; E. Gierek *Smak życia...*, s. 55–56.

¹³ S. Starzyński, *op. cit.*, s. 9.

Jakub Berman wspominał, że zmiana nazwy Katowic na Stalinogród nastąpiła „z głupoty”. Zaproponował ją Bierut na posiedzeniu Biura Politycznego i pomysł przeszedł większością głosów. Berman podczas głosowania, jak sam twierdzi, wstrzymał się od głosu¹⁴.

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, dlaczego wybrano Katowice. Podobno proponowano początkowo Częstochowę. Ktoś jednak zwrócił uwagę, że będzie niezręcznie, jeżeli coroczne pielgrzymki zmierzające na Jasną Górę teraz będą szły do Stalinogrodu. Krystyna Heska-Kwaśniewicz uważa, że wybrano Katowice, chciano bowiem to miasto ukarać. Ten autentycznie robotniczy region kraju był nadal nieprawomyślny i niechętnie nastawiony do komunizmu. Żywe tam były tradycje powstań śląskich i Armii Krajowej¹⁵. A może przywódcy partyni w Warszawie aż tak głęboko się nad tym nie zastanawiali? Po prostu zaskoczeni śmiercią Stalina, wykonując polecenia Moskwy, postanowili zmienić nazwę jakiegoś dużego miasta. Katowice były już od lat lansowane przez propagandę na „serce przemysłowe Polski”. To była stolica największego obszaru przemysłowego kraju, największego skupiska klasy robotniczej. A przecież ta klasa robotnicza, górnicy, hutnicy, miała być „bazą” i „podporą” nowej socjalistycznej Polski. I może to zadecydowało? Po wojnie na Górnym Śląsku zmieniono także nazwy wielu miast i wsi z niemieckiego na polski. Często jednak realizowana ze zbytnią gorliwością tzw. akcja odniemczania prowadziła do zmiany starych śląskich nazw. To wszystko nie podobało się ludności autochtonicznej. W tej sytuacji zmiana nazwy z Katowic na Stalinogród była jeszcze jedną w łańcuszku.

Warto zwrócić uwagę, że kierownictwo partyjne Katowic miało w tym czasie na głowie o wiele poważniejsze sprawy niż zmiana nazwy miasta: strajki górników czy nadal silne sympatie proniemieckie wśród Ślązaków. Olszewski wspominał po latach: „Jednak wtedy bardziej przeżywałem codzienne rozmowy z Bierutem o wykonaniu planu wydobycia węgla niż zmianę nazwy miasta. Bierut dzwonił między 23 a północą. Robiliśmy wszystko, żeby dostawał jak najlepsze informacje”¹⁶.

Po decyzjach podjętych telefonicznie na najwyższym szczeblu tego samego dnia, tj. 7 marca, zwołano Egzekutywę KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach¹⁷. Przedmiotem obrad były dwie sprawy: „propozycja kierownictwa Partii dotycząca przemianowania miasta Katowic i województwa katowickiego” oraz przygotowania „do manifestacyjnego obchodu dnia 9 marca br., w którym odbędzie się pogrzeb Towarzysza Józefa Stalina”¹⁸. Postanowiono jednomyślnie zwrócić się do KC PZPR i rządu z „prośbą” o „nadanie miastu Katowice nazwy Stalinogród i województwu katowickiemu nazwy województwa stalinogrodzkiego”¹⁹.

Następnie, gdy sprawa zmiany nazwy miasta była już zdecydowana, 7 marca odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (parę godzin po sesji żałobnej Miejskiej Rady Narodowej, gdzie jeszcze o zmianie nazwy nie było mowy) pod przewodnictwem Edwarda Lisonia. W czasie obrad uczczono minutą ciszy pamięć Józefa Stalina i „proszo-

¹⁴ T. Torańska, *Oni*, Londyn 1985, s. 343.

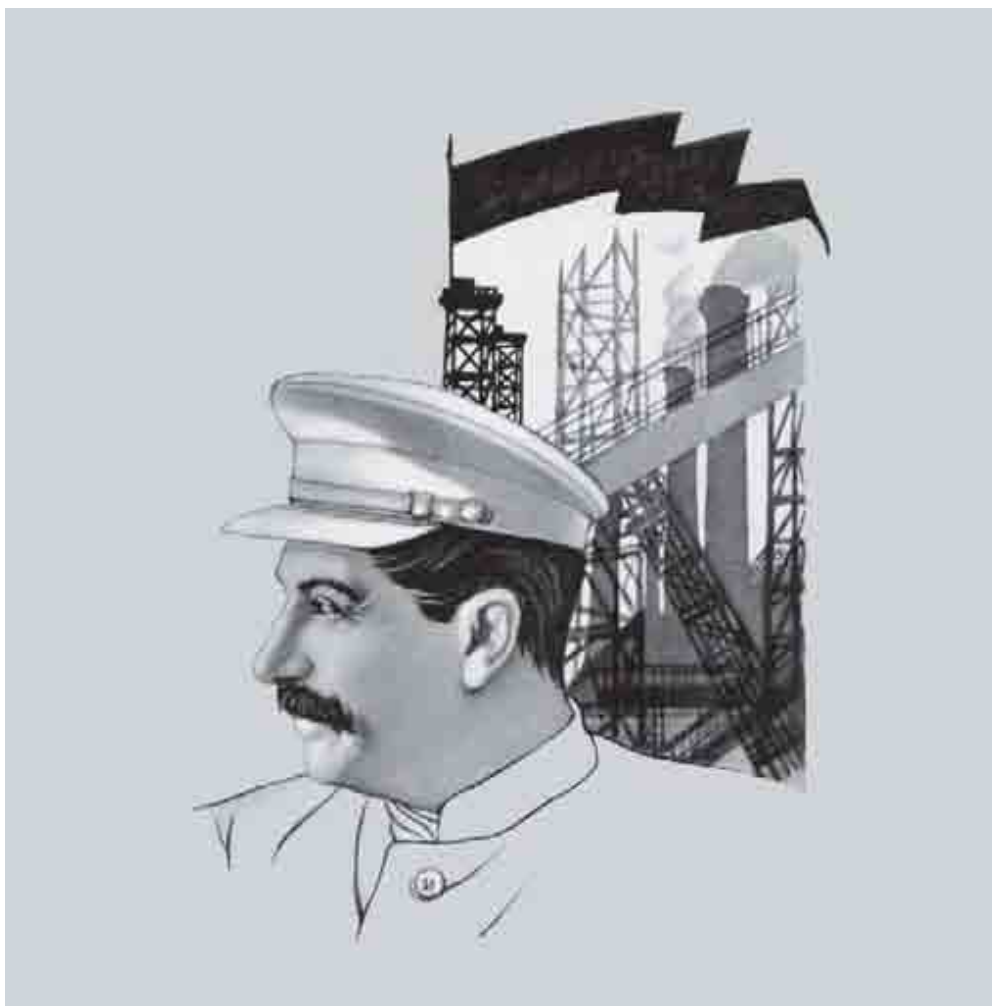
¹⁵ *Trzeba było ich złamać. Rozmowa z prof. Krystyną Heską-Kwaśniewicz, literaturoznawcą z Uniwersytetu Śląskiego. Rozmawiał Krzysztof Karwat, „Dziennik Zachodni” nr 56, 7 III 2003, s. 7.*

¹⁶ S. Starzyński, *op. cit.*, s. 10.

¹⁷ AP Katowice, KW PZPR Kat-301/IV/141, Protokół nr 10 ze wspólnego posiedzenia Egzekutywy KW PZPR i Prezydium WRN w Katowicach, odbytego w dniu 7 III 1953 r.

¹⁸ *Ibidem*, Protokół ze wspólnego posiedzenia Egzekutywy KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, odbytego w dniu 7 III 1953 r.

¹⁹ *Ibidem*.



no” o nadanie miastu jego imienia²⁰. Zdecydowano także o zmianie nazwy Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego i kopalni „Katowice”. Na koniec podjęto najbardziej chyba kuriozalną uchwałę. Mówiła ona, że „dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela całej postępowej ludzkości Józefa Stalina otoczyć pierwsze urodzone w mieście Stalinogrodzie dziecko płci męskiej jak najtroskliwszą opieką i dać mu takie wychowanie, aby stało się godnym realizatorem wielkich myśli i wskazań Józefa Stalina i żywym przykładem. Nowo narodzonemu chłopcu nadać imię Józef²¹. Trudno ustalić dokładnie, ilu było tych Józiołów. Jeden z nich to Zbigniew Andrzej Kędzior urodzony 9 marca 1953 r. w Stalinogrodzie. Urzędnicy postanowili nadać mu jeszcze jedno imię – Józef jako pierwszemu obywatelowi Stalinogrodu. W jego metryce w kwietniu 1953 r. perfidnie napisano, że czyni się to na wniosek ojca. Dopiero w listopadzie 1956 r. rodzina chłopaka mogła zrezygnować z narzuconego imienia.

²⁰ AP Katowice, Prezydium MRN Kat. 230, Protokół nr 10/53, s. 86.

²¹ *Ibidem*, Uchwała nr 10/108 Prezydium MRN w Katowicach z dnia 7 III 1953 r., s. 88.

Zmianie nazwy nadano duży wydzźwięk propagandowy, m.in. publikując „odpowiednie” artykuły na łamach lokalnej prasy. „Dziennik Zachodni” z 11 marca 1953 r. pisał: „Nazwy Stalinogród, województwo stalinogrodzkie wejdą nam w krew, staną się nieodłączną częścią naszego życia, zachowując jednak całą głębię swej nazwy. Być obywatelem Stalinogrodu, mieszkańcem województwa stalinogrodzkiego, to znaczy żyć po stalinowsku. To znaczy konsekwentnie wcielać w życie mądrą stalinowską naukę walki i zwycięstwa”²². Ta sama gazeta 13 marca 1953 r. zamieściła artykuł: *Dumna nazwa Stalinogród – to zaszczyt i zobowiązanie do coraz ofiarniejszej pracy dla Polski Ludowej*²³.

Zaraz po podjętych decyzjach, nie czekając na ich oficjalne zatwierdzenie przez sejm, Prezydium MRN wydało instytucjom, urzędom i zakładom pracy polecenie natychmiastowego uaktualnienia napisów na wszystkich tablicach, szyldach i drukach, zastępując poprzednią nazwę Katowice Stalinogrodem, województwo katowickie – stalinogrodzkim, ulicę Katowicką Stalinogrodzką²⁴.

Zmiana nazwy dokonana się tak szybko, że zaskoczyła mieszkańców. Dzieci w piątek szły do szkoły jeszcze w Katowicach, natomiast w poniedziałek szły do tej samej szkoły już w Stalinogrodzie. Ludzie wysiadający w poniedziałek na dworcu kolejowym zaskoczeni pytali – gdzie jesteście? Takich przypadków było więcej. Z polecenia władzy starano się zamazywać nazwę Katowice, zabroniono używać jej publicznie²⁵. W metrykach i innych oficjalnych dokumentach można było używać tylko nazwy Stalinogród, co często prowadziło do kuriozalnych sytuacji. Na przykład starszym ludziom, urodzonym przed I czy II wojną światową, pisano, że urodzili się w Stalinogrodzie. (W pierwszym przypadku obowiązywała nazwa Kattowitz, w drugim Katowice).

Rada Państwa wydała dekret zatwierdzający zmianę nazwy miasta i województwa. Wymagał on jednak zaaprobowania przez Sejm PRL. Do złożenia odpowiedniego wniosku w tej sprawie zmuszono postać z ramienia Stronnictwa Demokratycznego, śląskiego pisarza Gustawa Morcinka²⁶. Profesor Kazimierz Wyka był obecny na sali sejmowej i tak zapamiętał to wystąpienie: „Błady jak ściana Morcinek drętym głosem odczytał zresztą tekst tego huranazewnictwa, [...] głosowaliśmy wszyscy ze spuszczonej głowami (tu gest, wydobywającego z przykrością z pamięci tamtą scenę) [...] To był człowiek schorowany, zmęczony. Cóż miał robić? Co my mogliśmy zrobić? [...]”²⁷. Morcinek mówił o historii Śląska, o ciężkiej pracy ludu śląskiego, o walce z germanizacją. Tłumacząc, dlaczego Katowice pragną zmienić nazwę, twierdził, że jest to obok Nowej Huty i Gdyni najmłodsze miasto Polski, stolica Górnego Śląska. Tutaj w czasie wojny był ośrodek walki podziemnej i „tu Ślązak witał zwycięskie wojska towarzysza Stalina. Nic też dziwnego, że Śląsk, chowając w swym sercu głęboką wdzięczność dla towarzysza Stalina, to bohaterskie, młode miasto pragnęły przemianować na Stalinogród”²⁸.

²² *Nazwy drogie każdemu sercu*, „Dziennik Zachodni” nr 60, 11 III 1953, s. 1.

²³ „Dziennik Zachodni” nr 62, 13 III 1953, s. 2.

²⁴ *Komunikat prezydium MRN w Stalinogrodzie*, „Dziennik Zachodni” nr 64, 15–16 III 1953, dodatek „Świat i Życie”, s. 3.

²⁵ Podobno Leszek Moczulski, wówczas młody dziennikarz, został wyrzucony z pracy za to, że w swoim tekście przez pomyłkę użył nazwy Katowice.

²⁶ K. Heska-Kwaśniewicz, *Pisarski zakon. Biografia literacka Gustawa Morcinka*, Opole 1988, s. 166–168.

²⁷ Cyt. za: „Szelest mijanego czasu”. *Wspomnienia o Gustawie Morcinku*, wstęp i opracowanie Krystyna Heska-Kwaśniewicz, wybór materiału Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Halina Szotek, Cieszyn 1989, s. 90.

²⁸ *Sprawozdanie stenograficzne z posiedzenia Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 27 kwietnia 1953 r.*, łamy 248–249.

Jesienią 1956 r. na łamach lokalnej prasy Gustaw Morcinek próbował wytłumaczyć się ze swojego postępowania w okresie zmiany nazwy miasta. „W okresie tak zwanego »niemego sejmu«, »stalinizmu« i »beriowszczyzny« nakazano mi tylko zreferować z trybuny sejmowej dawno już u »góry« powziętą uchwałę przemianowania Katowic na Stalinogród. Dobrzy ludzie pomogli mi napisać piękne przemówienie, ja wygłosiłem je i na tym się skończyło. Do dzisiaj zaś nie wiem, kto właściwie był sprawcą tego przemianowania. Zreferowałem więc wtedy, jak umiałem wydukać z karteluszką, prasa owo zreferowanie wydrukowała i czytelnik nabrał przekonania, iż to ja jestem owym nieszczęsnym winowajcą. I już wtenczas, gdy z trybuny sejmowej wygłaszałem swoje przemówienie, przeżuwałem, że sięję wiatr, by zbierać burzę”²⁹.

Cała ta sprawa była bolesnym przeżyciem dla złamanego przez hitlerowskie obozy koncentracyjne pisarza, który uczynił to ze strachu o własne bezpieczeństwo, a być może i życie. Tak o tym pisał Gustaw Herling-Grudziński, który rozmawiał na ten temat z Morcinkiem. „Po latach w okresie »odwilży« spotkałem Morcinka w Wiedniu. Był człowiekiem złamanym. W PRL zrobiono go postem ze Śląska i wypchnięto na trybunę sejmową z »prośbą ludu śląskiego« o przemianowanie nazwy Katowic na Stalinogród. W Wiedniu zamęczał mnie prośbami o spisanie okoliczności tego wymuszonego na nim wniosku poselskiego, w imię »przekazania prawdy przyszłym pokoleniom«”³⁰.

Można się zastanawiać, dlaczego władze wybrały Morcinka do wygłoszenia tego przemówienia. Trudno powiedzieć, czy ma rację Krystyna Heska-Kwaśniewicz, twierdząc, że władze chciały go zniszczyć i upokorzyć³¹. Władze, same niezbyt przekonane do konieczności zmiany nazwy, wybrały najbardziej znanego w kraju pisarza śląskiego, aby całej sprawie nadać odpowiednią rangę. Jednocześnie był to człowiek „miękki”, złamany w czasie wojny przez obóz koncentracyjny. Czy mógł odmówić? W tym czasie wielu ludzi kultury spełniało „funkcje” usługowo-propagandowe na rzecz PZPR, „uwiarygodniając” w oczach narodu linię partii, jak np. Jarosław Iwaszkiewicz. Morcinek nie był więc tutaj wyjątkiem.

Wojewódzki i Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Stalinogrodzie wiele uwagi poświęcał nastrojom społecznym związanym ze zmianą nazwy miasta Katowice na Stalinogród. Wydaje się, że nie miano złudzeń co do prawdziwych nastrojów mieszkańców miasta i przypadki niezadowolenia skrupulatnie notowano, starając się zniszczyć lub przynajmniej zneutralizować „wroga klasowego”. Odnotowano wiele wypowiedzi potępiających zmianę nazwy³².

Najgłośniejsza była sprawa uczennic Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej-Curie: Natali Piekarskiej (lat 16), Barbary Galas (lat 17) i Zofii Klimondy (lat 16), które wydrukowały i rozrzuciły na ulicach miasta ulotki protestujące przeciwko zmianie na-

²⁹ G. Morcinek, *Kto wymyślił Stalinogród*, „Przemiany” 1956, nr 9, cyt. za: K. Heska-Kwaśniewicz, *op. cit.*, s. 180.

³⁰ G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1984–1988*, Warszawa 1990, t. 1, s. 115.

³¹ K. Heska-Kwaśniewicz, *op. cit.*, s. 166–168.

³² „W narodzie naszym są jednostki pozbawione czci i wiary, gotowi każdą narodową tradycję sprzedać, aby tylko w oczach panów Moskwy zasłużyć na względy. Przemianowanie miasta Katowice na Stalinogród jest dalszym ogniwem w łańcuchu faktów, że nie jesteśmy państwem i narodem demokratycznym, potwierdza to sama forma i warunki, w jakich powzięli tę decyzję. Mogę pana zapewnić – mówił figurant do informatora – droga, jaką obrała propaganda komunistyczna, jest drogą błędną i nie odniesie sukcesów wśród robotników polskich, czeskich czy niemieckich”. IPN Ka 0103/103, t. 2, cz. 1, Sprawozdanie miesięczne WUBP w Stalinogrodzie za okres 1–31 III 1953, b.p.

zwy Katowic na Stalinogród³³. Najpierw w nocy z 9 na 10 marca 1953 r. na słupach ogłoszeniowych i murach rozklejono sześć plakatów o rozmiarach 60 na 70 cm. Były pisane drukiem. W nocy z 10 na 11 marca rozrzucono około 100 ulotek. Były one pisane drukarką ręczną na białym papierze o rozmiarach 4 na 10 cm. Podobne ulotki rozrzucone zostały 14, 16, 17 i 18 marca. W sumie rozrzucono 195 ulotek. Protestowano w nich przeciwko zniewoleniu Polski przez ZSRR i zmianie nazwy miasta³⁴. Tak o tym pisała po latach Natalia Piekarska: „Uzgodniłyśmy między sobą – Basia, Zosia i ja, że trzeba coś zrobić. Albowiem na oczach wszystkich ludzi w błyskawiczny sposób zacierała była nazwa Katowice [...] Nie możemy być na to obojętne. Nie możemy milczeć. Musimy reagować. Postanowiłyśmy, że trzeba się odezwać. Przypomnieć ludziom, że Katowice to Katowice, a nie Stalinogród! [...] I tak zaczęłyśmy wspólnie, czcionkami z drukarenki dziecięcej i na wypożyczonej maszynie do pisania, produkować ulotki na pociętych kartkach papieru. Rozrzuciłyśmy je kilka razy po Chorzowie i przyległych miastach. Podkładaliśmy pod wycieraczki znanym nam panom z milicji i bezpieczeństwa. Na stołach w barach i pod nakryciami stołowymi w chorzowskich restauracjach. Rozsypałyśmy w tramwajach i na cmentarzu, przed budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa, który znajdował się niedaleko naszego liceum. Rozkleiłyśmy plakaty. Farbą i kredą na murach pisałyśmy: »Precz ze Stalinogrodem«, »Komuna to zaraza«, »Śmierć komunie«, »Górnicy nie dajcie potu wyciskać z siebie« itp.”³⁵ Dziewczyny aresztowane przez UB przeszły ostre śledztwo, były bite, a następnie sądzone przez Sąd Wojewódzki w Stalinogrodzie w czerwcu 1953 r. Najstarsza z nich, Barbara Galas, została skazana na cztery lata więzienia, natomiast Natalia Piekarska i Zofia Klimonda zostały umieszczone w zakładzie poprawczym³⁶.

27 września 1956 r. „wychodząc naprzeciw” oczekiwaniom społecznym, na nadzwyczajnym posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR zdecydowano się zwrócić do KC PZPR z prośbą o przywrócenie miastu starej nazwy. Działania te umożliwiły decyzje administracyjne i 21 października 1956 r. na wspólnym posiedzeniu Prezydium Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej uchwały wniosek do Rady Ministrów postulujący przywrócenie miastu nazwy Katowice oraz województwu stalinogrodzkiemu – nazwy województwo katowickie³⁷.

Cała procedura zmiany nazwy trwała jednak długo. Władzom nie spieszyło się tak jak w marcu 1953 r. Dekret w sprawie przywrócenia nazwy wydano dopiero 10 grudnia 1956 r., a zatwierdzono po trzech miesiącach. Dokonał tego Sejm PRL 22 marca 1957 r.³⁸

Władze partyjne i miejskie nie czekały jednak na formalną zgodę Warszawy i już w październiku 1956 r. zaczęły używać nazwy „Katowice”.

³³ AIPN Ka 0103/103, t. 2, cz. 1, Sprawozdanie kierownictwa WUBP w Katowicach adresowane do ministerstwa MBP w Warszawie, Sprawozdanie za okres 1–31 III 1953 r., s. 3.

³⁴ *Ibidem*, s. 141.

³⁵ N. Piekarska-Poneta, *Byłam nie tylko na Mikołowskiej*, Rybnik 1996, s. 18.

³⁶ *Ibidem*, s. 24.

³⁷ AP Katowice, Prezydium WRN w Katowicach, 1620; *ibidem*, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Katowicach, 292.

³⁸ *Sprawozdanie stenograficzne z 5 posiedzenia Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*, 22 III 1957 r., Warszawa 1957, s. 49.

ŻONA SILNIEJSZA OD UB

Kierownicze stanowiska w Urzędach Bezpieczeństwa w pierwszym okresie po wyzwoleniu obejmowały niekiedy całkiem przypadkowe osoby. Wiązało się to często z faktem krótkotrwałego sprawowania funkcji i odwołaniem z zajmowanego stanowiska. Jednak w przypadku Józefa Kuli, który został zastępcą szefa Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sosnowcu w 1945 r., nieoczekiwane były także motywy odejścia z pracy w organach bezpieczeństwa.

Józef Kula urodził się 24 lutego 1911 r. w Abramowie w powiecie lubartowskim w województwie lubelskim. Ojciec Józefa, Michał, posiadał zaledwie trzy morgi pola i aby utrzymać żonę oraz siedmiorgo dzieci, wynajmował się do pracy w majątkach bogatszych gospodarzy. Już w okresie szkolnym Józef Kula odkrył w sobie zamiłowanie do muzykowania, a zwłaszcza do gry na harmonii. Z tą ostatnią związane było pierwsze popełnione przez niego „przestępstwo”. Zdając sobie sprawę z mizernego stanu finansowego rodziny, odważył się zwrócić do ojca z prośbą o kupno używanej harmonii, której sprzedaż oferował jeden z mieszkańców sąsiedniej wsi. Jego prośba spotkała się z odmową, więc Józef podkradł ojcu zaoszczędzone pieniądze. Kupił instrument, ale w obawie przed karą przez trzy kolejne dni ukrywał się i nie wracał do domu.

Do siedemnastego roku życia Kula sam uczył się grania na instrumentach. Jego marzeniem pozostawało wszakże ukończenie profesjonalnego kursu, toteż wszelkie zarobione pieniądze odkładał na opłacenie przyszłych lekcji muzyki. Zacięcie Kuli było tak wielkie, że wkrótce ukończył sześciomiesięczny kurs muzyczny w odległym o siedem kilometrów Miechowie, do którego podążał codziennie piechotą. Dodajmy, że kurs ten wraz z ukończonymi pięcioma klasami szkoły powszechnej były jedynym wykształceniem zdobytym przez przyszłego funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa.

W 1932 r. Kula ożenił się z Julią Marcówną z nieodległej wsi Sobolew, gdzie oboje zamieszkali. Rok później, w 1933 r., Józefa powołano do odbycia zasadniczej służby woj-



Fot. z archiwum IPN w Katowicach

Józef Kula

skowej. Został skierowany do 45. Pułku Strzelców Kresowych w Równem na Wołyniu, gdzie trafił do służby w łączności. Po opuszczeniu armii w 1934 r. Kula wrócił do domu. Z uzyskanymi od brata żony pieniędzmi – ze spłaty majątkowej – ruszył na poszukiwanie gospodarstwa, na którym mogliby osiedzieć razem z żoną. Kupił w Sobolewie jednohektarowe gospodarstwo. Wkrótce rozpoczął budowę domu z pieniędzy zarobionych na muzykowaniu. W 1938 r. otworzył także we wsi mały sklep.

W obliczu zagrożenia Polski agresją niemiecką w połowie sierpnia 1939 r. Kula został zmobilizowany do 45. Pułku Strzelców Kresowych w Równem, skąd następnie został z całą jednostką przetransportowany do Bydgoszczy. W chwili rozpoczęcia działań wojennych oddział przetransportowano pod Tomaszów Mazowiecki, gdzie wziął udział w walkach. Dywizja Józefa Kuli została częściowo rozbita, a on w trakcie wycofywania zgubił swoją jednostkę. Na własną rękę dotarł do Dębłina, gdzie miano odtwarzać struktury 13. Dywizji. Na miejscu okazało się, że postępujący szybko front uniemożliwiał odtworzenie formacji, i na kolejne miejsce reorganizacji jednostki wyznaczono Lublin. Ponieważ przemieszczanie rozbitych oddziałów odbywało się indywidualnie, Kula w drodze do Lublina wstąpił do rodzinnej wsi. Po dotarciu do Lublina okazało się, że dywizja Kuli formowała się w Chełmie. Po odtworzeniu jednostki przetransportowano ją do obrony Tomaszowa Lubelskiego, gdzie po kilkudniowych walkach została doszczętnie rozbita. Żołnierze dywizji w obliczu porażki zaczęli samodzielnie poszukiwać schronienia. Kula, który mieszkał zaledwie 40 kilometrów od miejsca walk, postanowił przedostać się do domu, unikając pójścia do niewoli. Przez osiem dni ukrywał się on u jednego z gospodarzy nad Wieprzem. Gdy obsada niemieckich posterunków pilnujących przepraw na rzece zmniejszyła się do tego stopnia, że można było bezpiecznie przedostać się na drugi brzeg, Kula podjął wędrowkę do domu w cywilnym ubraniu, uzyskanym od wspomnianego gospodarza.

Po powrocie do domu ukrywał się jeszcze przez jakiś czas, do momentu, gdy okazało się, że Niemcy nie aresztują żołnierzy wracających z frontu do domów. W okresie okupacji utrzymywał rodzinę ze swego niewielkiego gospodarstwa oraz z pieniędzy zarabianych na muzykowaniu. 20 lutego 1943 r. na jego dom napadła, według słów Kuli, „grupa terrorystyczna” żądająca wydania broni, którą miał rzekomo przywieźć z sobą z kampanii wrześniowej. Ponieważ Kula zaprzeczył, że posiada broń, został dotkliwie pobity. Jak twierdził Kula, napastnicy posunęli się nawet do tego, że aby go zastraszyć, pognali go w pole i kazali wykopać dół, w którym miał być zastrzelony. Z powodu panującego mrozu, utrudniającego kopanie, nie był w stanie wykonać polecenia, dlatego ostatecznie sprawcy zaniechali dalszego prześladowania i odeszli, nakazując mu milczenie. Kilka miesięcy później, w czerwcu 1943 r. Kula, wychodząc rano w pole, zastał w swoim zbożu zasobnik zrzucony na spadochronie. Ponieważ sam nie był w stanie zabrać zrzutu, udał się po pomoc do szwagra. Po powrocie okazało się jednak, że zasobnik zniknął. Jeszcze tego samego dnia u Kuli zjawili się akowcy, którym doniesiono, że przy zaginionym zrzucie widziano właśnie jego i w związku z tym został oskarżony o jego zabranie. Tylko przypadkowe spotkanie kobiety, która dostrzegła faktycznych sprawców zabrania zrzutu, uchroniło Kulę przed następstwami takiego oskarżenia. Jeszcze tego samego wieczoru w pobliżu wsi doszło do potyczki oddziałów partyzanckich AK i GL o wspomniany zasobnik. Okupacyjne kontakty Kuli z polskim podziemiem nie pozostawiły u niego w związku z tą historią miłych wspomnień.

Wraz z nadejściem wyzwolenia, w czerwcu 1944 r. Kula zapisał się do PPR, a w sierpniu wstąpił do MO w Lubartowie, gdzie objął funkcję komendanta warty. W milicji pracował tylko do połowy września 1944 r., kiedy to został przeniesiony do Powiatowego Urzędu

Bezpieczeństwa Publicznego w Lubartowie na stanowisko początkowo wywiadowcy, a następnie komendanta gmachu. W grudniu 1944 r. awansował na referenta sekcji I tego urzędu. W połowie stycznia 1945 r. Kula znalazł się w grupie operacyjnej, która 17 stycznia 1945 r. rozpoczęła organizowanie MUBP w Kielcach; objął tam funkcję referenta personalnego. Po tygodniu służby, 25 stycznia, został postrzelony przez poszukiwanych Niemców w trakcie rewizji domu, w którym się ukrywali. Mimo odniesionej rany już 29 stycznia Kulę przeniesiono do Sosnowca, aby tam włączył się w działania przy tworzeniu MUBP. We wrześniu 1945 r. jego przełożony stwierdził, że „ob. Kula Józef na stanowisku referenta personalnego okazał się jako sumienny i wartościowy pracownik. Jest zrównoważony i stanowczy, do ludzi podchodzi z taktem, jest przez pracowników lubiany i poważany”. Miesiąc później dodał jeszcze: „Kula Józef rokuje na przyszłość dobrą nadzieję i nadaje się na samodzielne stanowisko”. Z taką charakterystyką Józef Kula od połowy września 1945 r. objął stanowisko zastępcy szefa MUBP w Sosnowcu.



Fot. z archiwum IPN w Katowicach

12 kwietnia 1946 r. wychwalany przez zwierzchników Kula nieoczekiwanie złożył w WUBP w Katowicach prośbę o zwolnienie z pracy w organach bezpieczeństwa, o zdumiewającej treści: „Ja, Kula Józef, funkcjonariusz Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sosnowcu, zwracam się z prośbą do Szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach o zwolnienie mnie z pracy. Prośbę swoją motywuję tym, że już nie mogę dłużej usprawiedliwiać się mojej zazdrosnej żonie, która codziennie ze mną walczy i zarzuca mi, że pracuję razem z kobietami w urzędzie, mając na myśli zdradzanie jej, ta walka pomiędzy nami już trwa od czerwca 1945 r., od tego czasu kiedy ją sprowadziłem do Sosnowca, a to, jak ja przyjdę parę minut później na obiad czy po dziennej pracy do domu, to wystarczy mi tego słuchania, co mi wygaduje i zarzuca, przekonuję ją już dziewięć miesięcy, jednak nie ma żadnego zrozumienia z jej strony, mówię jej że praca w Bezpieczeństwie to nie w magistracie ani w fabryce, że u nas nie można patrzeć na zegarek, że już pierwsza czy osiemnasta, jak trzeba pracować też dwie doby bez przerwy, z agenturą nie mogę w ogóle pracować, bo nie mogę chodzić na spotkania agenturalne, [żona] idzie za mną ślad w ślad, gdzie ja pójdę, czy czasami nie do kobiet, tak mam tego wszystkiego tyle, że nawet nie mogę sobie w głowie swoich myśli skupić i uporządkować, co mam robić, pomimo że jestem oddany w pracy po tej linii już od młodych lat, wobec tego mam dwie córki, bez których nie mogę żyć, bo mi są najmilsze, które [żona] chce zabrać ze sobą i odjechać do Lubelskiego do swojej rodziny, a ja nie mogę żyć samotny na starość¹. Uprzejmie proszę Szefa Urzędu o przychylne rozpatrzenie mojej prośby”. Na marginesie podania pojawiła się także adnotacja szefa urzędu sosnowieckiego, proszącego o rozpatrzenie sprawy, potwierdzającego sytuację i określającego żonę Kuli

¹ W momencie składania prośby Józef Kula miał 35 lat.

mianem histeryczki. Najwyraźniej jednak reakcja władz wojewódzkich UB nie była zbyt szybka, gdyż dwa miesiące później, 12 czerwca, Kula ponowił wniosek o zwolnienie: „Ja Kula Józef funkcjonariusz MUBP w Sosnowcu po raz drugi proszę o zwolnienie mnie z pracy, prośbę swoją motywuję tym jak poprzednio, że już mi się sprzyrzyło walczyć ze swoją zazdrosną żoną, która stale ubliża mi, że mam jakieś kochanki, gdzie wyjadę w sprawie służbowej albo zatrzymam się dłużej w urzędzie, jak przyjdę do domu, to prowadzi ze mną walkę, że byłem u jakiejś kobiety o czym ja i nie myślę, co wpływa na mnie to wygadywanie i doprowadza do większej choroby nerwowej, którą posiadam i czuję się bardzo słabo umysłowo, które to utrudnia mi pracę w tej dziedzinie, jestem flegmatycznym i mało rozwiniętym w mowie, nie umiem się wypowiedzieć z energią, jak się zorientowałem, z przyczynami trudności w pracy nie jestem w stanie wywiązać się należycie z obowiązków, które mam wykonywać, do tego jeszcze jestem chory na płuca, lekarz przyznał mi, żebym prowadził sobie lepsze odżywienie, na które nie mogę sobie pozwolić materialnie z powodu tego, że mam trzy osoby na utrzymaniu, zaznaczam, że na tym stanowisku, które zajmuję, nie jestem zatwierdzony. Uprzejmie proszę Naczelnika wydz[iału] personalnego WUBP o przychylne załatwienie mojej prośby”. Dwa tygodnie później zwierzchnik Kuli w MUBP w Sosnowcu nadesłał szefowi WUBP w Katowicach następującą charakterystykę jego osoby: „[...] Jest to człowiek b[ardzo] cichy, uczciwy, obowiązkowy i punktualny. Jednak na stanowisko z[astę]pcy szefa nie nadaje się, a to ze względu, że nie zna pracy operatywnej”.

Ponieważ w dalszym ciągu z WUBP nie nadchodziła wiążąca decyzja, 7 lipca 1946 r. zdesperowany Kula ponowił podanie, rozszerzając motywy prośby o zwolnienie: „Uprzejmie proszę o przyśpieszenie mojego zwolnienia, ponieważ zależy mi na zbiorach z pola zbóż, żniwa już blisko, ja napisałem list, żeby dzierżawca nie zbierał z pola zboża, jak nie będę wcześniej zwolniony, może mi się zboże zepsuć”. W kolejnym piśmie do WUBP 4 września pisał: „[...] Proszę [...] o przyśpieszenie mojego zwolnienia, ponieważ zbliża się zima, a ja jestem w zamiarze szukać gospodarstwa na zachodzie, obawiam się, że później nie będę miał środków do życia, a chciałem zabezpieczyć się na zimę. Spodziewam się, że już jest moje zwolnienie z pracy w WUBP w Katowicach dlatego, że miałem otrzymać skórę na buty, a teraz została mi zatrzymana dlatego, że mam być zwolniony. Za dwa lata mojej pracy nie zaoszczędziłem sobie na buty [...]”. Nadzieje wynikające z powyższych przesłanek okazały się jednak płonne. Kiedy w dalszym ciągu, mimo zmiany argumentacji, nie było reakcji władz zwierzchnich, 10 września napłynęło kolejne pismo Kuli: „Ja Kula Józef, pracownik MUBP w Sosnowcu na stanowisku z[astę]pcy szefa, proszę uprzejmie o rozpatrzenie moich podań, które pisałem już trzykrotnie i żadnych rezultatów nie otrzymałem, a co dzień to dochodzi do większej walki z moją zazdrosną żoną, proszę sobie wyobrazić, ile ja potrzebuję mieć nerw, żebym mógł znieść te zarzuty, które na mnie rzuca moja żona, ja nie mogę pracować ani też informatora obsłużyć, bo mam z żoną grandę, że chodzę do kobiet, ja długo nie wytrzymam w takich warunkach życia, ponieważ już czuję się chory na umyśle. Proszę ob. Szefa o przychylne załatwienie moich podań, i zwolnienie mnie z pracy w UB”. Pod pismem znalazła się następująca opinia szefa MUBP: „Przyczyniam się do prośby ob. Kuli i potwierdzam, że wyżej wymieniony ma co dzień to większe kłopoty ze swoją żoną i przez to w ogóle nie może pracować. Żona jego nie chce o tym wiedzieć, że on zostanie parę godzin dłużej w pracy. To wszystko już wyszło ob. Kuli poza granice nerwów i z tego ja śmiem twierdzić, że mogą być jakieś przykre następstwa. Przeto proszę ob. Szefa WUBP o jak najszybsze załatwienie tej prośby. I dania zastępcy drugiego, gdzie praca musi wziąć lepszy rozmach”.

Na podstawie zachowanych dokumentów można stwierdzić, że w lipcu 1946 r. szef WUBP w Katowicach podjął działania prowadzące do odwołania Kuli z zajmowanego stanowiska i wystosował odpowiedni wniosek do MBP. W piśmie tym ówczesny szef WUBP w Katowicach Józef Wargin-Słomiński poparł prośbę o zwolnienie Józefa Kuli, motywując ją następująco: „w charakterze zastępcy szefa nie nadaje się z powodu braku znajomości w pracy operatywnej, braku energii i samodzielności”. Faktyczne powody, z którymi występował o zwolnienie Kula, nie znalazły się w korespondencji do ministra BP. W odpowiedzi na wniosek szefa WUBP o zwolnienie Kuli z ministerstwa nadeszło w sierpniu 1946 r. odpowiedź, w której władze centralne uchylały się od działania, uzasadniając to faktem oficjalnego braku zatwierdzenia Józefa Kuli na piastowanym stanowisku. Kwestię decyzji o zwolnieniu Kuli z zajmowanego stanowiska przekazano szefowi WUBP w Katowicach. Po kilkumiesięcznych zabiegach Józef Kula uzyskał wreszcie upragnione zwolnienie z pracy w resorcie bezpieczeństwa z dniem 1 listopada 1946 r.

W świetle dokumentów zamieszczonych w aktach osobowych nie można odtworzyć dalszych losów Józefa Kuli. Jedynym śladem jest korespondencja z 1955 r., w której Komitet Powiatowy PZPR zwraca się do Urzędu Bezpieczeństwa w Lubartowie o charakterystykę Józefa Kuli w okresie służby w organach bezpieczeństwa. Podobne pismo napłynęło z Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Stalinogrodzie do WUds.BP w Stalinogrodzie. Do czego potrzebne były te informacje, nie wiadomo.

Przykład Józefa Kuli, a konkretnie sytuacji, która zmusiła go do starań o odejście z pracy w aparacie bezpieczeństwa, jest jednostkowy. Na kilkudziesięciu szefów urzędów bezpieczeństwa w województwie śląskim w latach 1945–1946 zdarzały się przypadki rezygnacji z pracy, ale najczęściej miały one charakter dyscyplinarny i były podejmowane przez kierownictwo WUBP w Katowicach w celu przeciwdziałania pijaństwu, defraudacjom mienia, kradzieżom i innym tego typu nadużyciom, kompromitującym organy bezpieczeństwa. Za ledwie kilka osób w tym czasie odeszło z funkcji kierowniczych na własną prośbę. W żadnym jednak z tych przypadków motywy odejścia nie były tak sugestywne jak w przypadku Józefa Kuli, który jako powód całej zaistniałej sytuacji wskazał problemy małżeńskie.

Powyższy tekst został opracowany na podstawie dokumentów zawartych w aktach osobowych Józefa Kuli, AIPN Ka, 0193/355.

ZANIM NADSZEDŁ SIERPIEŃ

Podobno kiedy I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach – Zdzisław Grudzień – dowiedział się, że w prywatnym mieszkaniu mieszczącym się w jednej z kamienic położonych parę przecznic od jego partyjnej siedziby Kazimierz Świtoń utworzył w lutym 1978 roku niezależny Komitet Pracowniczy Wolnych Związków Zawodowych, na kilka miesięcy stracił humor i dostał z tego powodu zawału. Nawet jeśli potraktować powyższą informację jako rodzaj przerysowanej anegdoty, można przyjąć, że przedstawiciele partyjnego establishmentu Katowic rzeczywiście poczuli się nieswojo na wieść o powołaniu do życia tuż „pod ich nosem” związkowej organizacji.

Oznaczało to bowiem, że zrobiono to bez ich wiedzy i pozwolenia, a takie rzeczy nie zdarzały się dotychczas i nie miały – w ich mniemaniu – prawa zdarzyć się na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Ponadto, a może przede wszystkim, niepokoił ich fakt, że powołując do życia Wolne Związki Zawodowe, Świtoń zrobił to jako pierwszy w Polsce i jego przykład mógł pociągnąć innych. Gdyby tak się stało, region uchodzący dotychczas praktycznie za wolny od „zarazy”, za jaką uznawano rozwijającą się szczególnie po wydarzeniach czerwca 1976 roku demokratyczną opozycję na czele z KOR i ROPCiO, stałby się epicentrum, z którego niebezpieczna idea niezależnego od władz pracowniczego samorządu promieniowałaby na kraj. Było więc nie do przyjęcia, ażeby województwo posiadające największą w Polsce organizację partyjną, na której czele przez kilkanaście lat (1957–1970) stał późniejszy I sekretarz KC PZPR Edward Gierek, stało się wylęgarnią „antysocjalistycznych elementów” i propagowanych przez nie idei.

Śląska lokomotywa

Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie były ważne dla władz nie tylko ze względów prestiżowych, stanowiły one obszary o znaczeniu strategicznym dla gospodarki narodowej. Tutejsze kopalnie, huty, elektrownie i zakłady przemysłowe niczym potężna lokomotywa miały pchać ją do przodu, odgrywając w ten sposób kluczową rolę w rozwoju ekonomicznym kraju. Stąd też ogromną wagę przywiązywano do tego, by w porę skutecznie zapobiegać rozwojowi niezależnych inicjatyw i ruchów społecznych w województwie. Mogły one bowiem zaburzyć pieczołowicie utrzymywany porządek rzeczy i przyczynić się, jak mniemano, do rozregulowania wyznaczonego tutejszemu przemysłowi „rozkładu jazdy”. Żeby tak się nie stało, czuwała m.in. SB oraz milicja. Ta ostatnia słynęła w województwie z wyjątkowej brutalności. Jednak dla zachowania odpowiedniej „kondycji” regionu, obok przystawionego kija, stosowano także marchewkę. Śląskie i zagłębiowskie załogi wyróżniano chociażby wyższymi od krajowych zarobkami. W zamian za takie traktowanie miały być one przede wszystkim lojalne wobec „przewodniej siły”, ufać jej i realizować kolejne, nakładane przez najwyższe kierownictwo partyjne plany i zobowiązania. Na krytykę i dochodzenie swoich praw i racji nie było miejsca, skoro władza wiedziała lepiej, co gryzie pracownicze społeczności, i w swoim mniemaniu w sposób najbardziej pełny ich bolączki rozwiązywała.

Spokojny region

Takie zarządzanie województwem w dużej mierze przyczyniło się do tego, że w okresach społecznych kryzysów, jakie co pewien czas wstrząsały krajem, region ten należał do najspokojniejszych. Jeśli nawet coś się w Katowickim działo, to było tego niewiele. „Złe”, które przychodziło tu z zewnątrz, z innych ośrodków, dzięki odpowiedniej polityce władz i represjom bezpieczeństwa nie ostawało się na długo. Ostatnie większe poruszenie społeczne miało tu miejsce w 1968 roku, kiedy to młodzi ludzie, studenci wyższych uczelni i uczniowie szkół średnich, wsparci przez swoich rówieśników pracujących w śląskim przemyśle, wyszli na ulice, wyrażając w ten sposób solidarność ze studentami Warszawy. Marcowy bunt szybko jednak uciszono przy użyciu pałek, strumieni wody, szkolonych psów, stosując relegowanie z uczelni, a także szantaż wobec rodziców buntowników. W ten sposób, parafrazując słowa Gierka, zmącona śląska woda szybko się ustała. W grudniu 1970 roku, kiedy na Wybrzeżu krwawo pacyfikowano robotniczą rewoltę, na jej spokojnej powierzchni pojawiły się jedynie niewielkie, pojedyncze kręgi.

Za takie można bowiem uznać zaburzenia i przerwy w pracy w kilku zakładach województwa, będące wyrazem sprzeciwu wobec posunięć rządu i solidarności z pracownikami Gdańska, Gdyni czy Szczecina, czynnie przeciwstawiającymi się władzy. Równie spokojnie było latem 1976 roku, kiedy robotnicy Radomia, Ursusa i Płocka wystąpili przeciwko wprowadzonym przez rząd kolejnym, tym razem jeszcze bardziej drastycznym niż w 1970 roku podwyżkom cen. Nie doszło wówczas do zdecydowanych protestów. Natomiast partyjne władze województwa szybko zorganizowały całą serię masówek i wieców, stanowiących pokaz rzekomego poparcia pracowniczych środowisk Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego dla najwyższego kierownictwa i zarazem wyraz szczerego oburzenia „ludzi dobrej roboty” na „radomskich warchotów”. Imprezy te, nagłaśniane przez oficjalną propagandę, w znacznym stopniu przyczyniły się do tego, że społeczeństwu regionu przyprawiona została swoista „gęba”, a przez mieszkańców innych części Polski Ślązacy postrzegani byli jako ci, którzy „trzymali z władzą” i byli jej powolni w imię własnych przyziemnych interesów.



Fot. Janusz Krzyżewski/Ośrodek KARTA

Kazimierz Świtoń, podczas spotkania Rady Sygnatariuszy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w mieszkaniu Kazimierza Janusza. Warszawa, listopad 1979 r.

Pęknięcie w murze

W takich warunkach próby rozwinięcia w województwie katowickim działalności opozycyjnej okazywały się przedsięwzięciami niezwykle trudnymi do realizacji. W województwie nie udało się praktycznie zaktywizować szerszych środowisk związanych z KOR czy ROPCiO. Można było jedynie mówić o pojedynczych osobach, które zdecydowały się podjąć rzeczywistą współpracę z tymi dwoma nurtami opozycyjnymi. Jedną z takich osób był Kazimierz Świtonia. W maju 1977 r. ten elektromechanik, prowadzący w swoim mieszkaniu przy ul. Mikołowskiej w Katowicach mały zakład naprawy telewizorów, przyłączył się dobrowolnie do zorganizowanego przez KOR w kościele św. Marcina w Warszawie protestu głodowego przeciwko więzieniu członków i współpracowników Komitetu. Dzięki udziałowi w głodówce nazwisko Świtonia stało się na tyle głośne, że zaczęły się z nim kontaktować osoby w różnym stopniu pokrzywdzone przez władze oraz te, które gotowe były zaangażować się w działalność opozycyjną. Pomimo współpracy z korowcami oraz kolportowania w regionie wydawanej przez Komitet niezależnej prasy, Świtonia związał się ostatecznie z ROPCiO, organizując w swoim mieszkaniu Punkt Konsultacyjno-Informacyjny Ruchu. Katowicki PKI funkcjonował podobnie jak jego odpowiedniki tworzone w innych miastach. Odgrywał rolę jednoosobowego terenowego biura Ruchu, stanowiąc jednocześnie istotne ogniwo w organizowanej przez ROPCiO ogólnopolskiej sieci kolportażu wydawnictw bezdebitowych. Do mieszkania Świtonia zaczęły zgłaszać się osoby pokrzywdzone przez władze i szukające pomocy w nierównej walce o sprawiedliwe zadośćuczynienie własnym krzywdom. Spotkania przyciągały także ludzi kontestujących w różnym stopniu ówczesny system społeczno-polityczny. W ten sposób utworzony przez Świtonia punkt stał się w gruncie rzeczy wspólną platformą, niezależną enklawą pokrzywdzonych i niezadowolonych. W województwie katowickim, podobnie jak w całym kraju, było ich wielu, ale na udział w spotkaniach u Świtonia zdecydowało się tylko kilka osób. Jak na śląskie warunki było to i tak swoiste „pęknięcie w murze”.

Szykanowanie Świtonia

Prowadzona przez Świtonia działalność ściągnęła na niego szereg różnorodnych represji. Od czasu udziału we wspomnianym strajku głodowym w Warszawie nieustannie pozostawał w kręgu zainteresowania katowickiej SB. Jego mieszkanie objęto stałą obserwacją, a pod koniec lipca 1977 r. zainstalowane zostały w nim urządzenia podsłuchowe. W celu zmuszenia Świtonia do zaprzestania uprawiania „antysocjalistycznej propagandy” podjęto m.in. trwającą kilka miesięcy kombinację operacyjną, której efektem miało być pozbawienie go koncesji na prowadzenie działalności usługowej. Kluczową rolę odgrywały w niej osobowe źródła informacji. Wytypowane przez oficerów SB osoby zgłaszały u Świtonia usterkę sprzętu RTV. Po wykonaniu naprawy występowały do Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta oraz Cechu Rzemiosł Różnych w Katowicach ze skargami na „nieuczciwego rzemieślnika”, który świadczy usługi w sposób pozostawiający wiele do życzenia. Sprawę „nierzetelnego elektromechanika” starano się odpowiednio nagłośnić, m.in. poprzez szkalujący go artykuł zamieszczony w lokalnej prasie. Szykany nie ominęły również członków najbliższej rodziny Świtonia. Przykładowo, w wyniku działań operacyjnych SB jeden z jego synów, ubiegający się o przyjęcie na Wydział Fizyki Uniwersytetu Śląskiego, nie został dopuszczony do egzaminów ustnych. Z kolei jedenastoletnia córka, uczennica jednej z katowickich podstawówek, została publicznie skarcona przez dyrektorkę placówki za to, że „przynosi wstyd szkole, bo za nią chodzi milicja i wypytuje o jej zachowanie”.



12 maja 1980 r., uczestnicy głodówki w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, w parafii ks. Leona Kantorskiego.

Pierwszy rząd: Kazimierz Janusz, Jan Karandziej, Kazimierz Świton (oznaczony strzałką), Seweryn Blumsztajn, Renata Ołoińska, Sergiusz Kowalski, Aleksandra Sarata; drugi rząd: Krystyna Iwaszkiewicz, Bronisław Wildstein, Aleksander Hall, Ryszard Krynicki, ks. Tadeusz Stokowski, Lesław Małeska, Mariusz Wilk, Jarosław Broda, Tomasz Burek; trzeci rząd: Jacek Kuroń,

Wiesław Parchimowicz (schowany), Jerzy Godek, Leszek Budrewicz, Wiesław Kęćik, Róża Woźniakowska. Głodówka odbyła się w dniach 7–17 maja w intencji uwolnienia i solidarności z więzionymi Mirosławem Chojeckim i Dariuszem Kobzdejem (odbywającymi głodówkę protestacyjną w aresztach), a także pozostałymi więzionymi: Andrzejem Czumą, Bogdanem Grzesiakiem, Tadeuszem Kolano,

Janem Kozłowskim, Romanem Kściuczkiem, Anatolem Lawing, Tadeuszem Szczudłowskim, Edmundef Zadrożyńskim

Grono wytrwałych

Pomimo wzrastających trudności Świtoń nie zaprzestał prowadzenia dyżurów w ramach PKI. Po latach wspominał, że podczas spotkań w jego mieszkaniu można było „podyskutować o sprawach społecznych i politycznych, poczytać oraz zabrać ze sobą wydawnictwa kolportowane poza cenzurą. Wokół domu [...] krążyło wielu cichociemnych SB, którzy jak sępy czatowali na wychodzących z punktu konsultacyjnego, zatrzymanych zawozili na komendę MO, tam byli przesłuchiwani i w celu zastraszenia aplikowano im 48-godzinny wypoczynek w areszcie. Z czasem jednak niektórzy z dyskutantów do tego się przyzwyczaili i ponownie przychodzili”. Wśród nich wymienić można m.in. Władysława Suleckiego z Gliwic. Po raz pierwszy odwiedził on Świtonia jeszcze w sierpniu 1977 r. i pojawiał się na kolejnych spotkaniach. Później dołączyli także Tadeusz Kicki z Sosnowca oraz Zdzisław Mnich z Bielska-Białej. Na początku lutego 1978 r. doszli: Ignacy Pines z Katowic i Roman Kćiuszek z Mysłowic. Osoby te reprezentowały różne środowiska. Sulecki pracował jako górnik dołowy w kopalni „Gliwice”. Kicki był z wykształcenia prawnikiem. Mnich, były kierownik magazynu w jednym z bielskich przedsiębiorstw, przebywał na rencie inwalidzkiej. Kćiuszek, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, do 1968 roku pracował jako technik w Zakładzie Energetycznym w Mysłowicach. Wówczas to został zwolniony za rzekomą odmowę przystąpienia do egzaminu BHP. Decyzja pracodawcy była jego zdaniem bezpodstawną i stanowiła przejaw represji wymierzonej za, jak to określał, jego „demokratyczną postawę”. Po zwolnieniu utrzymywał się z hodowli drobiu, prowadzonej w przydomowych pomieszczeniach gospodarczych. Pines, doktor chemii, pracował w hucie „Baildon” w Katowicach.

Wymienieni nie stanowili jednolitej grupy również ze względu na istniejące między nimi różnice światopoglądowe. Podczas gdy Pines uważał się za ateistę i ideowego komunistę, Świtoń, Sulecki i Kćiuszek deklarowali przywiązanie do wiary katolickiej. Rozbieżności istniały też m.in. w kwestii stosunku do ROPCiO i KSS „KOR”. Do Ruchu przystąpili Kćiuszek, Mnich i Pines. Z Komitetem związany był natomiast Sulecki, który jako jedyny spośród całej piątki prowadził działalność opozycyjną, jeszcze zanim nawiązał kontakt ze Świtoniem.

Droga do opozycji

W czasie II wojny światowej Sulecki jako członek Szarych Szeregów uczestniczył w ruchu oporu. Po wojnie przyjechał na Górny Śląsk. W 1955 roku rozpoczął służbę jako funkcjonariusz komisariatu MO w Łąbędach. Rok później zwolniono go jednak dyscyplinarnie za rzekome „przywłaszczenia depozytów” aresztantów. W rzeczywistości o zwolnieniu zdecydował fakt, że Sulecki był człowiekiem głęboko wierzącym i nie krył się ze swymi praktykami religijnymi. Po wyrzuceniu z MO podjął pracę w jednej ze śląskich kopalń. Latem 1960 roku został aresztowany za udział w demonstracji ulicznej w obronie krzyża ustawionego przez parafian jednego z gliwickich kościołów, a usuniętego przez władze miejskie jako obiekt postawiony bez ich zgody. W areszcie spędził dwa miesiące. Po wyjściu na wolność kilkakrotnie próbował nawiązać kontakt z Radiem Wolna Europa oraz środowiskami polskiej emigracji politycznej na Zachodzie. Ściągnęło to na niego kolejne represje. SB kilkakrotnie przeprowadzała rewizję jego mieszkania. Ponadto zatrzymywano go pod różnymi wyszukаныmi pretekstami. W 1976 roku Sulecki z własnej inicjatywy nawiązał kontakt z działaczami KOR i został współpracownikiem Komitetu. Zajął się kolportażem czasopism i literatury bezdebitowej na terenie województwa katowickiego, co spowodowało wzmożenie przeciw niemu represji i szykan. W SB zorientowano się, że w jego osobie KOR pozyskał oddanego sprawie człowieka, zdeterminowanego i aktywnego. 4 maja

1977 roku Sulecki został wywleczony z własnego mieszkania i ciężko pobity do nieprzytomności przez „nieznanych sprawców”. Jednakże już kilkanaście dni później, w czasie kiedy Świtoń protestował w warszawskim kościele św. Marcina, Sulecki pomimo złego stanu zdrowia zorganizował w swoim miejscu pracy – kopalni „Gliwice” w Gliwicach – akcję solidarnościową z KOR. Polegała ona na wystosowaniu do władz listu, pod którym podpisy złożyło 97 górników. We wrześniu 1977 roku, po rozpoczęciu wydawania przez KSS „KOR” dwutygodnika „Robotnik”, znalazł się w jego Komitecie redakcyjnym. Sulecki dostarczał pismu cenne informacje i gotowe tematy do publikacji, m.in. o sytuacji w górnictwie: warunkach socjalnych pracowników, organizacji pracy oraz wszelkiego rodzaju nadużyciach i nieprawidłowościach. Za swoją działalność płacił jednak wysoką cenę. Podobnie jak w przypadku Świtonia, SB otoczyła go swoimi informatorami. Rozpoczęły się szykany w pracy, zaczęto nękać żonę i córki.

Kontrolowanie, kompromitowanie i izolowanie

Mogło się wydawać, że bezpieka całkowicie panuje nad sytuacją w regionie. O determinacji SB w walce z opozycjonistami świadczyły represje, które pod koniec 1977 roku wyraźnie przybrały na sile. Dotknęły one przede wszystkim Świtonia, któremu m.in. cofnięto koncesję na wykonywanie usług elektrotechnicznych. Na początku 1978 roku nic nie wskazywało więc na to, aby spotkania odbywające się w jego mieszkaniu miały stać się dla władz powodem do szczególnego niepokoju. Podsumowując minione dwanaście miesięcy, kierownictwo katowickiej SB, nie bez pewnej dumy, raportowało do Warszawy, że „zaktywizowanie ośrodków dywersyjnych za granicą i podejmowanie różnych inicjatyw przez elementy antysocjalistyczne w kraju spowodowało, że niektóre pojedyncze osoby z terenu województwa katowickiego wyrażały skłonność do angażowania się w antysocjalistyczną działalność. Osoby te są przez nas kontrolowane, kompromitowane i skutecznie izolowane”.

Wolne Związki Zawodowe

Dobry nastrój władz zmąciły informacje operacyjne z 21 lutego. W tym dniu odbyło się kolejne spotkanie w ramach PKI, podczas którego Świtoń zaproponował jego uczestnikom powołanie do życia niezależnej od władz organizacji związkowej. W ten sposób powstał Komitet Pracowniczy Wolnych Związków Zawodowych (w marcu zaczęto używać nazwy Komitet Założycielski, a w późniejszym okresie skrócono ją i brzmiała ona: Komitet Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach), w którego skład obok Świtonia weszli: Kściuszek, Pines, Kicki i Sulecki. Podczas spotkania opracowany został tekst apelu do pracowników całego kraju. Informowano w nim m.in., że „robotnicy i pracownicy Górnego Śląska i Zagłębia jako pierwsi przystępują do formowania Wolnych Związków Zawodowych. Wzywamy pracowników całego kraju: twórcie Wolne Związki Zawodowe. Powołujcie Komitety Pracownicze, które organizować będą wspólne działania nas wszystkich, tylko wspólnymi siłami mamy szansę wydobyć się z wyzysku, stworzyć lepsze życie dla naszych rodzin i nas samych”. Jeszcze podczas spotkania Świtoń skontaktował się telefonicznie z działaczem ROPCio Kazimierzem Januszem i członkiem KSS „KOR” Henrykiem Wujcem. Podał im nazwiska założycieli WZZ oraz odczytał tekst apelu. Dzięki Januszowi informacje te trafiły następnie do warszawskich korespondentów zachodnich agencji prasowych.

Chociaż *de facto* zebranie założycielskie komitetu WZZ odbyło się 21 lutego, za datę utworzenia organizacji przyjęto 23 lutego. Wynikało to najprawdopodobniej stąd, że podczas pierwszego spotkania nie udało się omówić wszystkich kluczowych kwestii organizacyj-

nych i planów działania. Spotkano się więc jeszcze raz, właśnie 23 lutego. Odtąd datę tę podawano jako początkową cezurę działalności katowickich WZZ. Wyznaczała ona niestety także początek pasma represji, jakie spadły na ich założycieli.

Cel uświęca środki

Władze postanowiły zdusić w zarodku nową inicjatywę, tak aby członkom komitetu nie udało się „zarazić” środowisk robotniczych śląskich i zagłębiowskich zakładów pracy i przedsiębiorstw ideą niezależnego samorządu. Celem zastosowanej przez SB taktyki było zmuszenie członków komitetu do rozwiązania go i w ogóle zaprzestania dalszej działalności opozycyjnej. Cel ten próbowano osiągnąć poprzez rozmowy ostrzegawcze, zatrzymania i groźby. Świtonია i Kćiuszka zatrzymano na 48 godzin, tego ostatniego dwukrotnie. W czasie pobytu w areszcie Świtonია został pobity. Zagrożono mu przy tym powtórным użyciem siły, jeżeli nie zaprzestanie dotychczasowej działalności. Rozmowy i naciski wywierane na Pinesa spowodowały, że wycofał się on z czynnej działalności w Komitecie. Podobnie postąpił Kicki.

Na „placu boju” pozostali Świtonია, Kćiuszek i Sulecki. Dzięki temu ostatniemu w skład komitetu WZZ weszła nowa osoba. Był to współpracownik KSS „KOR” z Wodzisławia Śląskiego – Bolesław Cygan. Wszyscy czterej znaleźli się pod silną presją SB i MO. Starano się ich złamać przy użyciu różnorodnych metod i środków. Każdy, nawet najbardziej niedorzeczny pomysł był dobry, jeśli tylko prowadził do zamierzonego celu. Wobec Kćiuszka uruchomiono cały wachlarz represji o charakterze administracyjnym. Obciążano go wysokimi grzywnami za łamanie wszelkich możliwych przepisów w prowadzonej działalności gospodarczej. Świtonია próbowano wykreować na pasożyta, człowieka z marginesu społecznego, a nawet hitlerowskiego zbrodniarza. W kwietniu 1978 roku kolegium ds. wykroczeń ukarało go pięcioma tygodniami aresztu za nielegalne posiadanie broni. Chodziło o sportową wiatrówkę. Termin ważności pozwolenia na jej posiadanie minął w 1975 r. i właściciel zwyczajnie zapomniał o obowiązku jego przedłużenia. Na początku czerwca 1978 r. twórca WZZ rozpoczął odbywanie kary. Z poważnymi problemami borykał się także Sulecki. SB przedsięwzięła m.in. działania w jego miejscu pracy. Wśród załogi kopalni rozpowszechniano fałszywe informacje na jego temat. Sugerowano, że jest chory psychicznie i nie należy poważnie traktować głoszonych przez niego poglądów natury religijnej, społecznej i politycznej. Najmniejsze nawet uchybienie z jego strony wobec przepisów BHP dozór techniczny kopalni karał upomnieniami, naganami, potrąceniem części dniówki. Co miesiąc funkcjonariusze SB przeprowadzali z Suleckim rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Część z nich prowadzono w obecności żony, która – jak zauważono – źle znosiła ciągłe represje stosowane wobec męża. Starano się więc utwierdzić ją w przekonaniu, że poprzez swoją postawę małżonek wyrządza krzywdę rodzinie. Im mocniej angażuje się w działalność antysocjalistyczną, tym gorzej żyje się jego bliskim. Sugerowano, że najlepszym rozwiązaniem byłby wyjazd na stałe do RFN, gdzie mieszkali krewni Suleckich.

Zajęto się również Cyganem. Jego mieszkanie „odwiedziły” osoby podające się za robotników wodzisławskich zakładów pracy. Goście zachowywali się napastliwie, żądali od gospodarza wycofania się z WZZ i zerwania współpracy z KSS „KOR”. Przed konsekwencjami dalszej działalności opozycyjnej przestrzegali go także oficerowie SB. Pewnego dnia wracającego z pracy Cygana napadli „nieznani sprawcy” i wywieźli do lasu. Tam pobili go do nieprzytomności i porzucili. O fakcie tym Cygan nie zawiadomił milicji, będąc przekonany, że za napadnięciem stała SB. „Wizyty robotnicze”, takie jak ta w mieszkaniu Cygana, stanowiły stały element

represji stosowanych wobec członków katowickich WZZ. Organizowały je, z inspiracji SB, Komitety Miejskie PZPR. Przykładowo na Świtonia nasyłano kilkakrotnie aktywistów z kopalni „Katowice”. Kćiuszka odwiedzali górnicy z kopalni „Lenin” i „Mysłowice”.

Ze Śląska na Wybrzeże

Zasygnalizowane powyżej represje skutecznie utrudniały działalność śląskich WZZ. W praktyce więc podejmowane przez ich członków inicjatywy siłą rzeczy miały ograniczony zasięg, a ich odbiór społeczny był znikomy. Akcje te sprowadzały się głównie do kolportażu opracowanych wcześniej odezw i apeli skierowanych do robotników i pracowników regionu lub kraju. Po wystosowaniu jednego z takich dokumentów w Gdańsku w końcu kwietnia 1978 r. powstał Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. W ogłoszonej przez to ciało deklaracji znalazła się wzmianka, że zawiązanie go stanowiło podjęcie inicjatywy śląskiej. Niestety, dramatem katowiczian było to, że dając impuls do utworzenia niezależnego samorządu na Wybrzeżu, nie byli w stanie przenieść niezależnej działalności związkowej na teren zakładów pracy we własnym regionie. Podejmowane w tym celu próby były skutecznie torpedowane przez SB i inspirowane przez nią kierownictwa zakładów pracy. Tak było chociażby w przypadku Kombinatów Budowlanego nr 1 w Katowicach. Kilku tamtejszych pracowników nawiązało wprawdzie kontakt ze Świtoniem, lecz nie udało się utrzymać i rozwinąć działalności zawiązanego w początku lipca 1978 roku Zakładowego Komitetu WZZ. Jeden z inicjatorów powołania tej komórki związkowej – Józef Bal – wszedł jednak w skład komitetu Świtonia. Tymczasem SB przygotowywała się do całkowitego rozbicia i unicestwienia tego organu. Służyć temu miało uwięzienie dwóch najbardziej aktywnych działaczy: Kćiuszka i Świtonia. Mniej przejmowano się Suleckim, który próbując ratować rodzinę przed rozbiciem, zdecydował się w końcu na emigrację do Niemiec i przygotowywał się do opuszczenia kraju.

Aresztowania, napady, procesy

3 października 1978 roku aresztowano Kćiuszka. Z mieszkania żony w Katowicach przewieziono go do aresztu śledczego w Mysłowicach. Dopiero następnego dnia po wielokrotnych żądaniach zatrzymanego, aby poinformowano go o prawnej podstawie uwięzienia, zapoznano Kćiuszka z orzeczeniem kolegium, skazującym go zaocznie na 3 miesiące aresztu za niedopełnienie obowiązku rozbiórki... kurnika. Odbył całość nałożonej na niego kary, ponieważ uniemożliwiono przeprowadzenie rozprawy odwoławczej od orzeczenia kolegium przed sądem rejonowym. Po Kćiuszku przyszła kolej na Świtonia. Na niedzielę 15 października zaplanował akcję kolportażu ulotek i prasy pod kościołem p.w. świętych Piotra i Pawła w Katowicach. SB dowiedziała się o tych planach dzięki jednemu ze swoich informatorów i postanowiła je pokrzyżować. W sobotę 14 października na opuszczającego kościół Świtonia i jego żonę Dorotę napadło czterech mężczyzn, jak się później okazało, funkcjonariuszy MO. Napastnicy, do których dołączył wkrótce jeszcze jeden umundurowany milicjant, próbowali wciągnąć Świtonia do zaparkowanego nieopodal samochodu. Stawiającego opór pobito na oczach wychodzących z kościoła ludzi, wepchnięto do auta i nieprzytomnego przewieziono na Komendę Miejską MO. Dwa dni później kolegium ds. wykroczeń wymierzyło mu karę dwóch miesięcy aresztu za wywoływanie zbiegowiska. Obrońca Świtonia, mec. Władysław Siła-Nowicki, wniósł odwołanie do sądu rejonowego. 4 listopada odbyła się rozprawa, podczas której sąd nie wyraził zgody na przesłuchanie świadków obrony, dając wiarę fałszywym zeznaniom milicjantów. Kara orzeczona przez kolegium została

utrzymana. Decyzja sądu nie zamykała jednak całej sprawy. Zanim bowiem doszło do rozprawy odwoławczej, Prokuratura Rejonowa w Katowicach przedstawiła Świtoniowi zarzut o czynną napaść na czterech funkcjonariuszy MO, uszkodzenie ich ciała, znieważenie oraz dokonanie szkody w samochodzie (którym transportowano go nieprzytomnego do aresztu) na sumę 7 tys. zł. Jest rzeczą charakterystyczną, że ci sami funkcjonariusze, którzy wcześniej zeznawali, że musieli wobec zakłócającego porządek Świtonia „zastosować przymus fizyczny”, teraz występować mieli w roli poszkodowanych. 29 listopada rozpoczął się proces.

Solidarna obrona Świtonia

Wszystkie działania władz prowadzone w „sprawie Świtonia” od chwili jego aresztowania stanowiły przykład aroganckiej, wręcz jawnej prowokacji. W ostatecznym rozrachunku obróciła się ona przeciwko jej inicjatorom. Działania mające na celu całkowity paraliż śląskich WZZ i uczynienie z ich członków ludzi marginesu społecznego przyczyniły się w gruncie rzeczy do rozpropagowania informacji na ich temat w kraju i za granicą. Stało się to za sprawą solidarnej akcji wszystkich ówczesnych środowisk opozycyjnych prowadzonej w obronie Świtonia. Wystosowano szereg protestów i apeli. Ich teksty publikowano zarówno w korowskiej, jak i ropciowskiej prasie, ale także rozkolportowano je w postaci tysięcy ulotek na terenie całego kraju, a zwłaszcza w miejscowościach Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Sprawa Świtonia trafiła do Amnesty International. Informacje na jej temat podawało także RWE. Zrobiło się więc o niej na tyle głośno, że rzeczywiście partyjni bonzowie Katowic mogli dostać od tego zawątku. 2 marca 1979 r. Świtonia skazano na rok więzienia i 12 tys. zł grzywny. Wyrok nie był prawomocny i dzień później zwolniono go warunkowo do czasu rozprawy rewizyjnej „i tak przyszło”, jak trafnie określił finał całej sprawy Jan Józef Lipski.

Epilog

Katowickiemu Komitetowi WZZ nie udało się już jednak odpowiednio zdyskontować rozgłosu, jaki zyskał dzięki całej sprawie. 4 marca kraj opuścił Sulecki. Wprawdzie Kściuszek i Świłoń nadal chcieli działać, jednak coraz bardziej rozmiłali się w poglądach na temat przyszłości WZZ. Powoli narastał między nimi konflikt, na co istotny wpływ miał fakt, że obaj związani z ROPCiO działacze po rozłamie w Ruchu, jaki nastąpił w czerwcu 1978 roku, zajęli odmienne stanowiska, opowiadając się za różnymi liderami: Świłoń za Andrzejem Czumą, Kściuszek za Leszkiem Moczulskim. Różnice poglądów wykorzystywała SB, dążąc do „całkowitego ich skłócenia i wzajemnego kompromitowania”. Odpowiednio podsuwane informacje doprowadziły wreszcie do otwartego konfliktu, w wyniku czego w czerwcu 1979 roku Kściuszek zerwał dotychczasowe kontakty ze Świtoniem. Oznaczało to *de facto* koniec katowickiego komitetu WZZ, chociaż w dalszym ciągu każda ze stron konfliktu rościła sobie prawo do kontynuowania działań w ramach Komitetu i występowania na zewnątrz w jego imieniu.

Latem 1980 roku działacze WZZ nie odegrali znaczącej roli w organizowaniu pierwszych wystąpień robotniczych w regionie i tworzeniu komitetów strajkowych w zakładach pracy. Na czele rozwijającego się z nieprawdopodobną siłą ruchu protestu stanęli ludzie często nie związani dotychczas z działalnością opozycyjną. Nie znaczy to jednak, że idea, którą z takim trudem starali się propagować członkowie katowickich WZZ, nie była im znana. Dowodem tego był fakt, że we wrześniu 1980 r. protestujący robotnicy huty „Katowice” zaprosili Świtonia do wejścia w skład tamtejszego komitetu strajkowego, a po jego rozwiązaniu powierzyli mu funkcję sekretarza Międzyzakładowego Komitetu Robotniczego. Był to wymowny gest pod adresem twórcy katowickich WZZ.

ZROZUMIEĆ ŚLĄZAKA

Dlaczego ten region jest tak słabo w Polsce znany i jeszcze słabiej rozumiany? Dlaczego się go nie lubi? Bo Polacy – to najczęstsza odpowiedź – nie znają historii swego państwa, a więc tym bardziej nie znają dziejów ziemi, która przez kilkaset lat żyła i rozwijała się poza Rzeczpospolitą, z czasem coraz szybciej tracąc z nią polityczne i kulturowe związki. To odpowiedź prawdziwa, ale zbyt prosta, by pojąć wszystkie źródła niechęci wobec Górnego Śląska i jego mieszkańców. Od historii trzeba jednak zacząć.

Dzisiejszy Górny Śląsk tylko w niewielkim stopniu odwzorowuje stosunki narodowościowe i etniczne z pierwszej połowy XX wieku. We wczesnych latach dwudziestych ubiegłego wieku, gdy ustanawiano tu nową granicę między Niemcami a właśnie odradzającą się Rzeczpospolitą, dziesiątki tysięcy ludzi porzuciło swe domostwa. Jedni przeprowadzili się do Polski, drudzy – do Niemiec. Do dziś tego wymuszonego, ale i naturalnego w tamtych warunkach politycznych mechanizmu wymiany ludności wielu Polaków nie rozumie albo zrozumieć nie chce, a już na pewno – nie akceptuje. Padają więc pytania i zastrzeżenia: kim byli ci ówczesni Ślązacy, skoro tak łatwo przechodzili z jednej strony granicznego kordonu na drugi? Kim byli i kim są ich potomkowie, skoro i oni rezygnowali z polskiego obywatelstwa bądź bez manifestacyjnie okazywanego bólu wyrzekali się związków z polską państwowością? To są pytania, które zwłaszcza w chwilach politycznych przesileń pojawiały się nader często. A i dzisiaj nierzadko można je usłyszeć, tonu zaś, w jaki te pytania się zadaje, najczęściej za przyjazny uznać nie sposób.

Także lata 1939–1945, i to o ileż radykalniej, zmieniły skład ludnościowy regionu górnośląskiego, choć reżim hitlerowski zrezygnował z masowych deportacji Polaków i tych polskich Ślązaków, którzy do wybuchu wojny mieszkali w autonomicznym województwie śląskim, ze stolicą w Katowicach. Naziści nie odstąpili jednak od masowego i przymusowego wcielania do wojska tysięcy autochtonów, których wcześniej obligatoryjnie wpisano na folkslisty i użyto na froncie wschodnim jako „mięsa armatniego”. Te nazistowskie praktyki musiały skutkować rozbiem dawnej tkanki społecznej nie tylko w czasie II wojny światowej, ale i po jej zakończeniu. Wprawdzie dość szybko uznano, że folkslista i służba w wojsku niemieckim nie może być w każdym przypadku podstawą do deportacji z kraju, to jednak wśród setek tysięcy śląskich Niemców, po roku 1945 zmuszonych do opuszczenia stron rodzinnych, znaleźli się również Ślązacy polscy, no i ci, których poczucie przynależności narodowej nie było jednoznacznie i trwale wykrystalizowane (ćwierć wieku wcześniej Wojciech Korfanty oceniał, że narodowościowo „labilni” Ślązacy to aż 1/3 całej górnośląskiej populacji). Nowa komunistyczna, a zarazem polska władza nie potrafiła, a w innych przypadkach po prostu nie chciała zrozumieć autochtonów i zawitych dróg, jakimi wiodły ich biografie. Właściwie wszyscy Ślązacy, także ci, którzy zdezerterowali z Wehrmachtu i służyli później w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, postawieni zostali w stan oskarżenia bądź w najlepszym przypadku – podejrzenia. Stalinizacja kraju stała w jawnej sprzeczności z etosem pracy, przywiązaniem do religii i Kościoła, poszanowaniem wartości chrześcijańskich i rodzinnych.

Rozpad tradycyjnego Śląska i zastąpienie jego wielokulturowości i wielonarodowości nachalnym, choć umiejętnie skrywanym postendeckim nacjonalizmem, wymieszanym z obłudną doktryną „zastrzającej się walki klas”, odstręczył od Polski i polskości nawet weteranów powstań śląskich i kombatantów wojennych. Jeszcze bardziej – ich potomków. Kolejne fale emigracyjne z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku objęły więc także rodziny od pokoleń zasiedziały na Górnym Śląsku, i to niekoniecznie o niemieckich korzeniach. Uciezkom z Polski sprzyjały nie tylko kryzysy ekonomiczne, jakimi nasz kraj mniej więcej co dziesięć lat był wstrząsany, ale także fałszywy mit „jedności moralno-politycznej narodu”, którego w latach realnego socjalizmu Ślązacy mieli być najlepszą, wręcz wzorcową emanacją. I przez wielu Polaków Ślązacy tak właśnie byli postrzegani. Do dziś im się to wyrzuca. W PRL skutecznie bowiem utrwalił się obiegowy pogląd o niezastężonej, bo zdobytej oportunistycznie i służalczą wobec komunistycznej władzy, zamożności tego regionu. Jeszcze raz niszczącą siłą ujawniły zarzuty o nieojalności Ślązaków, tym razem może już nie tyle (i nie tylko) wobec polskiej państwowości, ile przede wszystkim wobec tych milionów Polaków, którzy niechętnie odnosili się do porządku ustrojowego PRL. Chyba dopiero wydarzenia roku 1980 i późniejsze ofiary „Wujka” pozwoliły Polsce i Polakom przychylniej oceniać Górny Śląsk i jego mieszkańców. Ale czy owa korzystna zmiana była i pozostała trwała? Można wątpić, choć przyczyny, które składają się na ponowny wzrost niechęci wobec tego wszystkiego, co z Górnym Śląskiem i górnośląskością się kojarzy, są obecnie nieco inne niż przed laty.

* * *

Górnego Śląska nie da się zrozumieć bez odrzucenia myślenia w kategoriach narodu i państwa. I bez uznania, że Ślązacy jako grupa etniczna czy kulturowa nie mogą być oceniani (zwłaszcza w kategoriach etycznych!) wyłącznie przez pryzmat deklaracji narodowościowych. To są – moim zdaniem – tezy, z którymi na początku XXI wieku dyskutować się nie godzi. A jednak jakże często wręcz się je podważa. Uważam, że Ślązak ma prawo określać się jako Polak. Ale także – jeśli taka jego wola i wewnętrzne przekonanie – jako Niemiec. Albo Czech. Może również uznać, że do żadnego z tych narodów nie przynależy. Może też myśleć o sobie jako o części narodowości odrębnej, śląskiej, choć „natio silesiae” sankcji prawnej nie uzyskała ani w Katowicach, ani w Warszawie, ani w Berlinie, a nawet w Strasburgu. Ba, Ślązak może w ogóle nie chcieć w żaden sposób się samookreślać. I taki wybór też powinien być respektowany, tolerowany i akceptowany.

Czy jest? Czy Polacy (i czy Niemcy?) potrafią pogodzić się z myślą, że nie ma Ślązaków „lepszyc” i „gorszych”, „prawdziwych” i „mniej prawdziwych”, „naszych i obcych”? Czy w głębi duszy przyjmują tę oto prawdę, że Ślązacy – wbrew temu, co kiedyś mówili historycy, a zwłaszcza politycy oraz ideolodzy – z natury nie są monolitem. Ani narodowościowym, ani wyznaniowym, ani językowym. Pytania retoryczne. Nie tylko w Polsce, ale i w wieloetnicznej i wielokulturowej, uchodzącej we współczesnej Europie za wzór demokratycznego państwa, Republice Federalnej Niemiec, gdzie – zdawałoby się – już dawno zbudowano podstawy pod pełny rozwój społeczeństwa obywatelskiego, nadal pokutują przesady i uprzedzenia.

W obu krajach trwa walka o „rząd dusz” nad Ślązakami. Trwa swoista rywalizacja o to, „czyja jest” historia Górnego Śląska, kto ma do niej „prawo własności”. To są spory – niestety – podszyte zadawnioną nieufnością, nawet wrogością. Wprawdzie z dekady na dekadę te negatywne emocje słabną, jednak do ich zneutralizowania droga jest jeszcze daleka, bardzo daleka. Czasem wystarczy iskra, a już wybuchają zapalne ogniska. Ich

zarzewiem jest brak zrozumienia dla śląskiej inności, odrębności i różnorodności, niejednoznaczności. Tego zrozumienia brakuje nie tylko Polakom i Niemcom. Brakuje jej również wielu Ślązakom, którzy zbyt często i zbyt głośno manifestują swoją niechęć do obcych, do nie-Ślązaków. Albo – a to też grzech przeciwko demokracji – przyjmują, że tylko przyjęta przez nich opcja narodowa jest „jedynie słuszna”.

Widzenie Górnego Śląska nie będzie pełne, jeśli nie dostrzeżemy tych sprzeczności oraz mnogości paradoksów, które są stygmatem tej ziemi. Mówimy wszak o regionie, w którym Ślązacy z dziada pradziada stanowią stale kurczącą się mniejszość. Nie oni więc będą kształtowali przyszły obraz tej ziemi. Już go nie tworzą. Ale to nadal przez pryzmat ich kulturowej odmienności postrzegany jest cały region i wszyscy mieszkający w nim ludzie.

Dziś Górny Śląsk jest obszarem gospodarczo zdegradowanym, pozbawionym przekonującej wizji rozwoju, zagrożonym mnożącymi się wybuchami społecznych protestów. Mniejszych i większych. Niegdysiejsze sny o potęgze konfrontowane są z biedą i pauperyzacją tysięcy jego obywateli. Dla państwa polskiego i Europy region ten może stać się kulą u nogi. Wielu Polaków twierdzi, że już nią jest. Czy lubi się kogoś, kogo trzeba taszczyć na plecach, bo sam sobie poradzić nie może, a jeszcze na dodatek – nie można zrozumieć, o co mu chodzi?

T.A. Findziński, Górnik, drzeworyt 1935 r.



DO KOGO TAM JEDZIECIE?

W latach 1952–1985 wyemigrowało z Polski do RFN prawie 700 tys. osób, z tego ponad 250 tys. z województwa katowickiego i około 153 tys. z województwa opolskiego¹. Natężenie zjawiska wyjazdów – regulowane deklaracjami i porozumieniami między rządami PRL i RFN – było poniekąd barometrem procesów normalizacyjnych pomiędzy obydwooma państwami.

Pierwsza masowa fala wyjazdów była rezultatem tzw. ustnego porozumienia pomiędzy delegacjami Polskiego i Niemieckiego Czerwonego Krzyża z grudnia 1955 r. Przewidywało ono możliwość wyjazdów na stałe z Polski do RFN w ramach tzw. łączenia rodzin. Do początków 1959 r. wyjechało na tej podstawie około 225 tys. osób². Zakończenie realizacji porozumienia w lutym 1959 r. oznaczało powrót do sytuacji, w której zgoda na wyjazd stały należała do wyłącznej kompetencji organów MO. Mimo to w latach 1959–1970 wyjechało z Polski kolejne 100 tys. osób³.

W 1970 r., podczas negocjacji nad układem o podstawach normalizacji stosunków pomiędzy Polską a RFN, strona polska nie zgodziła się na uwzględnienie podnoszonego przez stronę niemiecką problemu obecności w Polsce Niemców lub osób niemieckiego pochodzenia. Nie zaakceptowała tym samym postulatu „zwiększenia przepuszczalności granicy”. Jednak 18 listopada 1970 r. do rządu Republiki Federalnej wystosowana została „Informacja Rządu PRL”, w której stwierdzono, że „osoby, które ze względu na swą bezsporną niemiecką przynależność narodową pragną wyjechać do jednego z dwóch państw niemieckich, mogą to uczynić w oparciu o obowiązujące w Polsce ustawy i przepisy prawne. Ponadto weźmie się pod uwagę sytuacje rodzin mieszanych i podzielonych oraz takie przypadki obywateli polskich, którzy na skutek zmiany ich stosunków rodzinnych bądź wskutek zmiany swej wcześniej powziętej decyzji wyrażają życzenie połączenia się ze swymi bliskimi krewnymi żyjącymi w RFN lub NRD”⁴.

Tak sformułowane stanowisko władz polskich stało się przyczyną gwałtownego wzrostu zainteresowania wyjazdem do RFN. Tylko w okresie od 1 stycznia do 31 lipca 1971 r. w województwie katowickim stosowne wnioski złożyły 27 702 osoby. Ponad 80 proc. z nich to mieszkańcy tylko trzech miast: Zabrze – 9253 osoby, Bytomia – 6585 osób i Gliwic – 6468 osób. Skala tego zjawiska i jego charakter musiały być dla władz bardzo niepokojące. Prawie 52 proc. ubiegających się o wyjazd to robotnicy, 5909 osób to młodzież ucząca się, a 3113 to dzieci do lat siedmiu. Nie zabrakło nawet członków PZPR, których doliczono się 74⁵.

¹ Z. Łempiński, *RFN wobec problemów ludnościowych w stosunkach z Polską (1970–1985)*, Katowice 1987, s. 149.

² J. Korbel, *Emigracja z Polski do RFN. Wybrane problemy*, Opole 1986, s. 23.

³ *Ibidem*, s. 24.

⁴ Informacja Rządu PRL. Załącznik nr 3 do Noty 708/DPT/70 Rządu PRL skierowanej do Rządu RFN.

⁵ AIPN Ka, Korespondencja z KW PZPR, 0103/156, t. 5, *Omówienie tablic statystycznych dot. wyjazdów emigracyjnych do Niemieckiej Republiki Federalnej za okres 1.01.–31.07.1971 r.*, b.d., k. 18–23.

W „Informacji w sprawie wyjazdów na pobyt stały do Niemieckiej Republiki Federalnej”⁶ zwracano uwagę, że „epidemia” wyjazdów ogniskuje się w niektórych dzielnicach miasta lub w poszczególnych zakładach pracy. W Bytomiu na przykład tylko w kopalni „Miechowice” zamiar wyjazdu zgłosiło 412 zatrudnionych tam osób, w kopalni „Bobrek” – 258, a w hucie „Bobrek” – 233. Komitet Miejski PZPR w Bytomiu oszacował, że ubiegający się o zgodę na wyjazd stanowią około 3 proc. ogółu zatrudnionych w tym mieście. W ciągu całego 1971 r. liczba złożonych wniosków wyniosła 131 823⁷.

Narastająca z miesiąca na miesiąc fala składanych podań skłoniła władze partyjne do opracowania zasad postępowania wobec osób ubiegających się o wyjazd do RFN. W kwietniu 1971 r. na podstawie zaleceń KC PZPR opracowane zostały tajne Wytyczne Sekretariatu KW PZPR w Katowicach⁸. Mając na celu ograniczenie tendencji wyjazdowych występujących nadal w niektórych miejscowościach województwa katowickiego, Sekretariat KW zalecił przede wszystkim nasilenie działań propagandowych „dla umocnienia procesów integracyjnych wśród naszego społeczeństwa”. Okolicznością sprzyjającą miała być 50. rocznica III powstania śląskiego. Przede wszystkim zalecono przygotować przemyślaną kampanię w lokalnej prasie. Za pożądane uznano publikowanie wspomnień i wywiadów z zasłużonymi działaczami śląskimi, podkreślających historyczne związki Śląska z Macierzą oraz opisujących walkę zbrojną z naporem germańskim w okresie powstań, jak również w czasie II wojny światowej. Zalecono jednocześnie ukazywanie – na przykład poprzez przedruki z prasy zagranicznej – trudnej sytuacji emigrantów wyjeżdżających z Polski do RFN. W tym celu Wydział Propagandy KW został zobowiązany do oddelegowania dziennikarzy z prasy wojewódzkiej do pracy w gazetach terenowych. Ich zadaniem miało być współredagowanie tekstów osłabiających tendencje emigracyjne. Do odpowiednich działań zobowiązano także szkoły. Dzieci, których rodzice zgłosili zamiar wyjazdu (złożyli wnioski), powinny zostać otoczone przez nauczycieli szczególną opieką wychowawczą – indywidualnie w pracy szkolnej i pozaszkolnej.

Szczególną rolę w Wytycznych przypisano powiatowym i miejskim komisjom, które rozpatrywały podania osób starających się o wyjazd. Ich dotychczasowy skład – miejscowy aktyw partyjny – należało uzupełnić o działaczy SD, ZSL oraz o osoby bezpartyjne, cieszące się autorytetem w lokalnym środowisku. Jednocześnie zwrócono uwagę, aby dbać „o odpowiednie proporcje między ilością decyzji negatywnych i decyzji pozytywnych”. Komisje te zobowiązano „od zaraz” do dokumentowania przeprowadzonych rozmów w formie specjalnych notatek. Powinny one uwzględniać w szczególności stanowisko wyrażone przez rozmówcę oraz inne ważniejsze fragmenty rozmowy. Jak wynika z zachowanej dokumentacji, zasadą stało się wręcz nagrywanie tych rozmów na taśmę magnetofonową i sporządzanie na tej podstawie stenogramów. Wraz z pozytywną opinią komisji i wnioskiem zainteresowanej osoby były one przesyłane organom paszportowym MO, które na tej podstawie mogły wydać paszport emigracyjny – z zachowaniem jednak odpowiedniej kolejności: jako pierwsi otrzymywali je emeryci, osoby chore i niezdolne do pracy zawodowej oraz te, które porzuciły pracę i nie pracowały co najmniej od dwóch lat.

⁶ *Ibidem*, Informacja w sprawie wyjazdów na pobyt stały do Niemieckiej Republiki Federalnej, b.d., k. 50–55.

⁷ Z. Łempiński, O niektórych prawidłowościach i tendencjach emigracji z Polski do Republiki Federalnej Niemiec po 1970 roku, „Zaranie Śląskie” 1987, nr 3–4, s. 281.

⁸ AP Katowice, KW PZPR w Katowicach, Sekretariat, 301/N/563, Wytyczne Sekretariatu KW PZPR w Katowicach w sprawie polityki wobec osób ubiegających się o wyjazd emigracyjny do Niemieckiej Republiki Federalnej, 22 IV 1971 r., k. 110–113.

Z podsumowania działalności komisji w okresie od stycznia do końca lipca 1971 r. dokonanego w KW MO w Katowicach wynika, że skuteczność ich oddziaływania była niewielka. W Bytomiu na ogólną liczbę 2875 rozpatrzonych wniosków odnotowano tylko kilkanaście przypadków rezygnacji z wyjazdu. W Zabrze spośród 6228 ubiegających się o zgodę na wyjazd zrezygnowało 8 osób, a w Gliwicach na 3434 chętnych wycofało się 10 osób⁹. Jako przyczynę tego zjawiska podaje się fakt, że rozmówcy zaproszeni na spotkanie z komisją byli dobrze do niej przygotowani, mieli ustalone argumenty, kontrargumenty czy wręcz gotowe odpowiedzi na zadawane pytania. Zachowywali się uprzedzająco taktownie i udzielali wyczerpujących wyjaśnień. Postawy takie bazowały na przekonaniu, że przebieg rozmowy może przyczynić się do pozytywnego załatwienia wniosku. Istotne jest również to, że po stronie władz powszechna była świadomość, iż niezależnie od oficjalnie podawanych motywów (niemiecka narodowość, zamiar połączenia się z bliskimi w RFN) zdecydowana większość chciała wyjechać z pobudek ekonomicznych.

W skali całego kraju w latach 1971–1975 liczba złożonych wniosków wyniosła około 175 tys. Na podstawie oficjalnych kryteriów zawartych w „Informacji” oraz przy zastosowaniu (mniej oficjalnie) powyższych metod władze wydały ponad 62 tys. zezwoleń na wyjazd stały do RFN¹⁰.

Zamieszczony poniżej dokument jest jednym z przykładów stenogramów rozmów przeprowadzanych z osobami starającymi się o zgodę na wyjazd. Zachowano w nim oryginalną pisownię, gwarowe zwroty, wyrażenia i składnię, jeśli nie zakłóca to zrozumienia tekstu; poprawiono jedynie interpunkcję.

* * *

Katowice, dnia 23 VI 1971 r.

Tajne spec[jalnego] znaczenia

Egz. nr 1.

STENOGRAM

rozmów prowadzonych w dniu **17.06.71** przez zespół aktywu partyjnego przy kopalni „Rozbark” z osobami ubiegającymi się o emigracyjny wyjazd do NRF.

Skład zespołu:

1. dyrektor administracyjny – Śmiejkowski Tytus
2. sekretarz POP – Wójcik Stanisław
3. przewodniczący rady zakładowej – Skowron Kazimierz
4. kierownik administracyjno-gospodarczy – mgr Pelka Mikołaj
5. protokolantka, kierownik działu socjalnego – Bojan Helena

Rozmowa z ob. K [...] Tomasz [em]

– Pan K [...] Tomasz stara się o wyjazd na pobyt stały do NRF? Pan pracuje na kopalni od 18 września [19]37 do lutego 1945 i od 17 maja 1945 do chwili obecnej na stanowiskach: młodszy rębacz, rębacz, przetokowy, przodowy i teraz jako strażnik, mieszka pan w Bytomiu [...] – jest to mieszkanie kopalniane.

⁹ AIPN Ka, Korespondencja z KW PZPR, 0103/156, t. 5, *Informacja w sprawie wyjazdów na pobyt stały do Niemieckiej Republiki Federalnej*, b.d., k. 50–55.

¹⁰ Z. Łempiński, *O niektórych prawidłowościach...*, s. 282.

- Obchodziliście jubileusz, rentę też chyba macie nie najgorszą.
- Renty jeszcze nie posiadam, bo pracuję.
- Zostawiacie tu swoje dzieci – ile macie?
- Córka i syn. Córka nie chce jechać, bo powiada, że ona czuje się Polką, a syn ma 38 lat i też wyrabia papiery na wyjazd. [...]
- A żona też chce wyjechać?
- Też.
- Skąd pochodzi żona?
- Z Chorzowa.
- Ale pan, panie K., służył już przed wojną w WP.
- Tak.
- Więc co z pana za Niemiec?
- Służyłem w WP, bo miałem obywatelstwo polskie, ale narodowość niemiecką.
- Przed wojną pan miał narodowość niemiecką?
- Tak.
- Nieprawda, bo by pana do wojska nie wzięli. Do wojska był powoływany tylko Polak, ja miałem wujka, który był komendantem pułku w Królewskiej Hucie.
- Rodzice gdzie są pochowani?
- W Chorzowie.
- Kolego, a w czasie Niemców wyście pracowali tutaj, jaką mieliście folkslistę?
- Drugą^a.
- Czemu was do wojska nie wzięli?
- Byłem dobrym pracownikiem i byłem reklamowany od wojska.
- A brali przecież nie takich – inżynierów i diabli wiedzą kogo, jak był Niemcem, to go brali.
- Na kopalni potrzebowali pracowników, dobrym pracownikiem byłem i miałem reklamację. [...]
- Jakby miał dwójkę, to byście służyli w Wehrmachcie jak trzeba, i to na wschodnim froncie.
- Mnie się wydaje, że w czasie wojny wyście byli idealnym Polakiem i dlatego was nie wzięli do armii.
- Moi panowie, możecie mi mówić, ja wystucham, ja sobie życzę wyjechać tam do moich bliskich, co należą do mnie. [...]
- A syn do kogo się wybiera do NRF?
- Tam od jego żony jest dwóch braci i siostra.
- Nie szkoda wam K. tu wszystko zostawić, całe życie żeście tu spędzili.
- Trudno, mam taki los.
- Człowieku, tu urodziliście się, tu wasza ojczyzna, tu wasza Polska jest. Może brat was agituje: przyjeźdź. Ale trzeba sobie pomyśleć: tu mam dzieci, które są tu urodzone, tu się wychowały. Na stare swoje lata, pamiętajcie wy tam, będziecie tęsknić.
- Ja już tam mam jedną córkę, w NRD jest.
- To dlaczego do NRD nie wybieracie się do córki?
- W NRD potrzebują młodych i pracujących ludzi.

^a Do drugiej grupy niemieckiej listy narodowościowej zaliczano osoby, które nie mogły wykazać się aktywnością na rzecz niemieczyzny, ale udowodniły swoją odrębność narodową.

- To wobec tego co tam chcecie robić? Czego się tam spodziewacie?
- Ja się tam nie spodziewam nic, jak będę miał wiek 65 lat, to dostanę rentę i gotowe.
- A tu renty nie dostaniecie?
- Też dostanę, ale tam też mogę dostać.
- No dobrze, ale jaki jest cel waszego wyjazdu, o co wam się rozchodzi?
- Chcemy tam razem być.
- Przecież tu macie rodzinę całą.
- Syn się też stara.
- Ale wy możecie dostać, a syn nie, i co wtedy, zostanie pan sam jak palec i co wtedy?
- Gdybym ja tam był sam, gdyby tam byli tylko obcy ludzie.
- Brat jest stary.
- Tam są takie same stosunki jak w Anglii, jak pan przyjedzie, to zostawię pana samego jak palec i żadnemu nic nie pomogę. Ja znam te stosunki tam, to nie jest tak jak w Polsce, gdzie pana szynką przyjmą, tam pana poczęstują herbatką, jak pan pierwszy raz przyjdzie. Raju nie ma nigdzie, manna z nieba nie leci.
- Panie dyrektorze, kto chce żyć, ten musi pracować.
- No o to się rozchodzi.
- Ale wy już wypracowaliście się, to po co tam pojedziecie?
- Ale jednak ja chcę być razem z moimi najbliższymi.
- Ale to nie są bliscy, przecież tu córkę i wnuków zostawiacie.
- Tu zostanie tylko córka i dwóch wnuków.
- A co, syn nie ma dzieci?
- Nie ma.
- A jakie pan ma mieszkanie tutaj?
- Mieszkanie mam w porządku.
- Dobrze się panu mieszka.
- Macie jakieś pretensje do kopalni?
- Nie mam i nie będę miał, bo to, co mi się należy, kopalnia mi płaci.
- Może odnośnie remontu albo czego.
- Nie, ja mam wszystko w porządku. Mieszkanie mam suche, słoneczne, wszystko w porządku. Ja jestem już wykamany i ja już długo żyć nie będę. Panie dyrektorze, ja miałem wypadki, ja nie chcę nic mówić, ja wam pokażę.
- Zgoda, wiemy o tym.
- Wiemy, wiemy.
- Przecież my pana nie chcemy linczować, chcemy tylko po przyjacielsku porozmawiać, aby pan nie miał do nas pretensji, że panu nikt do widzenia nie powiedział, czy was nie uprzedził. Czy wy myślicie, że was tam przyjmą z otwartymi rękami? I tak będą mówili wasser Polaki^b na was.
- Ale proszę państwa, ja bym tam chciał jechać jeszcze raz.
- Panie K [...], przecież pan może jechać na odwiedziny, nikt wam nie będzie bronił.
- Jak ja będę chciał jechać z żoną, to mnie nie puszcza.
- To sobie pojedzie samemu, za dwa lata pojedzie znowu żona, bo cóż się macie tak kosztować.

^bWłaśc. *Wasserpölen* – pogardliwe określenie Polaków.



– A gdyby wam pozwolili np. odwiedzić tam co? Gdyby nawet co roku, to co? Panie K [...], jedno chciałem panu powiedzieć, że to, czy pan pojedzie, czy nie pojedzie, to nie jest uzależnione od nas, to nie jest uzależnione od kopalni. Decyzja należy do władz państwowych. Myśmy was poprosili dzisiaj między innymi po to, żeby się dowiedzieć, co was dręczy, jakie macie zastrzeżenia do zakładu. Jak z waszej wypowiedzi tutaj wynika, że nie macie żadnych.

- Do zakładu nie mam nic.
- I to, czy pojedziecie, czy nie, to jest sprawą władz zwierzchnich.
- My o tym nie decydujemy, myśmy was o tym chcieli uprzedzić, prawda.
- Ja rozumiem, po to żeście się tu zgromadzili, ażeby mi doradzić, ja to wszystko rozumiem. Mnie tam wszyscy urzędnicy lubią.
- No jasne, jak ja się dowiedziałem, że K [...] jedzie, to mówię, trzeba z chłopem pogadać, bo to jest niemożliwe.
- No to my mamy tyle do towarzysza, dziękujemy wam. [...]



Z PEPEŚZĄ NA SOJUSZNIKA

Armia Czerwona bardzo szybko pokazała swoje drugie oblicze, kiedy znalazła się na wyzwolonych przez siebie obszarach. Na porządku dziennym były rozboje, kradzieże i szabrownictwo dokonywane bez najmniejszych zahamowań. Opisany poniżej przypadek stanowi jeden z licznych przykładów samowoli sowieckiej. Jego oryginalność polega jedynie na tym, że w tej sytuacji obiektem ataku stali się między innymi żołnierze armii amerykańskiej, eskortujący transport pomocy dla Polski w ramach UNRRA.

Od jesieni 1945 r. zaczęła napływać do Polski pomoc materialna z krajów zachodnich realizowana w ramach działalności United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy). Organizacja ta utworzona została już 9 listopada 1943 r. w Waszyngtonie z inicjatywy USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin. Głównym zadaniem postawionym przed UNRRA było udzielenie natychmiastowej pomocy krajom alianckim najbardziej dotkniętym wojną. Pomoc ta obejmowała przede wszystkim artykuły pierwszej potrzeby, takie jak żywność czy leki, ale także podstawowe urządzenia oraz inwentarz niezbędny do wznowienia produkcji rolnej i przemysłowej. Pomoc z UNRRA okazała się szczególnie cenna dla polskiej wsi, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych¹.

Poniżej przedstawiamy sprawozdanie, jakie złożył do WUBP w Katowicach jego funkcjonariusz, starszy instruktor Wydziału Polityczno-Wychowawczego, por. Eugeniusz Gałka, po przybyciu na miejsce wydarzeń, które rozegrały się 30 października 1945 r. na dworcu kolejowym w Czechowicach-Dziedzicach. W tekście zachowano oryginalną pisownię i interpunkcję.

Sprawozdanie z zajścia pomiędzy żołnierzami Armii Czerwonej i wojskami amerykańskimi, 30 X 1945²

Dnia 30 X [19]45 [roku] przybyłem o godzinie 18.50 w towarzystwie przedstawiciela Komendy Wojskowej Sowieckiej, kpt. Diemianowa, na dworzec kolejowy w Dziedzicach. Po przeprowadzeniu rozmów z burmistrzem miasta, komendantem SOK i przedstawicielem wojsk amerykańskich por. Stefanem Chameyem stwierdziłem, co następuje:

Dnia 30 X [19]45 [roku], o godzinie 11.45, pociągiem nr 334 przyjechało dwa wagony wojska sowieckiego [ze] stacji kolejowej Zebrzydowice, na stację kolejową Dziedzice.

W tym czasie na stacji kolejowej Dziedzice stał próżny transport po repatriantach wraz z jednym wagonem aprowizacji UNRRA^a nr pociągu 371, który tegoż dnia o godzinie 12.20 miał wyjechać w kierunku Zebrzydowice tj. zagranicę.

^a W oryginale użyto skrótu UNNR.

¹ Pomoc udzieloną Polsce przez UNRRA w okresie 1945–1946 szacuje się na 450–500 mln dolarów. W ramach pomocy Polska otrzymała np. 125 tys. piskląt, kilkadziesiąt tysięcy kurcząt i kur, 112 tys. jaj wylęgowych, 17 tys. sztuk bydła rogatego, 125 tys. koni oraz duże ilości ziarna siewnego.

² AIPN Ka, WUSW Katowice, 063/49, t. 1, k. 4–5.

Wojsko sowieckie, które przyjechało do Dziedzic, po rozpoznaniu aprowizacji w wagonie transportu po repatriantach, przecięli druty, zerwali plomby i poczęli paczki z aprowizacją wyrzucać z wagonu.

Dyżurny ruchu stacji Dziedzice Linek Józef, po zauważeniu wyrzucania aprowizacji z wagonu przez żołnierzy sowieckich, powiadomił komendanta warty st[arszego] strz[elca] Sokołowskiego Józefa, który po zebraniu strażników udał się na miejsce rabunku celem interwencji.

Na widok zbliżania się do wagonu [strażników] SOK żołnierze sowieccy usunęli się od wagonu, a w ten czas zostali przytrzymani i w tym samym momencie żołnierze sowieccy poczęli bić pracownika kolejowego Zubra Jana pełniącego służbę na post[erunku] nr 5, przewracając go na ziemię i bijąc go po głowie pistoletem.

W obronie napadniętego prac[ownika] Zubra Jana SOK poczęła interweniować, na skutek czego żołnierze sowieccy użyli broni, strzelając z automatów, pistoletów i karabinów z nałożonymi bagnietami, w sile około 100 żołnierzy.

Straż Ochrony Kolei na skutek przewagi liczebnej i uzbrojenia, zmuszona była wycofać się, zaś żołnierze sowieccy nacierali w dalszym ciągu przez całą stację wszystkimi ulicami miasta Dziedzice, strzelając i bijąc wszystkich napotkanych ludzi z okrzykiem „wy jebane Polaczki, was wszystkich ubijem”.

Na skutek powyższego zajścia pomiędzy żołnierzami sowieckimi z powodu dokonanego napadu na wagon z aprowizacją UNRRA K[omen]da Rej[onowa] SOK wezwała telefonicznie pomocy od PUR Dziedzice, MO Dziedzice, UBP Dziedzice, Powiatowej Komendy Wojska Polskiego w Bielsku i od Komendy Wojska Polskiego w Pszczynie, oraz powiadomiła Komendę Oddziałową SOK Bielsko.

Prócz tego Parowozownia Główna w Dziedzicach wezwała pomocy od Wojska Polskiego w Rybniku.

Na skutek wezwania pomocy, PUR w Dziedzicach jako pierwszy przysłał kilku żołnierzy, którzy na skutek silnego ognia ze strony sowieckiej wycofali się w kierunku miasta.

Jako druga, pomoc przybyła z Komendy Oddziałowej SOK Bielsko w sile 15 strażników i w ten czas sytuacja na stacji została częściowo opanowana.

Po około 40 minutach od chwili wezwania pomocy, przybył jeden pluton Wojska Polskiego z Bielska, lecz w ten czas sytuacja opanowana była już przez SOK Dziedzice i Bielsko.

Podczas interwencji ze strony SOK Dziedzice i Bielsko w obronie aprowizacji UNRRA, bitych pracowników kolejowych, oraz ludności cywilnej i w obronie rabowanego mienia repatriantów, będących w tym czasie na stacji zostali silno pobici strażnicy:

1. str[ażnik] Bodzek Karol z plac[ówki] Dziedzice – ma siedem dziur w głowie głębokości około 2 cm i ogólne potłuczenie ciała.

2. st[arszy] str[ażnik] Bocian Franciszek z Komendy Oddział[owej] SOK Bielsko – ma dwie dziury w głowie szerokości 3 cm i ogólne potłuczenie twarzy i nosa.

3. str[ażnik] Lipiec Franciszek z plac[ówki] Bielsko ma przestrelone ucho i potłuczoną głowę.

4. str[ażnik] Jakubiec Jan z plac[ówki] Bielsko został potłuczony i ma pęknięcie kości w okolicy kostki w prawej nodze.

5. prac[ownik] kol[ejowy] z Dziedzic Zuber Jan – ciężkie uszkodzenie ciała.

6. prac[ownik] kol[ejowy] z Dziedzic Sznepek Andrzej został silnie pobity.

7. prac[ownik] kol[ejowy] z Dziedzic Komaras Józef – lekko pobity.

Wyżej wymienieni pracownicy kolejowi zgłosili się w SOK, meldując ich pobicie przez żołnierzy sowieckich.

Żołnierze sowieccy napadli również na żołnierzy amerykańskich, którzy eskortując transport UNRRA przybyli w międzyczasie również na stację.

D[owód]ca ekipy amerykańskiej, sierż[ant], został rozbrojeny przez żołnierzy Armii Czerwonej i pobity. Na interwencję przedstawiciela wojsk amerykańskich porucznika Chameya broń została zwrócona sierż[antowi] wojsk amerykańskich. Transport UNRRA wyjechał ze stacji Dziedzice.

Po przyjeździe NKWD z Bielska żołnierze sowieccy winni całego zajścia zostali ujęci tj. 5-ciu żołnierzy i dwóch oficerów.

NKWD prowadzi w tej sprawie dochodzenia.

Rany zadane strażnikom SOK przez żołnierzy sowieckich pochodzą wyłącznie od uderzeń kolbami pistoletów, automatów i karabinów.

W porozumieniu z komendantem wojennym miasta Katowic, z dniem 31 X [1945 roku] ma być założony posterunek NKWD na stacji Dziedzice.



MAŁE BUNTY W WIELKIM PRZEMYŚLE

Publikowane dokumenty przedstawiają zdarzenia, które nie stały się zarzewiem żadnego z wielkich protestów robotników w PRL. Obrazują lokalne konflikty w zakładach przemysłowych Górnego Śląska. Te jednostkowe przypadki udanego sprzeciwu robotników są jednak sygnałem szerszych przemian w popaździernikowej rzeczywistości PRL i klasycznym przykładem oporu społecznego.

Notatki służbowe oficerów operacyjnych SB (zamieszczone poniżej) dotyczą dwóch różnych wydarzeń, które miały miejsce w Świętochłowicach: w 1957 r. w hucie „Silesia” i w 1960 r. w Kopalni Węgla Kamiennego „Śląsk”. Łączy je fakt solidarności załóg w podjętym działaniu, które w obydwu przypadkach jest swoistym odwetem wobec decyzji Komitetu Zakładowego PZPR kopalni i rady pracowniczej huty. Nawet jeżeli solidarność ta dotyczy sprawy pozornie tak błahej, a zarazem humorystycznej, jak wypożyczenie munduru górniczego, u jej podstaw leży jednak praktykowana powszechnie w zakładach pracy forma represji wobec osób zaangażowanych religijnie (dokument nr 2).

Szerszy kontekst opisanych wydarzeń widoczny jest w znamiennej wypowiedzi jednego z pracowników huty: „skończyły się te czasy, gdy garstka ludzi prowadziła nas tam, gdzie nie chcieliśmy” (dokument nr 1). To poczucie niezależności i samodecydowania w tym przypadku przerodziło się w chęć religijnego zmanifestowania związku obchodów święta hutników ze wspomnieniem liturgicznym ich patrona – św. Floriana. 10 maja 1957 r. grupa około 300 osób zebrała się przed zakładem i prowadzona przez członka PZPR udała się na mszę św. do kościoła p.w. św. Augustyna w Świętochłowicach Lipinach.

Ożywienie religijne społeczeństwa po 1956 r. przejawiało się m.in. w zachowaniach opisanych w prezentowanych dokumentach: w masowym udziale robotników w uroczystościach kościelnych, podjęciu praktyk religijnych przez członków PZPR, rozwoju duszpasterstwa zawodowego¹. Prowadziło to z kolei do działań władz zmierzających do ograniczania wpływów Kościoła w tym względzie².

Te małe bunty z pewnością dawały ich uczestnikom chwilową satysfakcję, chociaż nie zawsze kończyły się bezkarnie.

Huta „Silesia” oraz kopalnia „Śląsk”, w których działy się zdarzenia opisane w dokumentach nr 1 i 2, już nie istnieją. Notatki służbowe oficerów operacyjnych stanowią więc swoiste „karty z kroniki”, oddają nastroje panujące wśród załóg w tamtych latach.

Dokumenty pochodzą z zasobu Archiwum OBUiAD IPN w Katowicach, znajdują się w zespolone akt WUSW w Katowicach, w 1 tomie *Materiałów dotyczących poszczególnych parafii*.

¹ W kwietniu 1958 r. Episkopat opracował zasady działalności duszpasterstw zawodowych.

² Przykładem jest opracowany w lipcu 1958 r. *List Komitetu Centralnego PZPR do egzekutyw partyjnych w sprawie polityki wobec Kościoła*. Zob. P. Raina, *Kościół katolicki a państwo w świetle dokumentów 1945–1989*, t. 1: *Lata 1945–1959*, s. 635–647.

– Ścisłe tajne –

Notatka służbowa dot[ycząca] huty Silesia³

Zgodnie z zapowiedzią w dniu 7 V 1957 r. odbyło się zebranie załogi, na którym Rada Robotnicza składała sprawozdanie z gospodarki, sam podział funduszu, z czego załoga dostanie 30% do ręki, wzburzyło załogę, co uwidoczniło się w wystąpieniach robotników.

Następnie wyskoczył wspomniany już poprzednio M[...]^b lutownik z Prażalni z żądaniem, żeby załoga uczciła Floriana pójściem do kościoła. Mówił on, „skończyły się te czasy, gdy garstka ludzi prowadziła nas tam, gdzie nie chcieliśmy...”.^c Poruszyło to załogę, ale wypowiedzi innych dyskutantów nadal dotyczyły podziału funduszy.

Gdy się sytuacja uspokoiła, wystąpił inż. S[...]^d i oświadczył, jeśli chodzi o pójście do kościoła, to mamy przecież zakupioną mszę w dniu 10 V 1957 r. o godz. 18.30. Od tej chwili dyskusja przerzu[ciła] się na temat kościoła i występowali inni mówcy pytając, dlaczego nie mogą hutnicy obchodzić Floriana tak jak górnicy Barbórkę. Stało na tym, że załoga zbierze się w dniu 10 V 1957 r. o godz. 18-tej przed zakładem i uda się ^edo kościoła z orkiestrą.

Stroną organizacyjną zajmie się ob. W[...]^f członek Rady Parafialnej, który jednak na zebraniu głosu nie zabrał. Kobiety zatrudnione w ruchu placowym grożą, że będą pracowały tylko do godziny 17-tej i chcą iść na skargę do księdza na mistrza C[...]^g, który nie chce ^eich^h puścić⁴.

Oprac[ował] Ofic[er] Oper[acyjny]
Grupy do Spraw B[ezpieczeństwa] P[ublicznego]i
Komendy Miasta MO Świętochłowice
/-/ Ryderowicz Jan ppor.

^a Powyżej na środku piórem wpisana odręcznie liczba 19 (pierwotna paginacja), a pod nią odręczny dopisek Parafia Augustyn (chodzi o parafię p.w. św. Augustyna w Świętochłowicach Lipinach). Z prawej strony po dacie otówkiem dopisana cyfra 4, a poniżej czerwonym otówkiem liczba 310 (kolejna paginacja).

^b Pominięto nazwisko.

^{c-c} Fragment podkreślony otówkiem.

^d Pominięto nazwisko.

^{e-e} Fragment podkreślony otówkiem.

^f Pominięto nazwisko.

^g Pominięto nazwisko.

^h W oryginale je.

ⁱ Poniżej nieczytelny podpis.

³ Huta „Silesia” wchodziła w skład utworzonych w 1950 r. Zakładów Cynkowych „Silesia” w Świętochłowicach Lipinach.

⁴ W notatce służbowej z 19 V 1957 r. ppor. Jan Ryderowicz poinformował, że 10 maja zebrało się około 300 osób (w tym kilkanaście osób z dozoru) i zbiorowo przeszło do kościoła. Grupę prowadził członek PZPR, niesiono sztandar. „W czasie mszy ks. Bendkowski w krótkim przemówieniu rozczulał się nad załogą Silesii, że są gorsi od górników, bo nie dano im orkiestry, ale miejmy nadzieję, że już w przyszłym roku przyjdą z orkiestrą. Wywołało to zamierzony skutek, na Silesii wyzywa się pod adresem osób, które spowodowały, że nie dano orkiestry”. AIPN Ka 094/46, t. 1, k. 329.



Fot. Piotr Życieński

Chorzów, dnia 23 VI 1960 r.^a

ściśle tajne

Notatka służbowa

W dniu dzisiejszym uzyskałem w Chropaczowie informację, że z kop[alni] „Śląsk” wyjeżdża nad morze delegacja załogi tej kopalni, celem odwiedzenia marynarzy z podopiecznego statku ORP „Gryf”⁵. W skład tej delegacji przewidziani byli również: pracownik kop[alni] „Śląsk” Kozielski⁶ oraz rencista Dudek⁷. Ponieważ podczas ostatniej procesji „Bożego Ciała” nieśli baldachim, zostali skreśleni z listy uczestników wycieczki nad morze. Skreślenie ich uczestnictwa w wycieczce zostało jednak przeprowadzone niezręcznie tak, że wymienieni dowiedzieli się, za co zostali skreśleni.

Powodowani pragnieniem zemsty, Dudek i Kozielski do tego stopnia podburzyli załogę kopalni, że nikt z załogi nie chciał wypożyczyć galowego stroju górniczego dla uczestników spotkania z marynarzami i kopalnia zmuszona była wypożyczyć te stroje z zewnątrz.

W całym tym zajściu charakterystycznym jest fakt solidarności załogi kop[alni] „Śląsk” w przypadkach złośliwego przeciwstawiania się Komitetowi Zakładowemu, do czego przyczynili się Dudek i Kozielski, znani klerykałowie z Chropaczowa.

Opracował of[icer] operac[yjny]^b
(Worobiec Krzysztof)

Źródło pierwszego dokumentu: AIPN Ka, WUSW w Katowicach, 094/46, Materiały dotyczące poszczególnych parafii, t. 1, k. 330, oryginał, mps.

Źródło drugiego dokumentu: AIPN Ka, WUSW w Katowicach, 094/46, Materiały dotyczące poszczególnych parafii, t. 1, k. 200, oryginał, rkps.

^a Powyżej odręcznie wpisana czerwonym ołówkiem liczba 182 (pierwotna paginacja).

^b Poniżej nieczytelny podpis.

⁵ Chodzi o okręt szkolny ORP „Gryf”, który w polskiej flocie znalazł się w 1947 r. początkowo jako „Opole”, od 1950 r. jako „Zetempowiec”, a od 1957 r. jako „Gryf”.

⁶ Kozielski Roman – do 1969 r. pracownik kopalni „Śląsk”, członek parafii p.w. Matki Boskiej Różańcowej w Chropaczowie.

⁷ Dudek Franciszek – od 1958 r. rencista kopalni „Śląsk”, członek parafii p.w. Matki Boskiej Różańcowej w Chropaczowie.

UNIKATOWE ŚWIADECTWA

W lutym 2005 r. przypada 60. rocznica deportacji mieszkańców Górnego Śląska do ZSRR. Ta największa tragedia w powojennej historii regionu nie wpisała się dotychczas w zbiorową świadomość Polaków. Przemilczana publicznie przez dziesięciolecia, głęboko obecna była jedynie w pamięci ofiar i ich najbliższych. W śląskich domach wśród rodzinnych pamiątek odnaleźć można pieczołowicie przechowywane dokumenty, rzadziej fotografie lub przedmioty osobiste będące świadectwem tamtych dramatycznych wydarzeń. Poniżej zaprezentowano dwa dokumenty z archiwum rodziny Poloków; zdjęcie weselne Heleny i Ludwika z 1933 r. oraz fragment pisanego w języku niemieckim pamiętnika, jaki powstał w czasie internowania i deportacji Ludwika w 1945 r.

Historia Ludwika Poloka stanowi jeden z wielu przykładów losu, jaki stał się udziałem tysięcy Górnoszlązaków deportowanych w 1945 r. do ZSRR. Jej wyjątkowość tkwi natomiast w tym, że w odróżnieniu od ogromnej rzeszy innych wywiezionych jemu udało się wrócić do rodzinnego domu, a dzięki czynionym przezeń zapiskom możemy poznać niektóre szczegóły dotyczące przebiegu górnośląskich zsyłek. Życie Ludwika Poloka odzwierciedla też niezwykle skomplikowane stosunki społeczno-polityczne i narodowościowe panujące ówczesnie na Górnym Śląsku.

Rodzina Poloków mieszkała w Mikulczycach (dzisiejsza dzielnica Zabrze), położonych po niemieckiej stronie Górnego Śląska, i w związku z tym posiadała obywatelstwo niemieckie, pomimo że trójka rodzeństwa Ludwika (dwóch braci i siostra) brała udział w powstaniach śląskich. On sam od 14. roku życia pracował w kopalni „Mikulczyce”. W październiku 1933 r. ożenił się z Heleną Sauer, pochodzącą z mieszanej rodziny polsko-niemieckiej. W lutym 1945 r., podobnie jak wielu innych mieszkańców Mikulzyc, podporządkował się ogłoszeniu sowieckich władz wojskowych o obowiązkowym stawieniu się Niemców, mężczyzn w wieku od 17 do 50 lat do prac porządkowych. Zbiórkę wyznaczono w miejscowej szkole. Razem z innymi zgłaszającymi się został internowany i skierowany do koszar wojskowych w Gliwicach. Stąd pod eskortą sowieckich żołnierzy, wraz z innymi współwięźniami, doprowadzono go na stację kolejową w Pyskowicach, gdzie wszystkich załadowano do bydlęcego wagonu. Po trwającym prawie dwa tygodnie transporcie w nieludzkich warunkach, trasą przez Kraków i Tarnopol, dotarł w końcu do jednego z obozów na Ukrainie.

Ludwik Polok przeżywał łagrową gehennę przez osiem miesięcy, od marca do października 1945 r. Przez cały ten czas pracował w kopalni. Ze względu na stan zdrowia został wcześniej zwolniony z obozu, ale transport skierowano do radzieckiej strefy okupacyjnej. Uciekł z niego w czasie przejazdu przez Górny Śląsk w Mysłowicach. Do rodzinnego domu powrócił schorowany i wycieńczony, według relacji rodziny ważył wówczas zaledwie 34 kg. Po powrocie wymagał długotrwałej opieki medycznej; trzy miesiące przeleżał w szpitalu, a w kolejnych latach poddawał się często leczeniu szpitalnemu i sanatoryjnemu. Pełni zdrowia nigdy już jednak nie odzyskał. Z tego powodu nie mógł pracować w kopalni, przeszedł na rentę inwalidzką. Dodatkowo podjął pracę dróżnika. Zmarł w październiku 1963 r.

Pamiętnik Ludwika Poloka stanowi unikatowe świadectwo pozwalające uzmysłwić sobie rozmiar gehenny, jakiej doświadczyli Górnolązacy wywiezieni w 1945 r. Jego wartość jest tym większa, że przypadki prowadzenia przez deportowanych bieżących zapisków należały do rzadkości. W chwili obecnej jest to jedyny znany tego typu dokument. Pamiętnik pisany ołówkiem w cienkim zeszyte obejmuje wydarzenia od 15 lutego do 15 czerwca 1945 r., a więc od momentu internowania w Gliwicach do połowy pobytu w ukraińskim obozie. Nie znamy przyczyny, dla której Polok zaniechał w pewnym momencie prowadzenia notatek, pomimo że w zeszyte pozostały czyste strony.

Specyficzną cechą pamiętnika Poloka jest to, że większość zapisków ogranicza się do skrupulatnego odnotowania wielkości, a często również i pory otrzymanych bądź sporządzonych samodzielnie posiłków. Uczucie głodu musiało być tak silne, że przestaniato autorowi pozostałe aspekty obozowego życia. Według zapisków podstawę wyżywienia łagierników stanowiły chleb oraz zupa. Bardzo nieregularnie więźniowie otrzymywali niewielkie ilości kaszy, prosa, kukurydzy, ryb lub mięsa.

W publikowanym poniżej dokumencie szczególnie interesujący jest opis przebiegu internowania. W części dotyczącej transportu i pobytu w obozie dokonano skrótów głównie we fragmentach zawierających powtarzające się informacje o dziennych racjach żywnościowych. Pozwoliło to na bardziej wyraziste ukazanie innych wydarzeń stanowiących nieodłączny element łagrowej rzeczywistości, jak np. śmierć współwięźniów, praca, choroby, warunki sanitarne. Jedynym osobistym akcentem w pamiętniku jest zapisek – wspomnienie o przypadających urodzinach córki Edeltraudy i wyrażony żal z powodu niemożności złożenia jej życzeń. O religijności autora pamiętnika mogą świadczyć: lakoniczna informacja „...czytałem mszę i poszedłem spać”, przypominanie o świątecznym charakterze niedziel oraz odnotowywanie przypadających w danym dniu świąt kościelnych: Niedzieli Palmowej, Triduum Paschalnego, Świąt Wielkanocnych i Zielonych Świątek. Niezwykły charakter mają notatki zrobione 9 maja 1945 r., z których wyraźnie widać, że zakończenie wojny nie wpłynęło na zmianę sytuacji deportowanych.

DOKUMENT

15 lutego 1945

Wymaszerowaliśmy z Mikulczyc o godzinie trzeciej i przyszlśmy do Gliwic o godzinie szóstej, potem szukaliśmy kwater do godziny jedenastej [...]

16 lutego 1945

Wymaszerowaliśmy o ósmej rano z koszar nr 84 i do południa staliśmy na ulicy. O drugiej zostaliśmy wpuszczeni na podwórko, tam byliśmy 15 dni, mieliśmy tam dobre warunki, ponieważ dużo sobie gotowaliśmy.

28 lutego 1945

O dziewiątej rano kazali nam się przygotować, o dziewiątej trzydzieści wyszlśmy na podwórko i staliśmy tam do godziny drugiej. Było zimno, wietrznie i padał śnieg z deszczem, byliśmy przemarznięci na całym cieie. Tego dnia nigdy nie zapomnę. O drugiej opuściliśmy koszary i poszlśmy w kierunku dworca Pyskowice, szlśmy pod eskortą rosyjskich żołnierzy, niektórzy z nich szli pieszo, inni jechali konno. Żołnierze poganiali nas pejcami i pałkami przez całą drogę, abyśmy szybko znaleźli się na dworcu. Dotarliśmy tam o szóstej. W tym marszu poznaliśmy prawdziwe „wyzwolenie”, tam czekaliśmy do następnego ranka do ósmej.



Zdjęcie weselne Ludwika i Heleny Poloków w sposób symboliczny ilustruje skalę górnośląskich deportacji.

Spośród czterestu mężczyzn, znajdujących się na pamiątkowej fotografii weselnej, do ZSRR w 1945 r. zostało wywiezionych ośmiu.

Pobyt w sowieckich obozach i batalionach roboczych przeżyło tylko czterech z nich

W dniu 2 marca 1945 rano wyjechaliśmy, a o godzinie dziesiątej przejechaliśmy przez Mikulczyce i jechaliśmy bez przerwy do Krakowa, dojechaliśmy w niedzielę w południe. W dniu 3 marca otrzymaliśmy 500 g chleba i tylko 1/2 l zupy. Staliśmy przy oknie, Alfons został wyzwany i wysmagany przez Polaków.

4 marca 1945

Rano dostaliśmy 500 g chleba i 1/2 l zupy na osobę.

[...]

7 marca 1945

Przyjechaliśmy do Tarnopola, gdzie dostaliśmy 400 g chleba i 1/4 l zupy i wody. Co drugi dzień wypuszczali nas z pociągu.

8 marca 1945

Rano zmarł Alojzy Mainka. [...]

[...]

Niedziela 12 marca 1945

W czasie podróży byłem chory, w nocy przejechaliśmy Dniepr. [...]

Poniedziałek 13 marca 1945

Przyjechaliśmy do [nazwa nieczytelna], było tam bardzo zimno, opuściliśmy pociąg, zostaliśmy umieszczeni w obozie, rozmieszczeni w blokach i pokojach. Byliśmy w 100 osób w jednym nieogrzewanym pokoju. Prycze miały szerokość 100 cm, na każdej spały 4 osoby. [...] Obóz był ogrodzony drutem kolczastym.

Wtorek 14 marca 1945

[...] Pierwszy raz od 13 dni mogłem się umyć i ogolić.

Piątek 16 marca 1945

[...] Jesteśmy tutaj internowani z Węgry, kobietami i mężczyznami. Myję się na dworze i zimnie.

Niedziela 18 marca 1945

Rano umyliśmy się, o 10 dostaliśmy 1/2 l krupniku, potem 300 g chleba, 1/4 l kapuśniaku. Ustawiliśmy się w szeregu, było tam 74 rębaczy, 23 ślusarzy, doszło do nas 3 obcych z innego bloku. Tak minęła nam niedziela.

Wtorek 20 marca 1945

[...] Dzisiaj zmarło w obozie 4 ludzi.

Poniedziałek 26 marca 1945

Rano o ósmej dostaliśmy 1/4 l krupniku, później poszliśmy do pracy, to był pierwszy wymarsz w błocie po kolana. O czwartej przyszliśmy z powrotem i dostaliśmy 1/4 l krupniku, 500 g chleba, 10 g mięsa i łyżkę kaszy. Wieczorem jeszcze 1/2 l kapuśniaku, później z Romanem praliśmy odzież.

Dzisiaj zmarł Karwat z Mikulczyc.

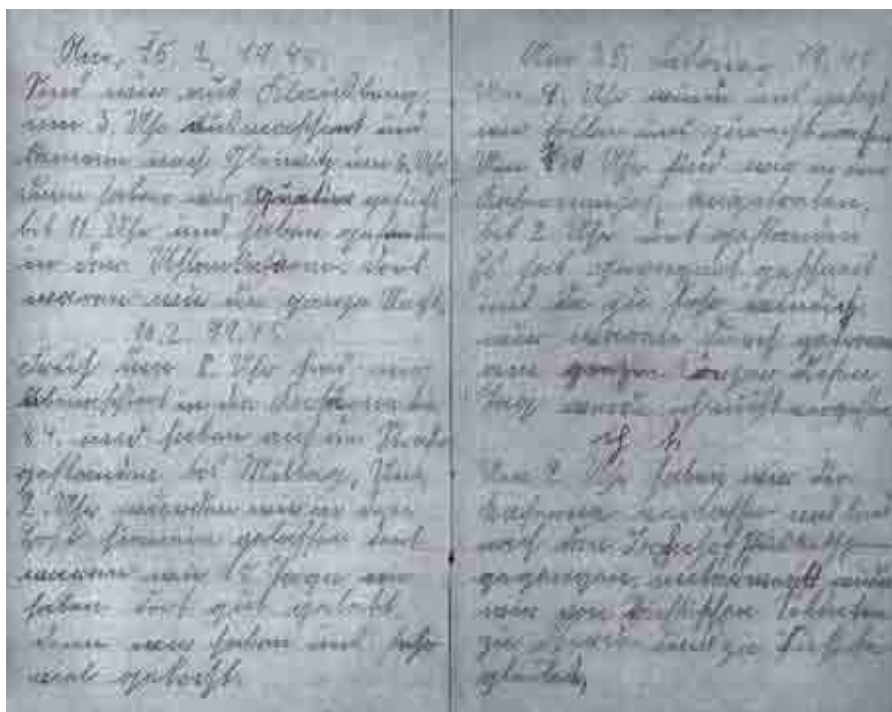
Środa 28 marca 1945

[...] o drugiej wymaszerowaliśmy do innego obozu w odległości 10 km, o szóstej byliśmy na miejscu. Było tak zimno, że nie mogliśmy spać. Prycze były zrobione ze świeżego drewna, do tego wszystko pokryte śniegiem i lodem, nic nam nie pozostało innego, jak tam spać.

[...]

Niedziela Wielkanocna 1 kwietnia 1945

Wstaliśmy o piątej rano, umyliśmy się, a później dostaliśmy 1/2 l zupy, 800 g chleba, później zostaliśmy wystani po deski. Na obiad dostaliśmy 3/4 l kapuśniaku i 30 g kiełbasy.



Z pamiętnika Ludwika Poloka

O czwartej poszliśmy do pracy na drugą zmianę, o drugiej w nocy wróciliśmy, dostaliśmy 1/2 l kapuśniaku, tak skończył się dzień świąteczny.

Czwartek 5 kwietnia 1945

W tym dniu myślę o Trautel¹, bo ma dzisiaj urodziny, a ja jej nie mogę złożyć życzeń.
[...]

Sobota 7 kwiecień 1945

[...] Dzisiaj dostaliśmy kostkę mydła. [...] W pracy sprzedałem moje czarne spodnie za 300 rubli.

Niedziela 8 kwietnia 1945

[...] Dzisiaj dostaliśmy sienniki, poszliśmy po słomę 2 km. Po sześciu tygodniach śpię na sienniku [...]

Wtorek 10 kwietnia 1945

[...] Dzisiaj złapałem pierwsze wszy. [...]

Czwartek 12 kwietnia 1945

[...] Pracuję na kopalni Anienka koło Krasnopola, w przodku. Jesteśmy wszyscy razem Alfons, Roman, Emil i ja². [...]

Niedziela 15 kwietnia 1945

[...] Jestem codziennie chory.

¹ Zdobnienie od żeńskiego imienia Edeltrauda. Chodzi o córkę Ludwika Poloka.

² Mowa o Emilu Szczepioniku, Alfonsie Haidzie i Romanie Smolarczyku, pracownikach kopalni „Mikulczyce” i kolegach Ludwika Poloka, którzy razem z nim przebywali w batalionie roboczym.

Piątek 20 kwietnia 1945

[...] Dzisiaj nas ogolili na tyso.

Niedziela 22 kwietnia 1945

Rano o jedenastej dostaliśmy 1/2 l zupy ogórkowej 1/4 l herbaty i 1000 g chleba. Później czytałem mszę i poszedłem spać. Na obiad dostaliśmy 1/2 l zupy pomidorowej, 30 g tłuszczu i dostałem dodatkowo 4 łyżki kaszy i łyżkę mięsa. Dzisiaj miałem wolne. Musieliśmy iść 6 km po chleb. O ósmej wieczorem wyszliśmy i wróciliśmy o 3 w nocy w deszczu i błocie. To było w niedzielę i byłem chory, tego dnia nigdy nie zapomnę.

Środa 9 maja 1945

[...] musieliśmy ustawić się w szeregu i rosyjski oficer do nas przemawiał, został przeczytany komunikat o zakończeniu wojny. O godzinie 1.05 Niemcy skapitulowały, z tego powodu mieliśmy wolne. Teraz jest wszystko jasne. Dzisiaj o piątej zmarł Alojzy Klich, to już jest piąta osoba w tym obozie. Po obiedzie musieliśmy pracować w polu przez 5 godzin, po południu zmarło 2 mężczyzn, jeden z Mikulczyc – Skrzypek i inny znajomy. [...]

Wtorek 15 maja 1945

[...] Rano byłem u lekarza, bo jestem chory, ale kazał mi iść do pracy. [...]

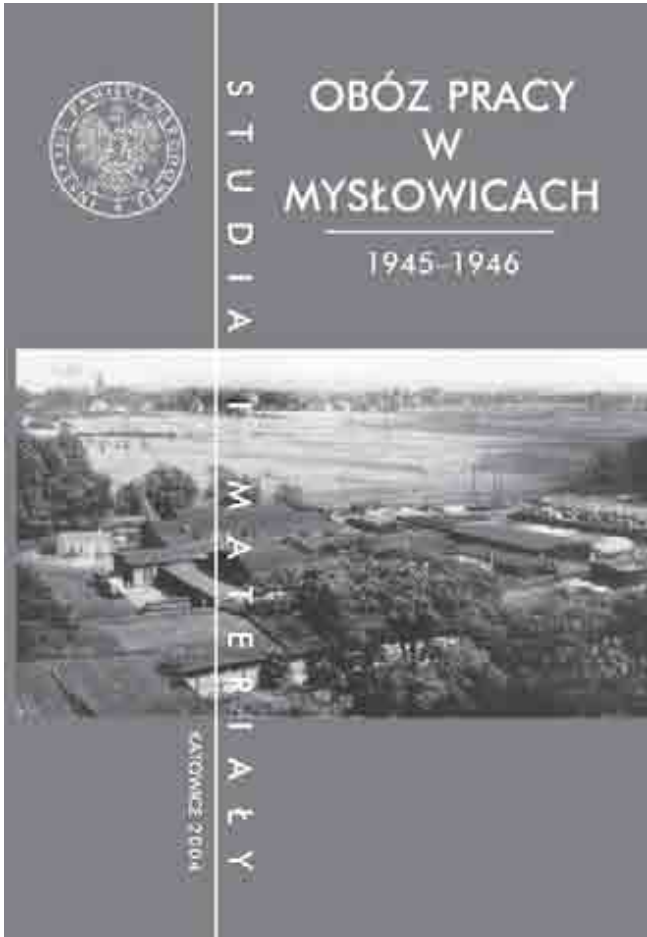
Czwartek 31 maja 1945

[...] Dzisiaj z naszego pokoju uciekł jeden mężczyzna.

Tłumaczenie: Edeltrauda i Izabela Cieślak

T.A. Findziński, Górnik, drzeworyt 1935 r.





Obóz Pracy w Mysłowicach został założony w lutym 1945 r. w budynkach po niemieckim Policijnym Więzieniu Zastępczym. Przeznaczony był dla „zdrajców narodu polskiego”. Tymczasem w rzeczywistości trafiali do niego Ślązacy, których jedyną winą było przyjęcie w czasie okupacji niemieckiej listy narodowościowej. Praca Wacława Dubiańskiego przybliży funkcjonowanie tego jednego z większych obozów pracy, działającego na Górnym Śląsku po zakończeniu II wojny światowej.

Książka jest już dostępna w sprzedaży
w Miejskim Centrum Kultury w Mysłowicach
ul. Grunwaldzka 7, 41-400 Mysłowice
tel. 032/222-66-70



**Święta Barbara patronka górników.
Obraz z zakrystii kościoła w Tychach
(fot. Piotr Życieński)**